



JANICE CARTER



***Tamte plaże,
tamte dni***

Tytuł oryginału: The Man She Left Behind

- Leigh Randall? Leigh obejrzała się. Na widok nadchodzącej zdecydowanym krokiem kobiety ścisnęło ją w dołku. Mary Ann Burnett. A jeszcze przed chwilą, siedząc na masce samochodu, delectowała się rześkim morskim powietrzem. Jednopakładowy prom ciął granatowe wody zatoki Hatteras, zmierzając na wyspę Ocracoke. Pomimo niedzieli stateczek miał komplet pasażerów; byli wśród nich właściciele samochodów, rowerzyści, objuczeni plecakami turyści, rodziny wczesnie rozpoczynające sezon urlopowy - słowem, panował tłok.

Rozpoczynając ostatni etap podróży w rodzinne strony, na sam kraniec Barrier Islands, Leigh nastawiła się psychicznie na nieuchronne spotkania z dawnymi przyjaciółmi - tudzież wrogami. Lecz Mary Ann Burnett była ostatnią osobą, na jaką miała ochotę się natknąć w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin od powrotu na stare śmieci. No, może przedostatnią, poprawiła się w myślach, i przed oczami stanął jej Spencer McKay.

Zanim Mary Ann sforsowała stojącą jej na drodze zaporę z zaparkowanych na pokładzie pojazdów, Leigh, zsunąwszy się z maski, zdołała wykrzesać z siebie namiastkę radości, której bynajmniej nie odczuwała. Mary Ann należała w szkole do tego gatunku niestrudzonych społeczników, których unikają jak ognia wszyscy żywiący wrodzony wstręt do wszelkich prób organizowania im życia - nieśmiali, zakompleksieni, zamknięci w sobie, a zwłaszcza

indywidualiści omijali ją szerokim łukiem. Już jako szesnastolatka była zawołaną swatką i plotkarą; za cel stawiała sobie znalezienie chłopaka każdej dziewczynie ze szkoły na Ocracoke. Nie było to zadanie łatwe, zważywszy że liczba uczniów rzadko dochodziła tam do setki. Ale Mary Ann odznaczała się iście misjonarską gorliwością i taką samą obłudą.

- To ty?! - wykrzyknęła, stając wreszcie przy przednim zderzaku auta Leigh. - Oczom nie wierzyłam. Słyszałam, rzecz jasna, że wracasz do domu - na Ocracoke nic się nie ukryje - ale nie wiedziałam, że tak szybko cię tutaj zobaczę.

Rozrzuciła pulchne ramiona, by porwać Leigh w niezgrabne objęcia.

- Co u ciebie, Mary Ann? - spytała Leigh, wyzwoliwszy się z jej uścisku.

- Och, świetnie. Starzeję się, jak wszyscy z naszej starej paczki. - Obrzuciła Leigh taksującym spojrzeniem. - A ty jak zawsze w formie. Włosy, widzę, obcięłaś. Pewnie w którymś z tych przereklamowanych nowojorskich salonów piękności?

Leigh skrzywiła się. Mary Ann celowała we wsadzaniu szpil pod płaszczykiem prawienia komplementów. Chciała coś odpowiedzieć, lecz Mary Ann była szybsza.

- Na długo?

- Raczej nie. Spakuję tylko to i owo, i przygotuję dom rodziców na sprzedaż.

Mary Ann pokiwała ze współczuciem głową.

- Tak, słyszałam. Przykro mi z powodu twojej matki. Szkoda, że taki piękny stary dom przejdzie w obce ręce, ale chyba rzeczywiście nie ma sensu, żebyś go trzymała, skoro mieszkasz w Nowym Jorku, i w ogóle.

Leigh wzruszyła ramionami, Mary Ann zaś otworzyła wielką torbę.

- Wiesz, nawet dobrze się składa, że cię spotykam. Prowadzę w „Island Breeze” kolumnę towarzyską - no wiesz, takie kawałki z życia wzięte, popatrz - i nie miałam pomysłu na następny numer. A w środę muszę złożyć materiał, i przyszło mi właśnie do głowy, że wspaniale byłoby coś napisać o twoim powrocie na Ocracoke. Co ty na to? - paplała, uśmiechając się promiennie.

- Taki z gatunku „Powrót córki marnotrawnej”? Mary Ann zachichotała.

- Och ty! Widzę, że dowcip ci się nie stepił. No więc opowiedziałabyś mi, co czujesz, wracając z wielkiego świata do takiej małej miejscowości po... ile to już?

- Piętnaście lat, z tym że przed dziesięcioma wpadłam tu na krótko na pogrzeb ojca.

Mary Ann natychmiast spoważniała.

- Tak, piętnaście lat cię nie widziałam. Szmat czasu... Od czego by tu, u licha, zacząć?

Leigh uśmiechnęła się z przymusem. Coś jej mówiło, że nie wykręci się od udzielenia tego wywiadu. Rejs przez zatokę trwa

czterdzieści minut, a dopiero przed chwilą odbili od przylądka Hatteras.

- No dobrze, pytaj - rzekła z westchnieniem, nienawidząc samej siebie za to, że tak szybko uległa.

- Właśnie! Pytania. Zaczekaj, wyjmę tylko notes i długopis. - Mary Ann postawiła torbę na masce samochodu Leigh i grzebała w niej przez chwilę. - No więc... - otworzyła notes i przygotowała długopis - czym się zajmujesz w Nowym Jorku? Ubezpieczeniami, czymś takim?

- Jestem bankowcem inwestycyjnym.

- Ooo! Jakie to fikuśne nazwy mają teraz niektóre zawody. A swoją drogą, co robi taki bankowiec inwestycyjny?

- Pomnaża pieniądze klientów, Mary Ann. Koleżanka zerknęła na nią spod oka.

- Pewnie lukratywna посадка?

- Potencjalnie - odparła wymijająco Leigh; nie miała ochoty na dyskusje o pieniądzach.

Na szczęście Mary Ann kiwnęła tylko głową i nie drażyła dalej tematu. Ru zaskoczeniu Leigh jej pytania były konkretne, i często zmuszały do głębszego zastanowienia się nad odpowiedzią.

- No dobrze - oznajmiła w końcu Mary Ann - a teraz pstryknę ci parę zdjęć. - Wyjęła z torby aparat.

Leigh zaniemówiła. Uświadomiła sobie właśnie, że ten artykuł ukaże się w małej bo małej, ale mimo wszystko prawdziwej gazecie.

- Zdjęcia? Ojej, Mary Ann, sama nie wiem...

- Daj spokój! Ktoś tak fotogeniczny jak ty nie może się bać aparatu. Przecież nie przybywasz tu z żadną tajną misją ani temu podobne.

Tajna misja? Na rozplotkowanej Ocracoke? Wykluczone.

Mary Ann jednak zawsze rozsądniej było ulec, niż się jej opierać. Leigh wspomniała Jennifer Logan i znowu ścisnęło ją w dołku. Dzieje się za dużo i za szybko. Ale czego się spodziewała? Każdy, kto wraca do domu po długiej nieobecności, musi się przecież liczyć z tym, że przeszłość da o sobie znać.

Pozwoliła więc Mary Ann zrobić sobie kilka zdjęć. Do dwóch pozowała oparta o reling promu i wpatrzona melancholijnie w wyspę, cały zaś kadr pozostałych wypełniała sama głowa.

- Gotowe - oznajmiła w końcu Mary Ann, opuszczając aparat. - Powinno wystarczyć. Pozwól, że zajrzę jeszcze do notatek i sprawdzę, czy wszystko gra. Kiedy piszę w pośpiechu, czasami sama nie mogę się potem odczytać.

Leigh spojrzała w kierunku dziobu promu. Widać już było wyraźnie przystań przy północnym cyplu wyspy. Nareszcie, pomyślała. Ocracoke. Kiedyś, jako kilkunastoletnia dziewczyna, przekonana była, że nigdy się stąd nie wyrwie, potem, przez ostatnie piętnaście lat, że już nigdy tu nie wróci. Przypomniła jej się maksyma powtarzana często przez matkę: Nigdy nie mów nigdy, bo w życiu wszystko jest możliwe.

- Leigh? Ty mnie słuchasz? - Mary Ann machała jej ręką przed oczami. - Pytałam, czy masz jakieś wyrzuty sumienia w związku z tym, no wiesz... z tym wypadkiem i w ogóle.

Leigh nie posiadała się ze szczęścia, że ma na nosie okulary przeciwsłoneczne. Patrzyła przez nie na Mary Ann i starała się panować nad głosem.

- Z jakim wypadkiem?

- No tym, co się wydarzył w dniu rozdania dyplomów, kiedy utopiło się kilka osób. Miałaś jeszcze jakiś inny wypadek?

Leigh wiedziała już, że nie doceniła Mary Ann. Pod fasadą wylewności tej kobiety kryła się hartowana stal. Odczekała chwilę i powiedziała:

- To się wydarzyło piętnaście lat temu, Mary Ann.

- Ale dla niektórych jakby wczoraj, na przykład dla matki Laury Marshall. Może ją spotkasz. Albo rodziców Jeffa? Ocracoke to mała wysepka i prawdopodobieństwo spotkania którejs z tych osób jest spore. Jesteś na to przy-; gotowana?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi, Mary Ann.

- Czy obawiasz się spotkania z tymi ludźmi? Rodzice Tony'ego opuścili wyspę. Za wiele wspomnień, powiedzieli.

Pod Leigh ugięły się kolana. Przypomniała sobie, co przed laty radziła jej matka. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Weź głęboki oddech i policz do dziesięciu. Patrz im prosto w oczy.

- Czego miałabym się obawiać, Mary Ann? Nie ja spowodowałam ten wypadek.

- Ale tylko ty ocalałaś, Leigh. Troje absolwentów z twojej klasy utonęło, a ty żyjesz.

- Nie tylko ja. Ci z drugiej łodzi też przeżyli.

- Mówią, że to ty rzuciłaś po uroczystości pomysł popłynięcia na Portsmouth.

- Nieprawda!

- To dlaczego nie chciałaś powiedzieć na rozprawie, jak z tym naprawdę było?

Leigh odwróciła wzrok i zanim odpowiedziała, policzyła do dziesięciu.

- Byłam jeszcze w szoku - odezwała się spokojnym głosem. - A poza tym to nie była rozprawa, Mary Ann, tylko przesłuchanie. Zarzucano nam wszystkim, że postąpiliśmy bardzo nieodpowiedzialnie, wypływając podczas burzy na cieśninę bez kamizelek ratunkowych.

- Laura, Jeff i Tony zapłacili za to niedopatrzenie najwyższą cenę - mruknęła Mary Ann.

- Tak - przyznała Leigh i zamilkła.

Stała jej przed oczami ściągnięta twarz Jeffa siedzącego na rufie pięciometrowej aluminiowej motorówki, szarpiącego gorączkowo linkę rozruchową zalanego silnika i obserwującego idącą na nich monstrualną falę, wypiętrzoną przez zrywający się niespodziewanie szkwał. Ostatnie, co zapamiętała z tamtego tragicznego wieczoru, to krzyk Laury, gdy fala, waląc się na łódź,

wypchnęła rufę ponad wodę, i Jeff wyleciał jak wystrzelony z procy w otaczającą ich czern.

- Miałaś szczęście, że to się stało tak blisko brzegu. Zawsze dobrze pływałaś.

Leigh westchnęła. Wyjaśnianie tego w kółko stawało się nużące.

- Ja nie dopłynęłam do brzegu, Mary Ann. Morze mnie do niego zaniósł. Gdyby nie to, też bym utonąła.

- Miałaś poza tym szczęście, że Spencer McKay był akurat na nabrzeżu i widział, jak łódź się przewraca.

Leigh zamknęła oczy. Ile jeszcze tego rozdrapywania ran? Zapragnęła nagle znaleźć się z powrotem w Nowym Jorku.

Gdy prom przybił do przystani, kilku marynarzy przeskoczyło przez reling na nabrzeże, by zarzucić cumy. Zmotoryzowani pasażerowie rozbiegli się do swoich pojazdów.

- Zadzwoń do ciebie, gdybym miała jeszcze jakieś pytania - zapowiedziała Mary Ann.

Leigh nie uznała za stosowne poinformować ją, że telefon jest wyłączony. Odwróciła się, żeby wsiąść do samochodu. Mary Ann wciąż za nią stała.

- A skoro już mowa o Spencerze McKayu – ciągnęła - to słyszałaś, że rozszedł się z Jen? Parę lat temu. Wszyscy mówili, że prędzej czy później do tego dojdzie, ale...

Leigh, udając, że nie słyszy, wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Nie zrażona jej zachowaniem Mary Ann zastukała w szybę. Leigh zapaliła silnik i pokazała za siebie. Jej samochód stał

w pierwszym rzędzie i żeby nie blokować innych, musiała zjeżdżać na ląd.

Mary Ann pomachała notatnikiem i pokazała jej pięć rozczapierzonych palców.

Leigh z ciężkim westchnieniem uchyliła szybę.

- Artykuł ukaże się drukiem za pięć dni, w piątek! - zawołała Mary Ann, przekrzykując warkot zapuszczanych silników. - Mam jeszcze jedno ważne pytanie. Jak zmieniło się twoje życie po tamtej tragicznej nocy? Zastanów się nad odpowiedzią. Zadzwoń.

Leigh podniosła szybę i włączyła klimatyzację. Na znak członka załogi promu wrzuciła bieg i zjechała na nabrzeże wyspy. Zaraz za bramą przystani zatrzymała się na poboczu, otworzyła okno i odetchnęła pełną piersią czystym, przesyconym morską solą powietrzem.

Nie masz sobie nic do zarzucenia, nie masz sobie nic do zarzucenia... Powtarzała sobie to zdanie jak modlitwę, dopóki nie ustąpiły pulsowanie w skroniach i ucisk w sercu. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Jak zmieniło się moje życie?

Nie do poznania.

Kwadrans później skręcała już w żwirowy podjazd

Wichrowego Dworku. Żałowała teraz, że zamiast posłuchać głosu rozsądku i sprzedać dom rodziców, nie ruszając się z Nowego Jorku, uległa impulsowi, który kazał jej wrócić po piętnastu latach na Outer Banks. Zgasła silnik, wysiadła z samochodu i przeciągnęła się. Odwlekając moment przekroczenia progu, pobiegła wzrokiem ku

południowemu krańcowi wyspy, gdzie zabudowania wioski, zwanej przez miejscowych Creek, otaczały podkową port Silver Lake. Odetchnęła jeszcze raz głęboko i spojrzała na Wichrowy Dworek. Na swój dom.

Zachodzące słońce barwiło na różowo białe ściany drewnianego, dwupiętrowego budynku, wychodzące na zachód okna szczytowe płonęły. Gdyby nie mieszane uczucia, z jakimi wracała na Ocracoke, poświęciłaby chwilę na zachwycanie się tym widokiem, teraz jednak nie była w odpowiednio romantycznym nastroju. Sięgnęła do auta po torebkę i kluczyki, po czym otworzyła bagażnik. Kiedy z dwoma walizkami w rękach i laptopem pod pachą wstępowała na schodki prowadzące na szeroką werandę, po słońcu pozostała już tylko purpurowa smuga na widnokręgu.

Przekręciła klucz w zamku, pchnęła nogą drzwi frontowe i weszła do środka.

Powitały ją zbierający się od miesięcy kurz i stęchłe powietrze. Zostawiła bagaż w holu i przebiegając z pokoju do pokoju, pootwierała na oścież wszystkie okna. Potem zlustrowała widmowe kształty sprzętów przykrytych pokrowcami. Wspomnienia gotujące się do skoku...

Obeszła parter, ściągając z mebli stare prześcieradła i obrusy. Zapalając wszystkie lampy i górne światła, wypłoszyła resztę cieni z domu. Ale nie z serca, pomyślała. Wiedziałaś, że nie będzie łatwo, kochana, a więc nie rozklejaj się po pierwszych dziesięciu minutach.

Uspokojona, że znowu ma wszystko pod kontrolą, dźwignęła dwie walizki i ruszyła z nimi po schodach do swojej sypialni na piętrze. Nic się tam nie zmieniło, choć od jej wyjazdu upłynęło już piętnaście lat. Podwójne łóżko okrywała ta sama kremowa kapa w wyblakłe antyczne róże. Od roku, czyli odkąd matka opuściła wyspę, by zamieszkać z nią w Nowym Jorku, nikt tu nie odkurzał. Leigh zakręciło się w nosie. Tłumiąc kichnięcie, podbiegła do okna i otworzyła je.

Była to najmniejsza z pięciu sypialni na piętrze, ale z jej wychodzących na zachód okien roztaczał się najwspanialszy widok na pasmo wydm, przedzielających wyspę na dwie części. Wydmy przesłaniały widok na cieśninę Pamlico - pas oceanu pomiędzy wyspą Ocracoke a wybrzeżem Karoliny Północnej. Widać jednak było cieśninę Ocracoke, kanał przed portem, oświetlany okresowo snopem światła z latarni morskiej stojącej na skraju wioski. Leigh oderwała się od okna i znowu rozejrzała po pokoju.

Tutaj upłynęło jej pierwszych osiemnaście lat życia. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widniały pamiątki z tamtych czasów, trzymane przez rodziców jakby w nadziei, że zniechęcona do Nowego Jorku jeszcze tu kiedyś wróci. Ale na przeszkodzie temu stanęły ukończony college, studium podyplomowe oraz stwarzająca możliwości szybkiego awansu posada w dobrze prosperującej firmie inwestycyjnej z Wall Street. Tyle że rodzice chyba nigdy na serio nie wierzyli w jej powrót. Niewielu wyspiarzy, wyrwawszy się stąd w

szeroki świat, wracało do domu. Z drugiej strony byli i tacy, którzy za nic by się stąd nie ruszyli.

Potrząsnęła głową, odpędzając wspomnienia. Dosyć tego, panno Randall. Nie będzie tu spała pierwszej nocy po powrocie. Pokój wymaga dobrego przewietrzenia. Prześpi się na dole.

Wyjęła z walizki wszystko, co jej było potrzebne na noc, wzięła koc z szafki na bieliznę i skierowała się do drzwi. W progu obejrzała się jeszcze, niemal pewna, że zobaczy wyciągniętą na łóżku szesnastolatkę z książką w ręku. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze toaletki stojącej naprzeciwko drzwi. Daleko ci do szesnastolatki, Leigh. I w tym momencie jej wzrok przyciągnęła fotografia wetknięta w prawy górny róg ramy lustra.

Podeszła tam, nie spuszczając oczu z odbicia swojej blednącej z każdym krokiem twarzy, i sięgnęła drżącą ręką po małą fotografię. Szczupły, siedemnastoletni Spencer McKay i ona, piętnastoletnia pannica. Już wtedy mierzył sobie ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Otaczał ją ramieniem i patrzył z góry w jej roześmiane czarne oczy.

Leigh zmiała fotografię w dłoni i upuściła ją na blat toaletki. Jutro, zapowiedziała sobie, to wszystko powędruje do śmieci. Zgasła światło i zamknęła drzwi sypialni.

Nic na świecie nie może się równać z przyjemnością przebudzenia pośród aromatu świeżo zaparzonej kawy. Leigh rozprostowała nogi i przebierając palcami stóp, delectowała się tą chwilą. Nagle zeszywniała. Zaraz, skoro spałam, to kto zaparzył tę kawę?

Usiadła gwałtownie na kanapie. Ciemności zalegające salon rozpraszała tylko smuga dziennego światła sącząca się przez szparę między zaciągniętymi kotarami. Leigh odróżniała w półmroku stos porzuconych na podłodze ubrań oraz rozłożoną książkę, którą czytała do poduszki. Spuściła nogi z kanapy, wstała i owinęła się kocem.

- Czy jest tu ktoś? - zawołała niemal szeptem.

Potem zawołała jeszcze raz, trochę głośniej. Odpowiedzi nadal nie było, lecz odniosła wrażenie, że słyszy, jak ktoś krząta się po kuchni. Wysunęła się bosą na korytarz i ruszyła na palcach na tyły domu.

Pochylona nad zlewem niska, pulchna kobieta zmywała naczynia, nucąc pod nosem. Po chwili wahania Leigh odchrząknęła. Kobieta drgnęła, coś wyleciało jej z rąk i wpadło ze stukotem do zlewu.

- Jezus, Maria! - pisnęła, odwracając się na pięcie. Na widok stojącej w progu Leigh jej pyzata, rumiana twarz wygładziła się, usta rozciągnął szeroki uśmiech.

- Leigh! Chyba cię nie obudziłam?

Leigh przeszukiwała pamięć w poszukiwaniu nazwiska i imienia kobiety.

- Owszem, to znaczy, nie. Kawa mnie obudziła.

Kobieta zerknęła za siebie.

- Tak, wszystko już gotowe. Chodź, siadaj. - Wysunęła spod stołu krzesło i Leigh usiadła na nim posłusznie, czując kompletną dezorientację.

Kobieta oparła się łokciami o blat i patrzyła na nią z uśmiechem.

- Nie poznajesz mnie, prawda? - spytała ze zrozumieniem.

- Długo mnie tu nie było - bąknęła Leigh wymijająco. I nagle sobie przypomniała. - Faye Mercer!

- Blisko. Od kiedy przekroczyłyśmy obie czterdziestkę, ludzie częściej niż kiedyś nas ze sobą mylą. Faye to moja starsza siostra. Ja jestem Trish. Teraz Trish Butterfield, nie Mercer.

- Czy to nie ty zostawałaś ze mną, kiedy rodzice gdzieś wychodzili?

- Nie, to Faye. Jak powiedziałam, jest ode mnie starsza, ale po czterdziestce różnice wieku się zacierają. A ty jak się zmieniłaś! Na ulicy bym cię nie poznała.

Trish nagle spoważniała i pokręciła ze współczuciem głową.

- Byłam wstrząśnięta, kiedy usłyszałam o twojej mamie. Bardzo żałuję, że nie mogłam pojechać do Nowego Jorku na pogrzeb.

Posłałam kwiaty i telegram, ale w telegramie trudno wyrazić, co się czuje, prawda? - Zawiesiła na chwilę głos, a potem spytała: -

Pochowasz prochy mamy obok ojca? Ellen była wspaniałą kobietą. Często ją odwiedzałam, zanim stąd wyjechała.

Leigh, przytłoczona wspomnieniem ostatnich miesięcy życia matki, kiwnęła tylko głową.

- Tak - wyszeptała. - Później.

Na kilka dni przed śmiercią matka poprosiła, by jej ciało poddać kremacji, a prochy pochować obok ojca.

- O Boże, kawa! - Trish odwróciła się, wyjęła z kredensu dwa kubki, a ze stojącej na blacie plastikowej torby cukier i mleko. -

Pewnie się zastanawiasz, skąd wiedziałam, że tu jesteś?

- O swoim przyjeździe powiadomiłam wyłącznie Jensenów.

Trish kiwnęła głową.

- No właśnie. Pani Jensen kazała Sammy'emu Fisherowi podłączyć ci z powrotem wodę i prąd, bo biedny stary pan Jensen nie mógł sam się tym zająć.

- Co z panem Jensenem? Trish wydeła usta.

- Niedobrze. Rodzina szuka mu jakiegoś domu opieki na stałym lądzie. Nie doszedł już do siebie po tym zawale.

- Przykro to słyszeć.

Trish odczekała stosowną chwilę i podjęła:

- Tak czy inaczej, zobaczyłam twój samochód na podjeździe, kiedy szłam dzisiaj na poranny prom. Tutaj nikt takiego nie ma, a jak jeszcze zauważyłam nowojorskie tablice rejestracyjne, to od razu się domyśliłam, że to ty, i że musiałaś przyjechać wczoraj wieczorem.

Tak, na tej wyspie nic się nie ukryje.

- Masz tu kawę. Przyniosłam też parę pączków. Gdybym wcześniej wiedziała, że przyjeżdżasz, napiekłabym ci maślanych bułeczek.

- Miałam zamiar pojechać na śniadanie do wioski, ale tak jest o wiele milej. Dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Przynajmniej to mogę zrobić dla córki Ellen Randall, nie wspominając już o tym, że do domu wraca rodowita wyspiarzka. Niewielu takich tu zostało!

Leigh uśmiechnęła się i upiła łyk kawy.

- Mmm, pycha. Powiedziałaś, że szłaś na prom?

- Pracuję na pół etatu w Nag's Head w jednym z tamtejszych ośrodków wczasowych. Zadzwoiłam do szefa, że dziś się spóźnię. Sezon turystyczny jeszcze się na dobre nie zaczął, to i pracy na razie niewiele.

Leigh pamiętała, jaka była zawsze podniecona, kiedy pod koniec czerwca do Wichrowego Dworku zaczynali zjeżdżać pierwsi goście.

- Od dawna tam pracujesz?

- Jakies dziesięć lat. Od śmierci mojego ślubnego. Współczujący pomruk Leigh musiał przejść nie zauważony, bo Trish, dolawszy kawy do kubków, ciągnęła:

- To prawda, że chcesz sprzedać ten dom? Nic się nie ukryje.

- Prawda. Dosyć trudno doglądać go na odległość. Zwłaszcza teraz, kiedy pan Jensen nie może już...

- Tak - westchnęła Trish. - Ciężko mu będzie opuszczać wyspę.

- Wyobrażam sobie.

Zaległa długa chwila milczenia. Ojciec Leigh zwykł mawiać, że wyspiarze to szczególne plemię. Często trudno im się przystosować do życia poza Ocracoke. Leigh była świadkiem, jak matka, po przeniesieniu się z wyspy do Nowego Jorku, podupada szybko zarówno na duchu, jak i zdrowiu.

Udając zainteresowanie pudełkiem z pączkami, czekała, aż ustąpi nieprzyjemny ucisk w krtani. Chciała, żeby Trish Mercer, czy jak tam Trish się teraz nazywała, już sobie poszła. Nie pozbierała się jeszcze po gehennie ostatniego roku, po stresach związanych z chemioterapią matki i częstymi wizytami w hospicjum.

Z zadumy wyrwał ją dotyk dłoni na ramieniu.

- Przepraszam, Leigh. Ja tu paplam, co ślina na język przyniesie, a ty wciąż to wszystko przeżywasz. Wybacz, że tak wpadłam bez zapowiedzi, ale wiesz przecież, jak wyspiarze z sobą trzymają.

Leigh spojrzała na miłą twarz kobiety i zdobyła się na blady uśmiech.

- Doceniam to, Trish. I dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla mojej matki przez te ostatnie kilka miesięcy przed jej wyjazdem do Nowego Jorku.

- Nie ma za co. Twoja matka przez całe życie pomagała innym. Jak można było nie pomóc jej, kiedy z kolei ona tego potrzebowała? - Trish cofnęła rękę i wróciła do zlewu.

Leigh, obserwując ją, uświadomiła sobie, że zapomniała już, jacy lojalni wobec siebie, jacy dumni ze swojego specyficznego stylu życia są mieszkańcy Ocracoke.

- Gotowe - oznajmiła Trish, wycierając ręce w ścierkę. - To ja już lecę. Klucz od domu, który dała mi twoja matka, położyłam na blacie. Nie będzie mi potrzebny, a tobie przyda się zapasowy. Choć pewnie nie masz zamiaru tu długo zabawić?

Leigh nie chciała wymazywać z twarzy Trish malującej się tam nadziei, ale teraz nadarzała się sposobność jasnego sformułowania planów.

- Tylko tyle, ile zajmie mi załatwienie formalności związanych ze sprzedażą i spakowanie tego, co chcę zabrać do Nowego Jorku.

- Będiesz korzystała z usług miejscowej agencji obrotu nieruchomościami? Mój kuzyn ją prowadzi.

- Byłam już w agencji w Nag's Head. - Widząc zawód na twarzy Trish, dodała: - Wpadłam tam wczoraj, po drodze. Pomyślałam sobie, że tak będzie prościej. Mam nadzieję, że przed wyjazdem spotkam się jeszcze z tobą i z Faye.

- Bardzo bym chciała, Leigh, ale obawiam się, że ja będę ci musiała wystarczyć. Faye dawno temu przeniosła się na kontynent.

- No to tylko z tobą.

- Bardzo chętnie. Opowiesz mi, jak ci się żyło przez te ostatnie lata. Ile to już?

- Ostatnio byłam tu dziesięć lat temu na pogrzebie ojca, ale do college'u wyjechałam przed piętnastoma.

- Jak ten czas leci! Kto by pomyślał.

Była już prawie za drzwiami, kiedy Leigh wreszcie się przełamała.

- Trish?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na nią pytająco.

- Czy... mogłabyś mi powiedzieć, co u niektórych osób ze starej paczki?

- Oczywiście, Leigh. Kto cię interesuje?

- Chris Thompson.

- Jest teraz prawnikiem w Nag's Head.

- A Jennifer Logan?

- Od jakichś pięciu lat mieszka w Charlotte. Słyszałaś, że rozwiodła się ze Spencerem?

- Tak.

Trish pokręciła głową.

- Brzydko się to odbyło. Jen po prostu spakowała się i wyjechała bez pożegnania, zabierając ich synka. Oczyszczyła konto bankowe Spencera i nie odzywa się do swojego dziadka. - W głosie Trish pobrzmiwało słuszne oburzenie.

- Mama coś mi tam opowiadała - mruknęła Leigh - ale... tak w ogóle niewiele mówiła, co się działo na wyspie po moim wyjeździe.

Zapadła chwila wymownego milczenia. Pierwsza przerwała je Trish.

- Tak, rozumiem - bąknęła.

Dopiero teraz Leigh spytała o kogoś, kto ją naprawdę interesował:

- A Spencer?

- Wiele, biedaczysko, przeszedł, jakby mało miał problemów w życiu. Ale już się pozbierał. Pięć lat temu założyli z Billem Cowanem firmę czarterującą łodzie rybackie i bardzo dobrze im idzie. Jesteśmy z niego dumni.

Lewy kącik ust Leigh wygiął się w nerwowym uśmiešku.

- No dobrze, dosyć tych plotek - oznajmiła Trish. - Zobaczymy się za parę dni. Aha... - Zatrzymała się w drzwiach kuchni. - Jak się z tobą kontaktować? Nie masz telefonu.

- Przywiozłam komórkowy. Poczekaj, dam ci wizytówkę. - Wybiegła do sąsiedniego pokoju i wróciła po chwili z małym, białym kartonikiem, który wręczyła Trish.

- Oho! Leigh Randall, bankowiec inwestycyjny. - Trish rozpromieniła się. - Ależ to brzmi! - Wybuchnęła serdecznym śmiechem, dała Leigh kuksańca pod żebra i wybiegła z domu tylnymi drzwiami.

Wmawiała sobie, że to ta piekielnie mocna kawa Trish zamieniła ją na trzy godziny w pracowitą pszczołkę, ale gdzieś tam w podświadomości czaiło się podejrzenie, że większą rolę odegrało tutaj pragnienie odwleczenia czegoś, co i tak jest nieuniknione. Skoro nie mogła pójść do biura i rzucić się w wir pracy, chwyciła za szczotkę i wiadro. A przy okazji oszczędzała na ekipie zawodowych sprzątaczy.

Po południu zjadła tyle pączków, że zaspokoila chyba swój apetyt na te ciastka na najbliższe pięć lat, po czym stwierdziła, że nie ma już żadnego pretekstu, by odwlekać wizytę w wiosce.

Poświęciła trochę czasu na przygotowanie się do tej wyprawy. Przymierzywszy kilka kombinacji spódniczek i bluzek, wybrała w końcu bawełnianą sukienkę w wieśniaczym stylu, którą kupiła ostatniego lata w przyływie frywolności.

Grzebieniem z żółwiej skorupy zaczesła włosy na bok i zadowolona z efektu wyszła z domu. W ostatniej chwili powstrzymała się od zamknięcia drzwi na klucz. To przecież Ocracoke.

Wkroczyła w jasność słonecznego czerwcowego dnia. Balsamiczna bryza wiejąca od oceanu zdawała się nieść zapach dalekich krajów. Do wioski było blisko, zdecydowała jednak, że pojedzie tam samochodem. Wytłumaczyła sobie, że auto przyda jej się na zakupy, lecz wiedziała, że bierze je głównie z myślą o ewentualnym szybkim odwrocie.

Zawarła sama z sobą zakład, że przed upływem kwadransa natknie się na kogoś ze starych przyjaciół albo znajomych. Przegrała jednak. Gdziekolwiek się zjawiała - w banku, żeby podjąć gotówkę, na poczcie, żeby wynająć skrytkę pocztową, na stacji benzynowej, żeby zatankować przed planowanym na następny dzień wypadem do Hatteras -zmuszona była zdawać trudny egzamin z dopasowywania imion i nazwisk do twarzy, których od lat nie widziała.

Kiedy chowała zakupy do samochodu, w głowie jej huczało od strzępów informacji, a szczęka bolała od powtarzania w kółko, po co przyjechała i że nie zostaje na stałe. Cała była zlna potem, a plastikowe pantofle, które kupiła w Nowym Jorku, uwierały w stopy. Ale w dalszym ciągu nie spotkała pewnego kolegi ze szkoły, człowieka, dla którego tak się wystroiła - Spencera McKaya.

Nastawiła na cały regulator klimatyzację i ruszyła na północ, w kierunku Wichrowego Dworku, ostatniego domu przy drodze przed przystanią promową do Hatteras. Zatrzymała się pod wpływem

impulsu przed małym sklepikiem na skraju wioski. Postanowiła kupić butelkę wina na czekający ją długi samotny wieczór. Zaparkowała obok poobijanego, czerwonego pikapu i weszła do środka.

Kasjerka skierowała ją na tył sklepu, gdzie na górnej półce stały alkohole. Wybór był zaskakująco dobry. Gdy się zastanawiała, czy wziąć chardonnay, czy chablis, usłyszała podniesione męskie głosy dochodzące z sąsiedniego przejścia między półkami. Jacyś klienci spierali się o wyższość hot dogów nad hamburgerami czy odwrotnie. Sięgała właśnie po chardonnay, kiedy jeden z głosów wzniósł się ponad drugi. Zamarła. Nawet po piętnastu latach poznałaby ten głos wszędzie. Zostawiła butelkę i skierowała się do wyjścia.

- Znalazła pani? - spytała kasjerka.

- Nie. Rozmyśliłam się - mruknęła, pchając drzwi i wypadając w oślepiające słońce.

- Leigh? - dobiegł ją głos zza pleców, kiedy chwyciła już za klamkę swojego samochodu.

Odwróciła się. Patrząc pod słońce, nie widziała jego twarzy. Ale głos - ten sam, który słyszała przed chwilą w sklepie - niewiele się przez te lata zmienił. Nadal był głęboki, nadal rozkazujący.

Osloniła dłonią oczy i podniosła wzrok na stojącego o dwa kroki od niej mężczyznę. W ustach miała sucho, przed oczami wirowały jej czarne plamki.

- Cześć, Spencer.

Przesunął się w prawo, w cień rzucany przez markizę nad wejściem do sklepu. Teraz zobaczyła go wyraźnie. Oczy miał tak

samo błękitne jak dawniej, spłowiałe od słońca włosy trochę się przerzedziły, ale ogólnie rzecz biorąc, czas okazał się dla Spencera łaskawy. Kiedyś był wysoki i chudy, teraz nabrał ciała i zmeźniał. Szerokie bary, rozwinięta klatka piersiowa opięta niebieską koszulką, obcisłe dzinsy, płaski brzuch. Tak, Spencer wygląda lepiej, niż go zapamiętała.

Niepewność szybko zniknęła z jego uśmiechu.

- Myślałem, że śnię. Mignęły mi tylko twoje plecy, kiedy wychodziłaś, ale ja wszędzie bym je poznał.

Pokusa, by zapytać, czy miał to być komplement, szybko zgasła. Leigh wolała się nie wdawać w żadne, choćby tylko z pozoru osobiste dyskusje. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, ze sklepu wyszedł kilkunastoletni chłopiec. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Wybrałeś? - zwrócił się do niego Spencer.

- Hot dogi - burknął chłopiec, zerkając ciekawie na dorosłych.

Spencer przeniósł wzrok z powrotem na Leigh.

- Przykro mi z powodu twojej matki.

- Dziękuję - powiedziała schrypniętym głosem i cofnęła się do samochodu. - Miło było cię spotkać - skłamała, sięgając znowu do klamki.

Spencer przymrużył oczy. On zawsze potrafił czytać w myślach...

- Na długo przyjechałaś? - spytał, ruszając w jej stronę.

Otworzyła drzwiczki.

- Tylko się spakować i wystawić na sprzedaż dom rodziców.

Wyciągnął prawą rękę, jakby chciał ją przytrzymać. Leigh szybko wsiadła do auta.

- Nie przedstawiłem ci go - powiedział, wskazując na stojącego za nim chłopca. - To Jamie, mój syn.

Leigh spojrzała na Jamiego. Przed oczyma stanął jej obraz Jen. Ta sama karnacja i budowa. Oczy też zielone, przepełnione teraz zniecierpliwieniem. Ale nie pogardą, którą widziała w oczach Jen, kiedy się ostatnio widziały.

- Miło mi - powiedziała i kiwnęła głową. Zatrzęsnęła drzwiczki, zapaliła silnik i pod czujnym okiem Spencera wrzuciła wsteczny bieg. Wyjeżdżając z parkingu, pomachała mu ręką. Gdy skręcała w podjazd Wichrowego Dworku, nadal drżała.

Zachód słońca zapowiadał piękną pogodę na następny dzień, ale Leigh było to obojętne. Zjadła zaimprovizowaną kolację składającą się z kanapki i sałatki, i wyrzucając sobie, że nie kupiła wina, postanowiła wybrać się na spacer. Doszła podjazdem do głównej drogi, przecięła ją i zaczęła zstępować porośniętym trawą stokiem ku oceanowi. Przyływ trwał już od dwóch godzin i Atlantyk połykał powoli piaszczystą plażę.

Spienione języki fal wypluwały, a powracając, zlizywały z powrotem do morza przezroczyste trupy meduz oraz odpadki zarówno naturalnego, jak i sztucznego pochodzenia. Leigh przypomniała sobie, jak w dzieciństwie dorabiała z Jen fantastyczne opowieści do rozmaitych skarbów oceanu, które znajdowały podczas przyływu na brzegu. Ta zabawa przeciągała się czasami do późnego wieczoru, a przed wołającymi je po zachodzie słońca rodzicami kryły się w wysokiej trawie.

Zatrzymała się na samym brzegu i obejrzała na drogę. Wydało jej się, że pośród nadmorskich traw widzi dwie dziewczęce główki, ciemno- i jasnowłosą. Jen przyciągała zawsze Leigh do ziemi, zakrywała jej brudną rączką usta i szeptała: „Jeszcze pięć minutek! No! Pięć minutek!”. I oczywiście Leigh zawsze kapitulowała. Było to łatwiejsze, niż znosić następnego dnia fochy Jen.

Fala obmyła jej stopy. Cofnęła się od brzegu i odwracając się plecami do wioski, ruszyła na północ. Dziwne, od lat nie

wspominałam tych zabaw. Wbiła ręce w kieszenie podwiniętych dżinsów i przyspieszyła kroku. Tak. Rób to, co zawsze. Uciekaj od wspomnień. Głos w głowie nie milkł ani na chwilę, uniemożliwiając podziwianie zachodu słońca.

- A gdzie dzień dobry?

Leigh zatrzymała się jak wryta. Omal nie wpadła na przypominającego gnoma staruszkę, który szczyrzył do niej w uśmiechu rzadkie zęby. Cofnęła się o krok i wyciągnęła do niego ręce.

- Dziadek Sam!

- Już lepiej, już lepiej. - Staruszek wyciągnął szyję i cmoknął Leigh w policzek. - Drałowałaś po plaży, jakby stado krabów cię goniło. Widzę, że chodzisz wciąż po miejsku, ze spuszczoną zamiast z podniesioną głową.

Leigh uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Jak się masz, Sam? Ani trochę się nie zmieniłeś.

- O, parę zmarszczek to mi przybyło. Za to ty się zmieniłaś.

Bardzo...

- Spowaźniałam?

- Chciałem powiedzieć, że wyrosłaś, ale trudno, żebyś nie wyrosła. Nie widziałem cię od dnia pogrzebu twojego taty. Kiedy to było? Dziesięć, dwanaście lat temu?

- Dziesięć. Szmata czasu.

- Może dla ciebie. Ale dla mnie to jak tydzień. -Urwał. - Wracam właśnie do domu na herbatkę. Pójdiesz ze mną?

- Chętnie, Sam.

Ruszyli, oddalając się po przekątnej od brzegu. Do wzniesionej na pałach chaty Sama Logana, stojącej tuż przy drodze, mieli prawie kilometr.

- A więc morze cię jeszcze nie zabrało - zauważyła Leigh.

- Ano nie, chociaż parę razy mało brakowało. Leigh uśmiechnęła się. Podczas każdego z częstych na

Outer Banks sztormów miejscowi zakładali się, że siedziba starego Sama nie przetrwa nawałnicy. Ale chata, uznawana przez wielu za szalas, trwała już w tym niebezpiecznym miejscu od ponad trzydziestu lat. Leigh podejrzewała, że prędzej się zawali, niż zostanie zmyta przez ścianę wody.

Kiedy podeszli bliżej, zauważyła, że wszystko tu wygląda tak, jak zapamiętała, włącznie z otaczającym budynek naszyjnikami ze zużytych, pobielonych wapnem opon samochodowych, w których rosły czerwono-białe petunie. Weszła za Samem po schodkach na maleńką werandę i usiadła w jednym z zielonych foteli bujanych z wikliny.

- Najładniejszy widok na wyspie, co? - ni to stwierdził, ni zapytał Sam, uśmiechając się przy tym przyjaźnie.

- To prawda - przyznała Leigh.

Sam otworzył drzwi z siatki i zatrzymał się w progu.

- To co zwykle? - zapytał.

- Tak, proszę - wyszeptała, przypominając sobie nagle, ile bez troskich chwil spędziły na tej werandzie z Jen.

Sam wszedł do chaty, żeby zaparzyć herbatę z mięty pieprzowej, którą uprawiał w przydomowym ogródku.

Żarty żartami, ale z chaty Sama roztaczał się naprawdę najładniejszy widok na całej Ocracoke. Przed północnymi wiatrami osłaniał ją rząd cyprysów, a z werandy można było podziwiać panoramę oceanu aż po port Silver Lake na południowym zachodzie. Niektórzy nazywali dom Sama rudera, ale chata zbita z krzywych desek, ozdobiona drewnem wyrzuconym przez morze na brzeg, muszlami i pękami zasuszonych polnych kwiatów, miała jednak swój urok. Leigh nie zajrzała jeszcze do środka, ale wątpiła, by Sam coś tam zmienił od jej ostatniej wizyty.

Siatkowe drzwi otworzyły się i w progu, przytrzymując je nogą, żeby się nie zamknęły, pojawił się Sam z tacą w ręku.

- Pomóc? - Leigh zerwała się z fotela, ale Sam zdążył się już przecisnąć na werandę.

- Wciąż nie mam czasu naprawić sprężyny w tych drzwiach - wyjaśnił, stawiając tacę na polakierowanej drewnianej skrzynce przed Leigh. - Zresztą, komu ja tu będę oczy mydlił? Kiedy następny raz mnie odwiedzisz, drzwi też nie będą naprawione, chociaż wtedy możesz mnie już nie zastać i nie będzie miał ci kto zaparzyć herbatki.

Zastygła z ręką nad słoikiem miodu. Wygłaszanie takich ponurych sentencji nie było w stylu Sama. Zawsze szczyił się swoją sprawnością - zarówno fizyczną, jak i umysłową.

- Lepiej, żebyś tu był - odrzekła żartobliwie - bo co by bez ciebie poczęła pani Waverly?

Sam zarechotał.

- Prawda, prawda. Zapewne tylko zabiegi o wysiuda-nie mnie z tego kawałka plaży trzymają tę starą lalę przy życiu.

Leigh ukryła uśmiech. „Stara lala” była tylko o dwa czy trzy lata starsza od Sama.

- Zdrowie! - powiedziała, unosząc kubek, kiedy Sam usiadł przy niej.

Kiwnął głową, podstawiając swój kubek do stuknięcia.

- Dobrze cię znowu widzieć. - Poklepał ją po przedramieniu opaloną dłonią upstrzoną wątrobianymi plamami. - Czemu tak długo mnie nie odwiedzałaś?

Leigh odwróciła głowę. Nie chciało jej się wierzyć, że Sam nie wie o zdrze, jaka tkwi między nią a Jennifer. Wnuczka Sama opuściła wyspę kilka miesięcy po wyjeździe Leigh do college'u, i cztery miesiące później wyszła za Spencera.

Ale może Sam długą nieobecność Leigh na Ocracoke składał tylko na karb jej dążności do zdobycia wykształcenia i zrobienia kariery? Tak by było najlepiej. On też miał przed laty swoje problemy z Jen. Leigh wolała go nie dobijać opowieścią o jeszcze jednym wyskoku wnuczki.

- Wiesz, jak to jest - mruknęła. - Tyle spraw na głowie. Nie ma się jak wyrwać.

- Tak to jest - odezwał się po chwili milczenia. - I to nie tylko z wami, miastowymi. - Westchnął głośno. - Ale popatrz tylko na ten widok i powiedz mi, czy chciałabyś być teraz gdzie indziej?

- Nie, Sam, naprawdę. I z nikim innym. Odwrócił wzrok, ale zanim to zrobił, Leigh zauważyła, że ma łzy w oczach. Pili w milczeniu herbatę, podziwiając zachód słońca. W końcu Sam odstawił swój kubek na drewnianą skrzynkę i odchrząknął.

- Ona rzadko do mnie pisuje. Mówię o Jen. Namawiała mnie, żebym sobie założył telefon, ale chociaż chciałbym od czasu do czasu usłyszeć jej głos, to nie potrafię się jakoś przemóc.

Leigh stłumiła uśmiech. Jeżeli chodzi o postęp techniczny, Sam Logan był zatwardziałym konserwatystą.

- Słyszałaś, że mieszka teraz w Charlotte?

Leigh kiwnęła sztywno głową. Rozmowa zbaczała na niewygodne dla niej tory.

- Zeszłego lata wyszła za męża i dlatego jest teraz tutaj jej syn, Jamie. Jen zakłada nową rodzinę i Jamie chyba im tam trochę zawadzał.

- Nie wiedziałam - mruknęła Leigh.

Sam kołysał się przez chwilę w fotelu, po czym podjął:

- Tak czy siak, Jamie przyjechał tu zamieszkać z ojcem, ale coś mi się widzi, że nie jest z tego faktu szczęśliwy. - Znowu na chwilę urwał. - Jen musi chyba być teraz bardzo zajęta, bo dawno nie miałem od niej wiadomości. Od dwóch miesięcy nie daje znaku życia. Może się odezwie, kiedy dziecko przyjdzie na świat, ale pewności nie mam... - Głos mu się załamał.

- A co u Spencera? - zapytała Leigh. - Jak daje sobie radę? No wiesz, z synem i w ogóle.

Sam wzruszył ramionami.

- Z tego, co widzę, ma z nim krzyż pański. - Prychnął. - Kawał nicponia z tego chłopaka. Zadał się w Charlotte z jakąś bandą i narobił sobie kłopotów. Podejrzewam, że Jen nie mogła dojść z nim do ładu. Ni z tego, ni z owego zadzwoniła po tylu latach do Spencera i zapowiedziała, że przysyła mu syna.

- Nie mógł odmówić?

- Chyba mógł, zwłaszcza że to Jen przyznano prawo do opieki nad chłopcem. Ale sąd w Charlotte postawił warunek, że zawiesi Jamiemu karę, jeśli zgodzi się przenieść na jakiś czas tutaj i zamieszkać z ojcem.

- Karę? A co on zrobił? Sam zawahał się.

- Podłożył ogień pod jakiś opuszczony budynek. Mówi, że to był przypadek, i ja mu wierzę. - Sam podniósł głos, zupełnie jakby chciał zagłuszyć swe wątpliwości.

- Spencer nie jest tu niczemu winny. Może tylko tyle, że przez jedenaście lat prawie się nie widywał z synem. Oczywiście, posyłał Jenny pieniądze i ona je chętnie przyjmowała. Ta dziewczyna zawsze potrafiła dbać o swoje.

Była to pierwsza w miarę krytyczna uwaga na temat wnuczki, jaką Leigh usłyszała z ust Sama. Rodzice Jen zginęli na morzu, kiedy zaczynała dopiero raczkować, i od tamtego czasu wychowywał ją Sam. I naturalnie Sama obwiniała cała wioska za jej każdy nieodpowiedzialny postępek.

- Może wszystko się jeszcze jakoś ułoży... - powiedziała Leigh bez przekonania.

Sam poklepał ją po dłoni.

- Ty zawsze potrafiłaś wybaczać innym, zwłaszcza Jenny.

Leigh zaczerwieniła się. Co ty tam wiesz, Sam!

- Chyba już wrócę do siebie - powiedziała, wstając.

- Ściemnia się i za chwilę nie znajdę drogi.

Sam też podniósł się z fotela - zauważyła, że z pewnym trudem - i zaproponował, że pożyczy jej latarkę.

- Nie, nie. Trafię.

Ale on zniknął w chacie i wrócił szybko z latarką.

- Bierz, bierz. - Wcisnął ją Leigh w dłoń. - Na długo przyjechałaś?

- Tylko na tyle, ile trzeba, żeby sprzedać dom.

Na twarzy Sama odmalowało się rozczarowanie.

- Ale odwiedzisz mnie jeszcze przed wyjazdem?

- Naturalnie, Sam.

Pochyliła się, żeby go uścisnąć. Sam wyzwolił się po chwili z jej objęć i otarł oczy.

- Zaraz - rzekła pod wpływem impulsu - a może wpadłbyś do mnie jutro wieczorem na kolację?

- Bardzo chętnie, Leigh. Przy okazji odbiorę latarkę. Leigh ruszyła plażą. Kiedy nabrała pewności, że Sam nie widzi jej już ze swojej chaty, zgasiła światelko. Uwielbiała chodzić tą trasą po ciemku, pod rozgwieżdżonym w bezchmurne jak ta nocie niebem.

Dotarła do przerwy w pasie piaskowych wydm, gdzie wcześniej natknęła się na Sama, i przystanąła, by zrzucić sandały. Łatwiej było schodzić stokiem boso. Schylając się, usłyszała szelest dobiegający z wysokiej trawy po prawej stronie. Poświeciła w tamtą stronę i dostrzegła wycofującą się w popłochu postać, chyba mężczyzny, sądząc po koszulce i dżinsach, które przez moment jej mignęły.

- Halo! - zawołała, ale mężczyzna rozpląnął się już z powrotem w mroku.

Ściągnęła brwi. Żaden wyspiarz nie pozostawiłby bez odpowiedzi pozdrowienia, zwłaszcza na ciemnej plaży. Może to jakiś turysta na spacerze?

Ruszyła dalej. Dotarwszy do drogi, włożyła z powrotem sandały. Trzysta metrów przed sobą widziała już zapaloną lampę na werandzie Wichrowego Dworku. Droga nie była tu oświetlona, wyszła więc na jej środek.

W rowach po obu stronach kumkały żaby, niebo omiatał w regularnych odstępach czasu snop światła z latarni morskiej.

Kiedy była już w połowie drogi do domu, zza zakrętu wyłoniły się reflektory nadjeżdżającego od strony wioski samochodu. Zeszła na prawe pobocze. Samochód przemknął obok niej, by kilka metrów dalej zahamować z piskiem opon. Usłyszała zgrzyt wrzucanego wstecznego biegu.

Przez chwilę nie mogła się zdecydować, czy wskoczyć do rowu, czy uciekać w stronę domu. Tylko wariat albo pijany mógł gnać tak drogą po ciemku, a nie miała ochoty na spotkanie ani z tym

pierwszym, ani z drugim. Kiedy jednak w blasku zbliżających się tylnych świateł pozycyjnych rozpoznała zarysy pikapu, jej niepokój przeszedł w strach. Spencer McKay.

Pikap zjechał tyłem na pobocze i zatrzymał się obok niej. Spencer wystawił głowę przez otwarte okno.

- Cześć, Leigh.
- Cześć, Spencer.
- Rany, o mało cię nie rozjechałem.

Leigh uśmiechnęła się mimowolnie. Ten człowiek zawsze miał skłonność do nadawania swym działaniom pozorów przypadkowości.

- Niezupełnie, ale przyznam, że chciałam już skakać do rowu.

Spencer błysnął zębami w uśmiechu.

- Widzę, że poczucie humoru cię nie opuściło. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, podjął: - No więc... dwa razy w ciągu jednego dnia. I to po piętnastu latach.

- Masz swoją Ocracoke - mruknęła. Pokiwał powoli głową.
- Fakt.

Zapadła długa chwila niezręcznego milczenia. Leigh przerwała je pierwsza:

- Wieczorna przejażdżka, tak? Spencer popatrzył na drogę i westchnął.

- Nie, to dłuższa historia. Miałem małą sprzeczkę z Jamiem. Wypadł obrażony z domu. Myślałem, że go dogonię, zanim dobiegnie do Sama, bo chyba tam się udał.

- Właśnie wracam od Sama. Idąc plażą, widziałam kogoś na wydmach. Może to był Jamie.

- Najprawdopodobniej. Teraz jest już pewnie u staruszka. Nie ma sensu pędzić za nim na złamanie karku. - Zawiesił głos. - Podrzucić cię do domu?

- Nie, dziękuję. Nie warto. To tylko parę kroków.

Spencer patrzył na stojącą przed nim kobietę w podwiniętych dżinsach i baseballowej czapeczce, spod której wymykały się niesforne pasemka ciemnych włosów, i odnosił wrażenie, że widzi w niej znowu tamtą szesnastoletnią dziewczynę. Miał już dać za wygraną, kiedy nagle Leigh zniknęła mu z oczu i pojawiła się ponownie przy drzwiczkach od strony pasażera.

Wygląda na to, że jednak się zdecydowała. Wsiadła i przez jedną ulotną chwilę Spencer poczuł się z powrotem tak, jak za kierownicą starego pikapu ojca: i pędził drogą jak za dawnych lat, wdychając zapach Leigh. „Dokąd?” - chciał już, jak wtedy, zapytać. „Czy w jakieś specjalne miejsce?”

Ale wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi, jaką Leigh zawsze go raczyła: „Z tobą każde miejsce jest specjalne”. Przestań się, chłopie, umartwiać. Przeszłości nie da się wskrzesić.

- No i co? - spytał zamiast tego. - Jak znajdujesz Sama? Bardzo się zmienił?

- Wcale. Może tylko trochę bardziej posiwiał i zmarszczek mu przybyło. Poza tym wygląda jak dawniej.

Spencer zawrócił i ruszyli w kierunku domu Leigh.

- Pytam - podjął - bo martwię się o staruszkę. Nie, to nie konkretnego - dorzucił szybko - ale ostatnio jakby oklapł. Jakby się poddał.

- Mnie też napomknął, że nie będzie tu wiecznie.

Spencer zwolnił i zerknął na Leigh. Naprawdę wygląda na szesnastolatkę. Przemknęło mu przez myśl, że przejechał może przez jakąś pętlę czasu i dano mu jeszcze jedną szansę naprawienia starych błędów. Wtedy zarzuciłby rękę na oparcie fotela i koniuszkami palców dotknął lekko jej ramienia. Ona przysunęłaby się bliżej i złożyła głowę na jego barku. W nozdrza uderzyłby go świeży zapach jej szamponu. Przeniósłby rękę na dźwignię zmiany biegów, muskając po drodze, niby to przypadkiem, jej pierś, i powiedział schrypniętym głosem: „Nie przychodzi mi do głowy żadne miejsce, w które moglibyśmy pojechać...”. A ona, dobrze wiedząc, co to znaczy, roześmiałaby się ochryple, i ruszyliby przed siebie ciemną drogą, i...

- Spencer? Pytałam, czy Sam jest chory. O mało nie puścił kierownicy.

- Co? Ach, przepraszam. Raczej nie, ale energia jakby go opuszcza. Niby to zrozumiałe, bądź co bądź kończy w tym roku osiemdziesiąt lat. Ale co dwa tygodnie jeździ autobusem do lekarza do Nag's Head, a na początku wiosny spędził dwa tygodnie na kontynencie, w Raleigh. Nic nie powiedział, że się tam wybiera, uparty stary bałwan.

- Co o tym myślisz?

Wychwycił w jej głosie troskę i spojrzał na nią ostro. W poświacie bijącej od deski rozdzielczej dostrzegł, że drży jej dolna warga. Z trudem stłumił w sobie pokusę, która kazała mu zatrzymać samochód i zdusić to drżenie własnymi ustami.

- Myślę, że dowiedział się czegoś o stanie swojego zdrowia i ukrywa to przed nami.

- Pytałeś go?

Spencer prychnął.

- Pod tym względem staruszek nic a nic się nie zmienił, Leigh. Pytań o zdrowie i pieniądze unika jak turyści meduz; obchodzi je szerokim łukiem.

Leigh uśmiechnęła się, słysząc to porównanie.

- Nie chcę nawet myśleć, jakie byłoby życie bez dziadka Sama.

- Dziwne - mruknął Spencer.

- Co?

- Że to mówisz - odparł po chwili wahania - chociaż przez piętnaście lat żyłaś z dala od niego.

Zabolała ją ta uwaga, ale Spencer miał rację.

- Stań - szepnęła, kiedy pikap skręcił w podjazd Wichrowego Dworku. - Wsiądę tutaj.

- Posłuchaj - odezwał się, kiedy otwierała drzwiczki - nie chciałem, żeby ten wieczór zakończył się takim zgrzytem. Nie bierz sobie tak do serca tego komentarza. Stwierdzałem tylko fakt.

Leigh spojrzała na niego.

- Wiem, Spencer. Nic się nie stało. Ale to, że nie widziałam kogoś przez parę lat, nie znaczy jeszcze, że o nim nie myślałam.

Mówię o dziadku Samie - uściśliła.

Kiwnął głową.

- Tak, wiem.

Zatrzasnęła za sobą drzwiczki i patrzyła, jak samochód wycofuje się powoli z podjazdu. W pewnej chwili pikap zatrzymał się i Spencer znowu wystawił głowę przez okno.

- Może się jeszcze spotkamy przed twoim powrotem do Nowego Jorku?

Miała nadzieję, że nie wyczytał z jej twarzy przerażenia, jakie ją ogarnęło.

- Na pewno - odrzekła Leigh i pomachała mu na pożegnanie.

Wszedłszy do domu, skierowała się prosto do kuchni, żeby zrobić sobie kawę. Potem weszła na górę przebrać się. Spotkanie ze Spencerem wytrąciło ją z równowagi do tego stopnia, że o śnie nie było co marzyć, a zresztą w domu, pomimo balsamicznej bryzy wpływającej przez otwarte okno, było duszno. Poszperawszy w swojej starej komódce, znalazła parę dżinsowych szortów i luźną bluzkę, której od lat nie miała na sobie.

Przeszła korytarzem do sypialni rodziców. Pokój był duszny i zakurzony, okna zamknięte na głucho i zaklinowane. Jednak po krótkiej szarpaninie Leigh udało się je otworzyć i pokój wypełniło natychmiast rześkie powietrze oceanu. Widziała oczami wyobraźni

matkę krzątającą się tutaj, uklepującą poduszki i przypominającą każdemu w zasięgu jej głosu, że goście będą „za godzinę”.

Od kiedy ojciec Leigh, Pete, uznał, że jest już za stary, by uganiać się po Atlantyku na łodzi rybackiej, Randallowie zaczęli prowadzić w swoim domu pensjonat z noclegiem i śniadaniem. Leigh miała wtedy trzynaście lat i ta zmiana stylu życia rodziny była dla niej z początku ekscytująca. Cieszył ją każdy gość zatrzymujący się w Wichrowym Dworcu - to ona wybrała dla ich domu tę nazwę.

Ale potem jej przeszło. Gdy miała szesnaście lat i spotykała się regularnie ze Spencerem McKayem oraz przygotowywała do rozpoczęcia nauki w college'u, nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie opuści zarówno Wichrowy Dworek, jak i samą wyspę.

Biedna mama, pomyślała. Jakby mało było tego, że u jej męża zaczynały występować pierwsze objawy Alzheimerera, miała jeszcze na głowie zbuntowaną nastolatkę.

Łzy napłynęły jej do oczu i usiadła na podłodze przy łóżku, żeby przejrzeć albumy ze starymi fotografiami, które znalazła w szafie. Część z nich rodzice odziedziczyli po swoich rodzicach, w nowszych znajdowały się zdjęcia z dzieciństwa Leigh. Została zaadoptowana przez Randallów jako niemowlę, i przybrani rodzice robili jej mnóstwo zdjęć, a albumy z nimi przechowywali razem z albumami swojej rodziny, tak jakby te poważne twarze z przeszłości należały do jej przodków.

Przewracała ostrożnie, ale szybko, kartki jednego z albumów. Dokładniej przejrzy je wszystkie któregoś zimowego wieczoru w Nowym Jorku. Tylko nad jedną fotografią zatrzymała się dłużej.

Stała na niej z rodzicami na trawniku przed szkołą w dniu rozdania dyplomów jej ukończenia. Była w białej sukience i trzymała naręczce róż, które ojciec dał jej z dumą tuż przed zrobieniem zdjęcia. Jacy młodzi wtedy byliśmy! Młodzi i pełni nadziei. Tata jeszcze w formie, pomimo zdarzających mu się coraz częściej, frustrujących zaników pamięci, mama silna i dumna - starająca się zawsze nieba nam przychylić. Moja fryzura w stylu Farrah Fawcett, prosto z salonu piękności w Hatteras, promienna twarz.

W tle, po prawej stronie fotografii, dostrzegła czyjaś nogę w dżinsach. Była to noga Spencera. Naturalnie zepsuł całą ceremonię. Pamiętała te zgorszone spojrzenia nauczycieli i dygnitarzy - ludzi, którzy dosyć mieli jego wyskoków.

Zamknęła album; było już po północy i ogarniała ją senność. Kiedy wpychała albumy nogą pod łóżko, poczuła, że natrafiły na jakąś przeszkodę. Uniosła brzeg narzuty i zajrzała tam. Pod łóżkiem leżała mała skórzana walizka. Przyciągnęła ją, pomagając sobie kijem od szczotki.

Nie przypominała sobie tej walizki. Była zniszczona, oblepiona wyblakłymi, odłazącymi naklejkami hotelowymi. Odpięła mosiężne zatrzaski, uchyliła wieko. Walizka wypchana była papierami, zeszytami i książkami kucharskimi. Leżała tam też paczuszka owinięta w bibułę, a w środku znajdował się robiony na drutach

dziecięcy sweter. Niestety, nie znalazła ukrytego skarbu. Zamknęła walizkę, wepchnęła ją z powrotem pod łóżko i położyła się spać.

RS

Zerwała się przerażona, spazmatycznymi haustami wciągała powietrze w płuca. Mokra nocna koszula lepiała się do ciała. Miała wrażenie, że jest pod wodą. Kiedy po chwili jej wzrok przywykł do ciemności i zobaczyła blade fałdy zasłony wydymane podmuchami słabego wiatru, przyszło opamiętanie. Jej sypialnia. Jest w domu.

Oparła się o wezglowie łóżka, oddychając głęboko, by uspokoić rozdygotane mięśnie i nerwy. Nie miała tego snu od lat. Dręczył ją przez kilka tygodni po pamiętnym wieczorze rozdania dyplomów, ale później, z pomocą matki, wygrała bitwę z nawiedzającymi ją nocą koszmarami.

Zadziwiająco, jak wyrazisty był ten sen, pomimo że tyle czasu już upłynęło. Jeszcze teraz, już rozbudzona, Leigh miała przed oczami otaczające ją półkolem, podświetlone latarkami, widmowe twarze kolegów i koleżanek. Było ich siedmioro, połowa świeżo upieczonych absolwentów szkoły w Ocracoke. Po uroczystości przebrali się i popłynęli dwoma łodziami na wieczorny piknik na bezludną wyspę Portsmouth położoną pośrodku cieśniny Ocracoke, dwie mile od portu Silver Lake. Tam zaskoczył ich sztorm.

- Zwariowałaś - mruknął Jeff, gdy zaproponowała, by przeczekali sztorm na Portsmouth, by siedzieli na wyspie choćby do rana, jeśli okaże się to konieczne.

Ale Leigh, zdając sobie sprawę, że jest jedyną rozsądną spośród raczącego się piwem towarzystwa, nie ustępowała.

- Za silny wiatr. Przecież wiesz, jak jest w cieśninie podczas sztormu. Spójrz tylko! Ledwo widać latarnię morską przy Silver Lake.

Wszyscy popatrzyli we wskazanym przez nią kierunku. Po drugiej stronie cieśniny Ocracoke połyskiwała blado maleńka iskierka światła.

- Ani myślę siedzieć tu całą noc! - zaprotestowała histerycznie Laura. - Ciarki mi chodzą po plecach, jak patrzę na te opuszczone domy i chaty. Pewnie szczury tam są, albo jeszcze gorzej!

Jej wybuch zamknął dyskusję.

- Czyli wracamy, tak? - powiedział Jeff, odwracając się do reszty.

Wszyscy chcieli wracać. Kiedy płynęli już przez cieśninę, Leigh przypomniała sobie ze zgrozą, że zostawili na wyspie kamizelki ratunkowe, które służyły im tam za poduszki. Ukryła twarz w dłoniach i poderwała głowę dopiero wtedy, gdy usłyszała krzyk Laury. Zbliżała się do nich największa fala, jaką w życiu widziała.

Otarła sobie twarz i szyję skrajem prześcieradła. Uspokajała się powoli. Mogła się spodziewać, że powrót do domu nie będzie łatwy. Przed oczami stanęła jej nagle twarz Spencera.

Westchnęła i zerknęła w stronę okna. Brzask rozjaśniał już niebo. Wstała z łóżka i rozsunała kotary. Pobiega i popatrzyła na wschodzące słońce. Dziesięć minut później wychodziła już kuchennymi drzwiami na dwór, delektując się chłodną wilgocią wstającego dnia.

Przebiegła kawałek główną drogą, potem skręciła ku plaży. Niebo na horyzoncie z lewej strony różowiało. Widok ten przypomniawszy jej, jak przed laty sypiały z Jen pod gwiazdami i budziła je kula słońca wynurzająca się spod srebrzystych fal. Zwolniła. Przyłapała się na tym, że znowu myśli o Jen, o Samie i o Spencerze. Przestań, Randall, pomyślała i wykrzywiła usta. Skup się na interesach. Nie zapominaj, po co tu przyjechałaś. Sprzedać dom.

A jednak... Jest tu dopiero drugi dzień, a już pomysł ze sprzedażą domu zaczyna jej się wydawać poroniony. Dlaczego? Zatrzymała się i powiodła wzrokiem po roziskrzonym oceanie, po stadach mew umykających przed falami, a potem spojrzała w kierunku wioski.

To dlatego uważam pomysł sprzedania Wichrowego Dworku za poroniony, uznała. Bo sprzedając go, wyrzekam się na zawsze tej wyspy. Ruszyła dalej spacerem po wilgotnym piasku. Po chwili znowu się zatrzymała, i wzięła pod boki. Dostyc sentymentów. Nie masz tu już nikogo. Nic, tylko wspomnienia. Mieszkasz teraz w Nowym Jorku i tam jest twój dom.

Pomyślała o swoim gabinecie z zapierającym dech w piersiach widokiem na panoramę miasta. Stoczyła długą, bo trwającą dziesięć lat, zażartą bitwę o ten gabinet i ten widok. Miała teraz dobrą pensję i przywileje związane z zajmowanym stanowiskiem, miała też w Nowym Jorku przyjaciół - a wątpiła, by na Ocracoke została choćby jedna przyjaźnie do niej nastawiona osoba. Większość starych znajomych wyjechała stąd zaraz po ukończeniu szkoły. Reszta

kolegów i koleżanek z klasy zaczęła jej unikać, zanim jeszcze końca dobiegło śledztwo w sprawie wypadku.

Osloniła dłonią oczy przed blaskiem wschodzącego słońca i spojrzała w kierunku przystani. Odechciało się jej biegania. Ruszyła szybkim krokiem ku drodze prowadzącej do wioski.

Rybacy byli już na nogach. Rozplątywali liny i sieci, nawoływali się z pomostów przystani. Wioska rozrosła się od wyjazdu Leigh, ale głównie o sklepy i hoteliki. Liczba mieszkańców pozostała mniej więcej taka sama. Ocracoke, podobnie jak inne wysepki Outer Banks, zapełniała się pod koniec czerwca tłumami turystów, by w połowie września wyludnić się i stać z powrotem senną rybacką osadą.

Leigh szła poboczem drogi. Liczba domów do wynajęcia i pensjonatów utwierdzała ją w przekonaniu, że dobrze robi, sprzedając Wichrowy Dworek. Popularność Outer Banks wśród urlopowiczów przekłada się na strumień pieniędzy płynący do kieszeni miejscowych. Gdyby rodzice żyli, ciągnęliby teraz z Wichrowego Dworku niezłe zyski. Oczy Leigh zaszyły łzami. Zamknęła je na moment i przez to omal nie wpadła na samochód, który się przed nią zatrzymał.

- Hola! Słyszałem, że nowojorczyacy mają w pogardzie przepisy, ale tu jest Ocracoke. A tak nawiasem mówiąc, jakie może być prawdopodobieństwo, że wpadniesz akurat pod mój samochód, skoro oprócz ciebie i mnie nie ma na drodze nikogo? Założymy się?

Leigh nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Niestety, nie lubię się zakładać - powiedziała. Spencer McKay zsunął z nosa okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej ją widzieć.

- A szkoda. Jaka jest szansa, pytam ciebie, natknięcia się na tę samą osobę trzy razy w ciągu... ilu to? niecałych dwudziestu czterech godzin?

- W Nowym Jorku czy tutaj, na Ocracoke? Spencer wzruszył ramionami.

- Gdziekolwiek. Według mnie, to wbrew teorii prawdopodobieństwa. Może powinniśmy to zgłosić wydawcy książki rekordów? - Nie mógł oderwać oczu od Leigh.

- Jechałem właśnie na śniadanie do tej nowej ciastkarni - zmienił temat. - Zabierzesz się ze mną?

- Nie mam przy sobie pieniędzy.

Machnął lekceważąco ręką.

- Ja stawiam. Wskakuj.

Leigh, rezygnując ostatecznie z porannego biegu, wsiadła do kabiny.

- Nie mam za dużo czasu - oznajmiła. - Muszę dzisiaj posprzątać i posegregować rzeczy.

- Nie ma jeszcze wpół do siódmej. Kawę możesz spokojnie wypić. - Spencer wrzucił bieg i wyjechał na drogę. - Wcześniej wstałaś - zauważył.

- Obudziłam się przed świtem i nie mogłam już zasnąć. Pomyślałam, że popatrzę sobie na wschód słońca. Zresztą nie biegałam już rano od kilku dni.

Zerknął na nią z zaciekawieniem.

- Biegasz w mieście?

- Codziennie, jeśli tylko mogę. Zaraz po brzasku. Nie odzywał się przez chwilę.

- Z kimś? - spytał w końcu.

- Zawsze z kimś - odparła. - Moja sąsiadka też biega.

- To dobrze. Chyba niebezpiecznie jest biegać samej w Nowym Jorku.

- Nowy Jork nie jest wcale bardziej niebezpieczny od innych miejsc; trzeba tylko wiedzieć, gdzie się lepiej nie zapuszczać.

- Ale to na pewno nie to, co bieganie po Ocracoke.

- Fakt.

Miasto nigdy nie zasypia; o każdej porze dnia i nocy na ulicy można spotkać przechodniów i samochody. Biegając po wyspie, Leigh miała na niektórych odcinkach wrażenie, że jest sama na świecie. Nie była pewna, co jej bardziej odpowiada.

Spencer skręcił na prawie pusty parking.

- Otwarte? - spytała Leigh.

- Mam nadzieję - odparł, gasząc silnik. - Reklamują się od paru tygodni, ale dzisiaj jestem tu pierwszy raz. Trudno zmienić stare przyzwyczajenia.

- A Village Cafe jeszcze działa?

- Działa, ale Marvowi i Lou coraz trudniej konkurować z nowymi przybytkami.

Leigh dogoniła go pod drzwiami cukierni. Zawsze chodził szybko, trudno było dotrzymać mu kroku.

Zatrzymali się na chwilę w wejściu, dając oczom czas na przystosowanie się do zmiany oświetlenia. Przy stoliku po prawej jakiś mężczyzna mieszał kawę i rozkładał gazetę. Kobieta wycierała ściereczką kontuar ciągnący się od kasy po oszkloną gablotę. Za kontuarem, na półkach aluminiowego regału na kółkach, stały tace ze świeżymi wypiekami.

- Dzień dobry - zahuczał w pustej sali głos Spencera. Kobieta skinęła głową i zaprosiła ich gestem ręki do zajęcia miejsce

- Proszę usiąść. Zaraz podejść. Kawa?

- Poprosimy.

Spencer przepuścił Leigh przodem, a potem, napierając lekko czubkami palców na jej plecy, skierował się w głąb sali, ku stolikowi przy oknie. Leigh przypomniała sobie, że w ten sam sposób prowadził ją zawsze na parkiet podczas potańcówek w szkole. Bliskość Spencera miała wtedy na nią magiczny wpływ. Dreszcz ją przeszedł na to wspomnienie.

- Zimno ci? - spytał, kiedy zajmowała miejsce naprzeciwko niego.

- Troszeczkę. - Odruchowo zaczęła rozcierać ręce, ale przerwała, widząc, że Spencer się uśmiecha. Czyżby czytał w jej myślach? - To ta klimatyzacja - mruknęła, unikając jego wzroku.

Kobieta postawiła przed nimi kawę i przyjęła zamówienie. Poprosili o biskwity z truskawkami.

- To miejscowa? - spytała Leigh, kiedy kobieta się oddaliła.

- Nie. Przed dwoma laty przyjechała tu z mężem z Raleigh.

- Chodząc wczoraj po wiosce, nie mogłam się nadziwić, jak tu się zmieniło. Nawet biblioteki już nie ma.

Spencer rozerwał torebeczkę z cukrem i wsypał jej zawartość do kawy.

- Jest, przeniesiono ją tylko. Mieści się teraz w szkole publicznej, a w dawnym budynku urządzono muzeum.

- Dobrze przynajmniej, że jej całkowicie nie zlikwidowali.

- Tak, tylko że nie jest to już najmniejsza biblioteka publiczna w Ameryce.

Leigh uśmiechnęła się.

- Pamiętam, jak chwaliłam się tym przed dziećmi, które przyjeżdżały tu na lato.

- Pamiętam, kiedy wzniesiono ten budynek.

- Mówisz jak staruszek - zauważyła ze śmiechem Leigh.

- Bo tak się ostatnio czuję - mruknął.

To stwierdzenie tak nie pasowało do urwisowatego Spencera, którego pamiętała, że nie wiedziała, jak zareagować. Zwątpienie i brak pewności siebie nie miały nigdy dostępu do Spencera, którego kochała. Tamten Spencer - z kosmykami złocistych włosów opadającymi na czoło i przekornym uśmieszkiem na ustach - rzadko ustępował komuś pola. Nawet nauczyciele, zwracając się do niego, spuszczały z tonu.

Pamiętała, jak dziadek Sam powiedział raz, że Spencer potrafiłby oczarować nawet morskiego węża. Musiała przyznać, że sama uległa temu czarowi. Kusilo ją, by spojrzeć mu w oczy i

sprawdzić, czy ten czar nadal działa, wołała jednak nie ryzykować. Wpatrywała się w swoją kawę aż do nadejścia kelnerki z zamówieniem.

Jedli w milczeniu. Pierwszy przerwał je Spencer:

- A więc wystawiasz dom na sprzedaż? Przelykając kęs biskwita, kiwnęła głową.

- Po to właśnie przyjechałam - wymamrotała i natychmiast, zła na siebie, ugryzła się w język. Przecież mówiła mu to wczoraj.

- Żal sprzedawać taką piękną posesję.

- Większy żal, kiedy stoi pusta - odrzekła z rosnącym rozdrażnieniem.

Teraz z kolei Spencer wbił wzrok w kubek. W końcu skinął na kobietę, która układała teraz paszteciki w gablotce, i poprosił o dolewkę kawy. Kiedy odeszła, spytał:

- Z Nowego Jorku domem w żaden sposób nie możesz się chyba opiekować?

Absurdalność sugestii zawartej w tym ni to pytaniu, ni stwierdzeniu na chwilę odebrała Leigh głos.

- W zeszłym roku opiekował się nim pan Jensen - odparła, ochłonawszy trochę - ale teraz nie jest już w stanie. Wynajmowanie nie ma sensu, bo dalej musiałabym...

- Przyjeżdżać tu od czasu do czasu na kontrolę.

- Właśnie. A z Nowego Jorku daleko do Ocracoke. Przez twarz Spencera przemknęło coś, czego Leigh nie potrafiła nazwać.

- Zresztą po śmierci rodziców nie mam tu już właściwie po co przyjeżdżać - dorzuciła.

Spencerowi wyraźnie poczerwieniała szyja. Wypił długi łyk kawy i powiedział:

- Jest jeszcze Sam. Wiem, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł cię tu częściej widywać.

- Sam ma swoją rodzinę - odparła, uświadamiając sobie natychmiast, jak nieprzekonująco i niezręcznie to zabrzmiało.

- Tak, rodzinę jak się patrzy.

Gorycz tego komentarza zamknęła jej usta. Korciło ją, by podjąć temat, obawiała się jednak, że skończy się to powrotem do przeszłości, a na to nie była jeszcze gotowa. Zmięła papierową serwetkę i rzuciła ją na talerzyk.

- Muszę już wracać. Wezmę prysznic i... do roboty.

Posepność spojrzenia Spencera przykuła ją do krzesła. Kosmyk włosów jak zwykle opadł mu na opalone czoło, najwyraźniej się jeszcze nie golił. Zauważyła pierwsze zmarszczki w kącikach niebieskich oczu - zwykła je nazywać chabrowymi. Z tą bruzdą między gęstymi, rudawymi brwiami wyglądał na trochę więcej niż swoje trzydzieści pięć lat.

Ale Leigh wiedziała, że on nigdy nie będzie staruszkiem. W każdym razie nie duchem.

- Odwiozę cię - odezwał się w końcu i skierował do kasy uregulować rachunek.

Jego chód wydał jej się nagle tak samo znajomy jak szorty, które znalazła poprzedniego dnia w szufladzie komódki. Zabrakło jej tchu w piersiach, lecz musiała się ruszyć. Zresztą, nie potrafiłaby usiedzieć ani sekundy dłużej. Spencer otworzył przed nią drzwi i je przytrzymał. Kiedy wsiadali do samochodu, podziękowała mu za śniadanie.

- Nie ma sprawy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i kiedy oglądając się, by wycofać samochód na drogę, zarzucił rękę na oparcie siedzenia, jego palce musnęły przelotnie ramię Leigh. Ich oczy spotkały się na moment. Leigh uśmiechnęła się niepewnie.

- Przepraszam - mruknął i przeniósł rękę z powrotem na kierownicę.

Dziwne, że coś tak trywialnego potrafi wskrzesić tyle wspomnień, pomyślała Leigh. Patrzyła na jego długie, opalone palce, na porośnięte jasnym meszkiem knykcie. Były to dłonie człowieka pracującego fizycznie od najmłodszych lat. Nadal widniały na nich odciski od noża do skrobania ryb, od sieci i lin. Ale paznokcie były obcięte i czyste.

Spencer pochodził z innego domu niż reszta miejscowej młodzieży. Jego ojciec, podobnie jak w tamtych czasach większość mężczyzn z wyspy, był rybakiem, lecz zgubił go alkohol. Żona odeszła, rodzina się rozpadła. Całe Silver Lake przyznawało zgodnie, że Spencer McKay wychowywał się praktycznie sam.

Leigh pamiętała wciąż moment, kiedy jej palce splotły się z palcami Spencera. Było to na potańcówce u Sadiego Hawkinsa, dwa

lata przed ukończeniem szkoły. Przyszli na nią osobno. Leigh z Jen i jej chłopakiem, Spencer z dziewczyną ze swojej klasy. Wyraz totalnego znudzenia malujący się na jego twarzy sprawił, że Leigh, podjudzona przez Jen, poprosiła go do tańca Tego wieczoru odprowadził ją do domu.

- O czym myślisz?

Otrząsnęła się ze wspomnień. Spencer uśmiechał się.

- Wyglądałaś, jakbyś była daleko. Leigh odchrząknęła.

- Bo byłam.

- W Nowym Jorku? Pokręciła głową.

- Daleko, ale nie w kilometrach, lecz w latach.

- Aha. Cóż, to zrozumiałe, że powrót do domu nastraja do wspomnień.

- Tak - mruknęła.

Wrzucając bieg, zerknął na nią z ukosa.

- Mam nadzieję, że nie wszystkie są złe.

- Nie wszystkie.

Bębniąc palcami w kierownicę, szukał słów. Zdawał sobie sprawę, że powiedział więcej, niż powinien. Od kilku tygodni, odkąd dowiedział się o przyjeździe Leigh Randall na Ocracoke, myślał o niej bez przerwy. Wspominał, jak im kiedyś z sobą było, i jak to się skończyło.

Leigh miała trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy zauważył jej urodę. Spotkał ją i Jen, spacerując na moczarach; jej długie czarne włosy lśniły w słońcu jak ebonit. Od tamtego dnia czekał na nią

cierpliwie i doczekał się. Ich dłonie splotły się w końcu na zabawie u Sadiego.

Owszem, chodził potem z innymi dziewczynami, ale nigdy nie traktował tego poważnie. Wiedział, że pewnego dnia, gdy nadejdzie pora, Leigh Randall będzie jego.

Teraz jest na wyspie Ocracoke - najpiękniejszym miejscu pod słońcem - i wiezie pikapem pierwszą kobietę, którą pokochał.

Ona jest wolna i ty jesteś wolny. Czy mogło lepiej się złożyć? - zadał sobie pytanie. Zerknął na profil Leigh i westchnął. Miejmy nadzieję.

- To twoja lornetka?

Zaskoczyło go to niespodziewane pytanie.

- Hm? Atak, moja.-Spojrzał na lornetkę leżącą między nimi na siedzeniu. - Obserwowałem o świcie ptaki na moczarach.

- Ty obserwowałeś ptaki?

- Tak trudno w to uwierzyć? Leigh pokręciła głową.

- Nie... chyba nie, tylko nigdy nie podejrzewałam, że jesteś.

- Miłośnikiem przyrody? Roześmiała się.

- Jest w tym określeniu coś fajłapowatego, co zupełnie mi do ciebie nie pasuje.

- Cóż, uznaję to za komplement.

- Kiedy zacząłeś obserwować ptaki?

- Kilka lat temu.

Ta zdawkowa odpowiedź wywołała na ustach Leigh uśmiech. Spencer nigdy nie lubił mówić o sobie.

- Wiele się pozmieniało na wyspie od czasu mojego wyjazdu.

- Żebyś wiedziała - przyznał cicho. - No, chyba jesteśmy.

Leigh rozejrzała się i zdziwiona skonstatowała, że to już podjazd do Wichrowego Dworku. Zapomniała, jak mała jest wyspa.

- Dzięki za kawę, Spencer. Było... miło - powiedziała, znajdując po chwili wahania neutralne słowo.

- Tak. Może to kiedyś powtórzymy.

- Może. - Sięgnęła do klamki.

- A może bym tak z tobą pobiegał... To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko towarzystwu.

Leigh spoważniała.

- Zobaczymy. Nie wiem jeszcze, jak długo tutaj zabawię.

Wysiadła. Dochodziła już do drzwi, kiedy Spencer zawołał:

- Przyjemnego sprzątania!

Pomachała mu i otworzyła siatkowe drzwi. Zatrzymała się w mrocznym holu i patrzyła przez gęstą siatkę, jak Spencer wycofuje samochód na drogę. Kropelki potu spływały jej po szyi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że dyszy ciężko, jak po długim forsownym biegu.

Czuła, że z jej powitalnego uśmiechu bije nieszczerłość. Miała nadzieję, że Sam tego nie zauważył, lecz była przekonana, że dostrzegł to wyglądający zza jego pleców Jamie w naciągniętym na głowę kapturze kurtki. Sam wskazał za siebie zwiniętym w rurkę kapeluszem i powiedział:

- Wpadłem tu po południu, żeby spytać, czy mogę przyprowadzić Jamiego, ale cię nie zastałem.

Zbita z tropu widokiem niespodziewanego dodatkowego gościa, szukała gorączkowo słów.

- Przepraszam... Wybrałam się po zakupy do Hatteras i wróciłam dopiero po czwartej. Ale wspaniale, że go ze sobą zabrałeś, Sam. Będzie weselej. Wystarczy dolać jeszcze jedną szklankę wody do zupy, jak mawiał mój tato. W tym przypadku, dorzucić jeszcze jedną garść makaronu do rondla. Wchodźcie.

Leigh, choć patrzyła na Sama, przez cały czas czuła na sobie wzrok chłopca. Odsunęła się na bok, przepuszczając gości. Jamie przygarbił się jeszcze bardziej, wcisnął ręce w kieszenie dzinsów, przestąpił próg i zatrzymał się zaraz za nim, wbijając wzrok w podłogę. Wchodzi tu jak na skazanie, przemknęło Leigh przez myśl.

- Bo widzisz - paplał dalej Sam - do Spencera dzwonili z Charlotte, że jutro z samego rana ma się tam stawić na jakieś spotkanie, i pomyślałem sobie, że lepiej niech wybierze się tam już dzisiaj. No i... eee... chłopiec zostaje u mnie na noc, a nie chciałem...

- Nie tłumacz się, Sam - przerwała mu. - Jamie jest tu równie mile widziany jak ty. Spotkałam Spencera rano w wiosce. Mam nadzieję, że ta wyprawa do Charlotte to żaden nagły wypadek ani nic w tym rodzaju.

Jamie kryjący się za plecami Sama prychnął głośno.

- Nie, nie - powiedział szybko Sam. - Wiedział o tym spotkaniu, tylko nie znał daty.

- Mogłem zostać w domu - burknął Jamie - ale nikt mi tutaj nie dowierza.

Samowi pociemniała twarz.

- Starczy tego, chłopcze. Znasz reguły. I ściągnij ten kaptur z głowy. Jesteś pod dachem.

Nadzieja Leigh na spokojną wieczorną pogawędkę z Samem zaczynała się rozwiewać. Stali przez chwilę w holu, popatrując na siebie.

- No cóż - odezwała się w końcu Leigh - chyba zjemy na tarasie. Przejdźmy przez kuchnię, zabierzemy po drodze napoje. - Ruszyła przodem, słysząc za sobą ciche popiskiwanie gumowych podeszew. - Kończyłam właśnie przyprawiać sałatkę.

- Pomóc ci w czymś?

- Dzięki, Sam, ale wszystko już prawie gotowe. Daj mi kurtkę i kapelusz. Piwo?

- Zimnego piwka nigdy nie odmówię.

Leigh uśmiechnęła się. Tak naprawdę Sam nigdy nie pił dużo.

- A ty, Jamie? - zwróciła się do chłopca. - Coli? - Jamie oglądał starą ręczną pompę zainstalowaną na końcu kuchennego blatu, w którym osadzono nowszy zlewozmywak z nierdzewnej stali z normalnym kranem.

- Ta pompa połączona była kiedyś ze zbiornikiem wody pitnej, który stał za domem - wyjaśniła Leigh.

- Aha - mruknął Jamie, nie odwracając się, i dalej wodził palcem po drewnianej rączce pompy i dziobku z kutego żelaza. Potem ściągnął kaptur z głowy i spojrzał na Leigh oczami Jen Logan.

Jamie miał jasne włosy, ale w innym niż ojciec odcieniu, bardziej platynowe, jak Jen. Po- matce odziedziczył też oczy o barwie morskiej zieleni, które potrafiły stawać się czasem lodowate jak wody cieśniny Pamlico w zimie. W sumie, choć budową przypominał ojca, Jamie był bardziej Loganem niż McKayem.

- Może być cola.- mruknął teraz, znowu wbijając wzrok w podłogę.

Leigh spojrzała na Sama. Staruszek wzruszył tylko ramionami i wyszedł na taras.

- A używasz jeszcze tego zbiornika? - spytał Jamie, odbierając od Leigh szklanekę z colą. - Wierzyć mi się nie chce, że czerpaliście kiedyś wodę z pompy, nie z kranu. Tu musiało być jak w epoce kamiennej.

Leigh z trudem powstrzymała śmiech.

- W porównaniu z dniem dzisiejszym było ciężko. Ale później na wyspie zainstalowano wieżę ciśnień - pewnie ją widziałeś - i zbudowano zakład odsalania wody morskiej. Wcześniej zdarzało się, że w lecie wodę racjonowano.

- Racjonowano? - zdumiał się Jamie. - Jak podczas drugiej wojny światowej?

- Nawet teraz się zdarza, że zużycie wody bywa kontrolowane - odparła z uśmiechem, krojąc składniki sałatki. - Chyba rzadko bywasz na Ocracoke - podjęła po chwili, uświadamiając sobie, że Jamie wciąż za nią stoi.

- Rzadko. Wyjechaliśmy stąd z mamą, kiedy miałem trzy lata. Ale pamiętam jak przez mgłę niektóre miejsca. Po przeniesieniu się na kontynent odwiedzałem przez parę lat tatę, ale potem przestałem przyjeżdżać.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Pauza. - Rodzice z sobą nie rozmawiali. Mama nie mogła znaleźć pracy, więc często się przeprowadzaliśmy.

- Musiało ci być ciężko.

Nie odpowiadał. Leigh chciała na niego spojrzeć, ale nie miała odwagi się odwrócić.

- Tak - odezwał się w końcu. - Nie bardzo mi się to podobało. Trudno było o kolegów.

- A miałeś przez ten czas jakiś kontakt z ojcem? Znowu pauza.

- Nie bardzo. Wysyłał mi kartki z życzeniami i prezenty na każde urodziny, ale czasami docierały do mnie dopiero po paru miesiącach. To nie było to.

- Twojemu ojcu też chyba musiało być ciężko.

- Wątpię. Przysyłał mi te rzeczy nie z miłości, tylko z poczucia winy.

Tym razem Leigh zerknęła na niego przez ramię. Twarz miał zarumienioną, oczy pociemniałe. Wolała zostawić ostatnie słowa bez komentarza. Zgarnęła do sałatki ostatni plasterk cebuli i podstawiła deskę do krajania pod kran. Jamie oglądał kolekcję fotografii wyspy wiszących na ścianie.

- Mój ojciec je zbierał - mruknęła Leigh. - Wiele sam zrobił.

- Tak? Fajne.

- Marzył, żeby wydać je w albumie. Ale jakoś nigdy tego marzenia nie zrealizował.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Przyznam, że go nie pytałam. Chyba z braku czasu. Łowienie ryb to ciężka praca.

- Był rybakiem? Jak dziadek Sam? Leigh kiwnęła głową.

- Dopóki miał siły. Potem prowadzili z mamą pensjonat w tym domu.

- Tutaj?

Leigh znowu nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- W tamtych czasach wyspy nie były tak zagospodarowane jak teraz. Przyjezdni nie mieli do wyboru tylu co obecnie kwater.

- Aha - mruknął chłopiec, i nagle wyrzucił z siebie: - Kiedy dorosnę, będę robił, co zechcę. Nie mam zamiaru iść na łatwiznę.

Co to ma do rzeczy? - zdziwiła się Leigh i odwróciła od zlewu, żeby wyjąć talerzyki z kredensu. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- To godne pochwały - rzekła ostrożnie. - Ludzie powinni realizować swoje marzenia.

Jamie wziął od niej bez słowa stosik talerzyków z ułożonymi na wierzchu sztuccami i serwetkami i ruszył z tym do drzwi prowadzących na taras. W progu obejrzał się i powiedział:

- Wszyscy dorośli, których znam, zrezygnowali ze swoich marzeń. Mama i tata, nawet dziadek Sam.

Otworzył nogą siatkowe drzwi i wyszedł na taras. Leigh oparła się czołem o drzwiczki kredensu. Modliła się, żeby ten dzień szybko się skończył.

RS

Tymczasem przebieg wieczoru mile ją zaskoczył. Jedli w milczeniu, przerywając je tylko, by poprosić o parmezan bądź dokładkę. W końcu Sam, wytarłszy talerz do sucha kawałkiem chleba, usiadł wygodnie w fotelu i odchrząknął.

- Nigdy jeszcze nie jadłem małży z kluseczkami -wyznał - ale muszę przyznać, że pasują do siebie jak frytki do smażonej fladry.

Jamie mrugnął do Leigh porozumiewawczo i uśmiechnął się.

- Z drugiej strony - ciągnął Sam - żał tak marnować dobre wino. Jego miejsce jest w szkle, nie w garnku, w związku z czym... - tu podsunął Leigh swój pusty kieliszek - poproszę o napełnienie.

- Dziadku! - upomniał go chłopiec.

Leigh wstała ze śmiechem.

- Spokojnie, Jamie - powiedziała, lekko poklepując chłopca po ramieniu i kierując się do kuchni po następną butelkę. - Znam dziadka Sama dłużej od ciebie. Przywykłam do jego zwyczajów. Skoro mówi, że ma jeszcze na coś ochotę, to nic go nie powstrzyma.

- Do jakich zwyczajów? Co tu się wyprawia? Zmawiacie się przeciwko mnie?

Leigh popatrzyła czule na uśmiechniętego od ucha do ucha Sama.

- Żebyś wiedział - powiedziała. - Ktoś musi mieć na ciebie oko. - Zniknęła w kuchni i wróciła po chwili ze schłodzoną butelką białego wina.

- Nie masz już dosyć, dziadku? - spytał z powagą Jamie.

- A to ci dopiero! Czternastoletni gołowąs będzie pouczał starszych - zaprotestował Sam, zerkając z rozbawieniem na Leigh.

- Ty wciąż uczysz innych, dziadku - odparował Jamie. - Może raz sam dałbyś się pouczyć.

Leigh wolała nie spoglądać teraz na Sama. Jamie wkroczył na niebezpieczny grunt, lecz Sam znowu ją zaskoczył. Odsunął od siebie kieliszek i westchnął głośno.

- Masz absolutną rację, Jamie. Wystarczy. Będąc pod wpływem, nie przebrnąłbym przez te wydmy do domu, nie? Mogłoby się to dla mnie skończyć innym drinkiem, i to ciut przysłonym. - Zarechotał hałaśliwie z własnego żartu.

Leigh postawiła zakorkowaną butelkę na stoliku i usiadła.

- Ja też mam dosyć - przyznała. - Zresztą, muszę jutro wcześniej wstać i trochę tu posprzątać. Za kilka dni mam udostępnić dom dla zainteresowanych kupnem.

Sam natychmiast wytrzeźwiał.

- Oj, dziewczyno, aż przykro patrzeć, jak ta posesja podzieli los tylu innych na wyspie. Niedługo ze starych mieszkańców nikogo już tu nie będzie. Zastąpią ich letnicy. - Ostatnie słowo wypowiedział z najwyższym obrzydzeniem.

- A czego chcesz od letników? - zapytał Jamie. -Przynajmniej wprowadzają jakąś odmianę.

- Odmianę? Tak, chłopcze, odmianę. I ja nic przeciwko odmianie nie mam. Ale ten, kto przebywa tu dwa miesiące w roku -

jakie tam dwa miesiące, parę tygodni - nie uważa się za miejscowego. Nie klepie z innymi biedy. Nie ma go tu, kiedy przychodzą sztormy i zawieszono zostaje połączenie promowe z kontynentem. Kiedy kończą się zapasy wody i trzeba pożyczać od sąsiadów żywność i inne rzeczy. Między letnikami nie ma takiej więzi. Tyle ci powiem.

Leigh pokiwała głową.

- Pamiętam, jak pewnej zimy nie było przez parę dni prądu.

Musieliśmy zbierać drewno na opał, a niewiele go na wyspie.

Pamiętam, jak trzeba było skuwać skorupę lodu ze zbiornika na deszczówkę, bo przez jakiś czas nie działał również generator w zakładzie odsalania wody.

Jamie popatrzył po ich twarzach.

- Mówicie jak... - zawahał się.

- Dwoje weteranów? - odpowiedziała Leigh. Chłopiec zarumienił się.

- No, niezupełnie. Sam nie wiem... Jak pionierzy albo ktoś taki...

Leigh uśmiechnęła się.

- Podejrzewam, że za młodych lat Sama było tu jeszcze trudniej, prawda?

Staruszek pokiwał głową.

- Święta racja. Wciąż były problemy z wodą. Czasami trzeba ją było dowozić, to znaczy, zanim zbudowali zakład odsalania. -

Potoczył wzrokiem po podwórku za domem. - Matka Leigh miała tutaj ogródek, ale ile ona się z nim namordowała! Wojowała dzień w dzień z zielskiem i piaskiem. Wodę ze zbiornika wykorzystywało się

po parę razy - do zmywania talerzy, nawet do prania. Tfu! -prychnął. -
A ludziom wydaje się teraz, że to oni wymyślili przetwarzanie
odpadów. Nie znajdzie się dzisiaj taki, który byłby w tym lepszy od
nas. Nic się u nas nie zmarnowało.

Sam przerwał swój monolog i opadł na oparcie fotela. Sprawiał
wrażenie zmęczonego.

- Może jeszcze kawy, Sam? - spytała Leigh. Pokręcił głową.

- Nie, dzięki. Nie mogę już jej pić. Źle mi robi na żołądek.

Starość nie radość. Trzeba rezygnować z tylu używek, za którymi
przepadało się za młodu. – Popatrzył czule na Jamiego. - Zapamiętaj
sobie, chłopcze. Korzystaj z życia, pókiś młody - tylko bez przesady.

Leigh i Jamie spojrzeli po sobie i roześmiali się.

- No widzisz? - mruknął Jamie. - Znowu mnie pouczasz.

Zakłopotana Leigh usiadła wygodniej w fotelu. Ten chłopiec ma
drażniący zwyczaj mówienia wszystkiego, co myśli. Zerknęła na
Sama, pewna, że usłyszy zaraz jego ostrą reprimendę. Staruszek
tymczasem dalej patrzył na wnuka z błogim uśmiechem. Zmienił się,
pomyślała. Sam Logan, który wychowywał Jen, był od tego Sama
Logana o wiele surowszy.

- Byłeś z Jamiem w Pułapce Teacha, Sam? Pokazałeś mu, gdzie
dokonał żywota Czarnobrody?

- Czarnobrody? Ten pirat? To on naprawdę istniał? Sam ściągnął
brwi.

- Pewnie że istniał. Robił sobie czasami przerwę w
terroryzowaniu brytyjskiej floty handlowej i wtedy zaszywał się ze

swoją bandą spod ciemnej gwiazdy na wyspach. W końcu właśnie tutaj, na Ocracoke, przyszedł na niego marny koniec.

Jamie pochylił się i oparł łokciami o stolik.

- Myślałem, że te historie o Czarnobrodym to tylko wymysły scenarzystów filmowych.

- Nie wszystkie - powiedział Sam. - Naprawdę nazywał się Edward Teach i jest taki kanał za portem Silver Lake, który nazywamy Pułapką Teacha. Właśnie tam dopadł go i zabił porucznik brytyjskiej królewskiej marynarki wojennej Robert Maynard. To ci musiała być bitwa! Znaczący piratów z marynarką królewską. - Sam pokręcił głową. - Chciałbym ją zobaczyć.

- I pochowano go na wyspie?

- Tak, ale nie wiadomo gdzie. - Sam nachylił się do prawnuka i zniżył głos do szeptu. - W każdym razie nie na cmentarzu, tyle ci tylko powiem. Mówią, że osobno zakopano głowę, a osobno resztę, żeby jego duch nie mógł nas nawiedzać.

- Akurat - mruknął sceptycznie Jamie, ale oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

- Pamiętam - odezwała się Leigh - jak ojciec mi opowiadał o tych brytyjskich marynarzach, którzy poszli na dno niedaleko cypla naszej wyspy. Podczas drugiej wojny światowej.

- O, tak. Kościelny dzwon bił wtedy całą noc. Taka tragedia! Tylu wartościowych młodych ludzi - dzieci prawie. Mieszkańcy wioski tak się tym przejęli, że założyli im specjalny cmentarz.

Jamie uniósł brwi.

- Mówisz o tym małym cmentarzyku obok portu?

Zastanawiałem się, kto na nim leży.

- Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o swoich korzeniach, Jamie. Masz cholernie dobre pochodzenie.

Sam tak rzadko używał mocniejszych słów, że Leigh spojrzała na niego ze zdziwieniem. Staruszkowi błyszczały oczy. Po chwili milczenia zwrócił się do niej:

- No, chyba już pójdziemy, moja droga. Moje stare kości nie wytrzymują do późna.

Wstali i przeszli na front domu. Słońce skryło się już za widnokretem, ale nadal było stosunkowo jasno. Jamie zerknął na zegarek.

- Nie ma jeszcze dziewiątej. W Charlotte nigdy nie chodzę spać przed jedenastą.

- Tak - powiedział Sam - ale tu jest Ocracoke i my wstajemy o świcie. Jutro rano zalepimy tę dziurę w pontonie i wypłyniemy na cieśninę na ryby. Najwyższa pora, żebyś nauczył się łowić.

Jamie przewrócił oczami, ale posłał Leigh uśmiech. Ona też się do niego uśmiechnęła i wzruszyła ramionami z udawaną bezradnością.

- Dziadek ma rację, Jamie. Ja też chcę jutro wcześniej wstać. Muszę wypielić ogród i odmalować werandę.

Sam pogroził jej palcem.

- Nie będziesz łąziła po żadnych drabinach. Przyślę ci Jamiego. Albo może Spencera, jak wróci.

- Tylko żartowałam, Sam. Za długo już mieszkam w mieście.
Będę pewnie spała do południa.

Sam i Jamie uśmiechnęli się. Chyba z politowaniem, pomyślała Leigh. Kiedy przecięli drogę i schodząc po stoku ku plaży zniknęli jej z oczu, usiadła na werandzie, by delektować się atmosferą zapadającego zmierzchu. Wieczór minął o wiele lepiej, niż się spodziewała. Sam najwyraźniej kochał wnuka, i to chyba z wzajemnością. Jakiegokolwiek były - czy są - problemy z Jamiem, chłopiec rokuje nadzieje na poprawę. W każdym razie Leigh życzyła tego Spencerowi.

Wzięta prysznic i położyła się do łóżka, ale sen nie przychodził. Rozmowa z Jamiem znowu ożywiła wspomnienia. Gdy dawno temu fantazjowały z Jen na temat przyszłości, zanim jeszcze Leigh poznała Spencera na tańcach u Sadiego Hawkinsa i zanim Jen też się w nim zakochała, nie tak ją sobie wyobrażały.

Przewróciła się na bok, ugmiotła poduszkę w kulę i próbowała zasnąć. Sen jednak nie nadchodził.

- Obudziłam cię?

- Co? - Trzymając telefon komórkowy przy uchu, Leigh przesunęła językiem po spierzchniętych wargach i przetarła oczy.

- Obudziłam. Ojej, toż to prawie wpół do dziesiątej. Tak długo nie odbierałaś, że zaczynałam już podejrzewać, że wykręciłam zły numer. - Chwila ciszy. - Aha, Trish z tej strony. - Krótki chichot.

- Nie mogłam znaleźć telefonu - wyjaśniła Leigh, wywołując tym wybuch śmiechu starej znajomej.

- Boże, ja bym nawet nie wiedziała, jak się toto włącza.

Przepraszam, że tak wcześnie zawracam ci głowę, ale mam dzisiaj wolne i pomyślałam sobie, że mogłybyśmy zjeść razem lunch.

Oczywiście, jeśli masz czas.

- Musiałabym zajrzeć do rozkładu zajęć - powiedziała Leigh.

- To aż tak? - spytała Trish po chwili wahania. Leigh uśmiechnęła się.

- Żartuję, Trish.

Znowu chichot.

- Ciebie zawsze trzymały się żarty, Leigh, nawet w dzieciństwie. Faye mi opowiadała, jakie jej robiłaś kawały.

- Naprawdę? Ja żadnego nie pamiętam. - Leigh ściągnęła brwi. - Ale to było dawno temu. Gdzie się w takim razie umówimy?

- Umówimy? Ach, na lunch. No więc jest taka nowa knajpka, coś w rodzaju cukierni. Albo jak zawsze, u Howarda.

Leigh przymknęła oczy. Trish mówi pewnie o tej samej cukierni, w której byli wczoraj ze Spencerem.

- Niech będzie u Howarda.

- Wspaniale! O wpół do pierwszej, dobrze?

- Dobrze. Do zobaczenia.

Leigh odłożyła telefon na stolik i schyliła się po poduszkę, którą strąciła na podłogę, szukając dzwoniącego telefonu. Potem odetchnęła głęboko i wstała z łóżka. Postanowiła wykorzystać czas do lunchu na posortowanie swoich rzeczy na te, które zatrzyma, i te do wyrzucenia. Ścienna szafa w sypialni pełna była pudełek z pamiątkami ze szkoły

średniej i college'u. Więcej takich pudeł leżało na strychu. Co prawda było to zadanie na więcej niż jeden poranek, ale od czegoś trzeba zacząć.

Punktualnie o wpół do pierwszej pchnęła szklane drzwi baru Howarda i zatrzymała się w progu, żeby dać oczom czas na przystosowanie się do panującego tu półmroku. Ktoś zawołał ją po imieniu. Od dużego stolika w kącie sali machała do niej Trish, która siedziała w towarzystwie Mary Ann Burnett i trzech innych kobiet. Cholera. Leigh przywołała na twarz uśmiech i podeszła bliżej.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - rzekła Trish. - Pomyślałam sobie, że chętnie zobaczysz się z dziewczynami ze starej paczki. Nawet nie wiesz, jak trudno było je tu wszystkie ściągnąć.

Wyobrażam sobie. Lunch z Leigh Randall? Ojej, tak mi przykro, strasznie jestem zajęta.

Twarze były znajome, ale żadna z kobiet przy stoliku nie zaliczała się do jej dawnych przyjaciółek. Leigh kiwała uprzejmie głową, kiedy Trish przedstawiała je kolejno, kończąc na Mary Ann.

- Ale wy już się spotkałyście. Mary Ann opowiadała nam właśnie o artykule. W piątek ukaże się drukiem! -Mówiąc to, Trish promieniała radością.

- Muszę z tobą chwilę porozmawiać, zanim oddam go do składu. O tym ostatnim pytaniu. - Mary Ann patrzyła na Leigh spod przymrużonych powiek. - Pamiętasz, o jakim?

Jak zmieniło się moje życie po tamtej tragicznej nocy? Leigh ani myślała teraz o tym opowiadać. Usiadła i przewiesiła torebkę przez oparcie krzesła.

- Pamiętam - mruknęła. - Daj mi swój numer. Zadzwoń.

Mary Ann zrobiła zawiedzioną minę, ale na szczęście nie naciskała.

Leigh powiodła wzrokiem po twarzach kobiet siedzących przy stoliku. Wszystkie wpatrywały się w nią z zainteresowaniem. W ich oczach dostrzegała więcej ciekawości niż życzliwości. Z początku nie mogła sobie przypomnieć nazwisk, ale teraz zaczynała powoli kojarzyć, do jakich klas chodziły i co je łączyło z uczniami z jej klasy. Trish była z nich wszystkich najstarsza, ukończyła szkołę co najmniej pięć lat przed nimi. Mary Ann i jeszcze jedna z kobiet - Fran? - chodziły do tej samej klasy co Spencer, pozostałe dwie były siostrami; jedna miała tyle samo lat co Leigh, druga była dwa lata młodsza.

Leigh uśmiechnęła się, a one jakby tylko na to czekały. Zasypały ją pytaniami o Nowy Jork i jej pracę.

- Zawsze byłeś dobra z matmy - zauważyła jedna. - Rany, ja nawet nie wiem, co robi taki bankowiec inwestycyjny.

- Wydaje pieniądze innych - odparła Leigh. - To bardzo łatwe i bardzo przyjemne.

Roześmiały się wszystkie. Kiedy w końcu do ich stolika podeszła kelnerka, lody były już przełamane i atmosfera się rozluźniła. Kobiety opowiadały Leigh o życiu w wiosce - kto wstąpił w związku małżeńskie, kto wyjechał, kto został. Tak jak

przypuszczała, większość jej rówieśników po ukończeniu college'u opuściła Ocracoke i przyjeżdża tu tylko od czasu do czasu na urlop albo w odwiedziny do rodzin. Dowiedziała się, że na wyspie działa grupa ekologów walcząca o ochronę środowiska naturalnego, że jedni chcą promować turystykę, inni zaś są przeciwni wprowadzaniu jakichkolwiek zmian do tradycyjnego charakteru rybackiej wioski.

- Bardzo tu się zmieniło - powiedziała Leigh. — Aż wierzyć się nie chce, ile powstało nowych hoteli i pensjonatów.

- Ale wciąż nie ma publicznej pralni - poskarżyła się jedna z kobiet.

Pozostałe parsknęły śmiechem.

- A na co ona komu? - zapytała któraś.

- No właśnie - podchwyciła Trish. - Wystarczą nam wiadra i woda z cysterny. Skoro nasze matki jakoś sobie radziły...

- Och, proszę - jęknęła Fran - daruj sobie ten kawałek o pionierkach z wyspy.

- Dobrze chociaż, że latarnia morska działa - zauważyła Leigh. - Przyjemnie oprzeć oko na czymś znajomym, co dalej trwa.

- Właśnie, i dalej czuwa nad bezpieczeństwem ludzi - mruknęła jedna z sióstr. - Aż strach pomyśleć, co by było bez niej. I tak tyle tu już statków potonęło i ludzi się potopiło.

Leigh nie zwracała przez chwilę uwagi na niezręczne milczenie, jakie zaległo przy stoliku po tej uwadze. Oglądała rachunek i liczyła w pamięci, jaka część wypisanej na nim sumy przypada na nią.

Podnosząc wzrok, stwierdziła, że wszystkie kobiety wpatrują się w

swoje kieliszki albo filiżanki. Dopiero wtedy dotarł do niej sens tego, co zostało przed chwilą powiedziane.

Postanowiła to zignorować, uznając, że w wypowiedzi nie było żadnych podtekstów. Lunch przebiegał w atmosferze lepszej, niż się spodziewała, i nie chciała tego psuć.

- Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w tym gronie, zanim wrócę do Nowego Jorku. - Szczerłość intencji w jej głosie pociągnęła za sobą chór potaknięć i napięcie ustąpiło.

- Zostajesz tu, dopóki nie sprzedasz domu? - spytała Fran.

- Jeszcze nie wiem. Miałam zamiar posiedzieć na wyspie najwyżej dwa tygodnie. Jeśli szczęście mi dopisze, szybko załatwię sprawę.

Trish zacisnęła usta.

- Może i tak. Tyle że ostatnio nie ma specjalnego ruchu w interesie. Domki i bungalowy owszem, idą, ale posiadłość taka duża i...

- Zanedbana? - dokończyła Leigh. Trish zarumieniła się.

- Nie, nie o to chodzi. Chciałam powiedzieć, że Wichrowy Dworek wymaga ciągłej opieki.

- Wiem. Właśnie dlatego zdecydowałam się na sprzedaż. Pomyślałam sobie, że nada się może na letnią rezydencję dla jakiejś dużej rodziny z kontynentu.

Reszta kobiet pokiwała skwapliwie głowami.

- Tak - zauważyła Fran. - Jeśli nie przesadzisz z ceną, kupca szybko znajdziesz. Sezon jeszcze się na dobre nie zaczął.

Leigh odebrała swoją część reszty od kelnerki i przerzuciła torebkę przez ramię.

- Miejmy taką nadzieję.

Kiedy wychodziły z restauracji, Mary Ann odciągnęła ją na bok.

- Masz tu moją wizytówkę - powiedziała, wciskając jej w dłoń mały kartonik. - Zadzwoń przed piątą, to doszlifujemy ten artykuł.

- Będę go mogła przeczytać, zanim pójdzie do druku? Mary Ann zafrasowała się.

- Wiesz co, przeczytam ci go przez telefon. Niestety, termin mi mija. Wiesz, jak to jest.

Leigh kiwnęła głową.

- Dobrze, niech będzie przez telefon.

Trish też miała jej coś jeszcze do powiedzenia.

- Wiesz, Faye ma wkrótce przyjechać. Mam nadzieję, że nie wyjedziesz do tego czasu. Byłaby zachwycona, gdyby mogła się z tobą zobaczyć. Mogłabyś w razie czego przedłużyć sobie urlop?

Leigh zawahała się. Wróciła myślami do dnia, kiedy rozmawiała z szefem o wyjeździe.

- Bierz miesiąc - nalegał. A potem, niemal konspiracyjnie przechylając się przez biurko i zniżając znacząco głos, dorzucił: - Jeśli mam być szczery, Leigh, to wyglądasz mi na taką, której przydałyby się dłuższe wakacje. Miałaś parę ciężkich lat, a nie chciałbym, żebyś mi tu dała plamę.

- Próbujesz coś sugerować, Reg? - Leigh udało się nadać głosowi lekki ton, pomimo niepokoju, który ścisnął ją za gardło.

Wzruszył tylko ramionami i zapewnił, że mówi to w jej najlepszym interesie, ale Leigh wyszła od niego z poczuciem, że pod jej ukochanym gabinetem, który z takim trudem wywalczyła, czai się już jakiś młodszy pracoholik.

Trish uśmiechała się nadal, czekając cierpliwie na odpowiedź.

- Może da się coś zrobić, Trish - rzekła, a widząc rumieniec podniecenia na twarzy kobiety, dodała szybko: - Ale niczego nie obiecuję.

Trish poklepała ją po ramieniu.

- Na pewno się da. To co, umawiamy się na przyszły tydzień?

- Wspaniale by było - wtrąciła Mary Ann, która stała obok.

Zanim Leigh zdążyła odpowiedzieć, Trish i Mary Ann ruszyły do dwóch pozostałych kobiet, które czekały przy drzwiach restauracji. Leigh przytłaczała wizja najbliższych dni upływających na nie kończącym się paśmie spotkań towarzyskich. Wątpiła, czy to zniesie. Znowu okazje do niewinnych aluzji, znowu wspomnienia. Nie, pomyślała, najlepiej będzie trzymać się pierwotnego planu. Sprzedać dom i jak najszybciej się stąd wynosić.

- Nie czekajcie na mnie! - zawołała. - Wstąpię jeszcze do toalety.

Pomachała im ręką na pożegnanie i zawróciła. Toaletę znalazła w podziemiach. Zatrzymała się przed lustrem i bez pośpiechu poprawiła sobie włosy i podmalowała wargi. Potem skierowała się do drzwi prowadzących do kabin. Zatrzymała się przed nimi jak wryta, słysząc podniesiony kobiecy głos:

- To na pewno była Leigh Randall. Wszędzie rozpoznałabym te jej czarne jak smoła włosy. Czy nie siedziałam za nią przez cały tydzień na przesłuchaniu?

- Minęło już piętnaście lat, Phillis. Przecież ona może być teraz ruda.

- Mówię ci, że to była ona. Jak tylko wrócę do domu, zadzwonię do Trish Butterfield. Spytam, na jak długo ona tu przyjechała.

Rozległo się ciężkie westchnienie.

- Co to ma teraz za znaczenie? Było, minęło.

- Nigdy! - zasyczał drugi głos. - Inaczej byś mówiła, gdyby to twoja córka utonęła!

Leigh cofnęła się od drzwi. Ogarniało ją znajome uczucie paniki - walące serce, gorąca chęć rzucenia się do ucieczki i przeciwdziałające temu wrażenie ołowianej ociężałości, która pętała nogi. Oddychała z trudem i wiedziała, że zaraz zleje się potem. Noga za nogą dowlokła się do drzwi na korytarz na moment przed otwarciem się drzwi do kabin.

Kobiecey głos - głos matki Laury, bo to na pewno była matka Laury - nadal coś perorował, ale Leigh już nie słuchała. Wspinała się z wysiłkiem po schodach prowadzących na parter. Nie zatrzymuj się, zachowaj spokój, oddychaj głęboko. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Słońce wlewało się przez oszklone drzwi frontowe. Gdy je pchnęła, otworzyły się z impetem, strasząc kilku przechodniów.

Leigh, oślepiąca przez łzy, dysząc spazmatycznie, wyszła na uginających się nogach na parking.

Ktoś, biorąc ją pod rękę, zapytał, czy dobrze się czuje, a potem doprowadził do ławeczki pod dębem rosnącym na skraju parkingu.

Usiadła i zamknęła oczy, koncentrując się na wyrównaniu oddechu. Kiedy doszła trochę do siebie i podniosła wzrok, żeby podziękować mężczyźnie, który się nią zaopiekował, ten odwracał się właśnie, by ruszyć z powrotem w kierunku restauracji. Ale te plecy rozpoznałaby wszędzie, nawet gdyby patrzyła pod słońce.

- Siedz tu - rzucił przez ramię Spencer.

Kiedy wrócił po chwili ze szklanką wody z lodem, Leigh już nad sobą panowała.

- Pij powoli - poinstruował ją i usiadł obok.

- Już mi przeszło, naprawdę.

- Pij.

Wypiła mały łyżeczek i przyłożyła zimną szklankę do policzka. Najchętniej wylałaby całą zawartość na przód sukienki.

- Zaczekaj. - Spencer wyciągnął z kieszonki koszuli bandanę w czerwono-czarną kratę, wyjął Leigh szklankę z rąk i umoczył w niej rąbek materiału. - Wszystko w porządku - dorzucił, zerkając na Leigh.

- Czysta.

Mokrym końcem zwilżył Leigh czoło.

- Mmm - wymruczała, zamykając znowu oczy.

- Przyjemnie?

- Cudownie.

Przetarł jej zmoczoną chustą policzki i dotknął kolejno jednej i drugiej powieki tak delikatnie, że Leigh nie miała pewności, czy jej się czasem nie wydawało.

- Wspaniale. Bardzo ci dziękuję - rzekła półgłosem i otworzyła oczy.

Spencer uniósł rękę.

- Zaczekaj. Jeszcze nie skończyłem.

Znow umoczył chustę w szklance z wodą i wyżał ją.

- Ciekawe. Skąd masz tę chustę?

- Zabieram ją zawsze, kiedy wypływam z klientem w rejs.

Niektórzy zapominają kapelusza albo potrzebują czegoś do otarcia potu po walce z rybą. - Przechwycił jej spojrzenie. - Ta jest nie używana - uspokoił ją. - Oprzyj się wygodnie, a ja...

- Już mi lepiej, Spencer. Poważnie.

- Nie rozśmieszaj mnie. - Naciskając palcem wskazującym na środek czoła, odchylił jej głowę do tyłu.

Poczuła, jak przeciera jej szyję, i wstrzymała oddech. Kropelka wody spłynęła między piersi, coś się o nie otarło. Podskoczyła.

- Przepraszam - mruknął. - Koniec bandany wymknął mi się z palców.

Leigh krew uderzyła do twarzy.

- Napiję się jeszcze.

Oddał jej szklanekę, strzepnął chustę i przyłożył ją Leigh do karku.

- Najważniejsze miejsce - wyjaśnił.

- Dziękuję. Już dobrze. - Odsunęła jego rękę.

- Co się stało? - zapytał. - Wypadłaś z baru, jakby sfera dzikich psów cię goniła. To przecież nie z gorąca. Howard założył niedawno nową klimatyzację.

Leigh kręciła szklanką, wprawiając w ruch wirowy topniejące kostki lodu.

- Sama nie wiem - bąknęła po chwili. - Może coś mi zaszkodziło.

Spencer przymrużył oczy. Widziała, że nie kupuje tego wyjaśnienia.

- U Howarda? Może pójdziemy złożyć reklamację?

- Nie! Nie wrócę tam.

- Na pewno podziękują ci za informację, że coś jest nie tak z ich kuchnią. Po co jakiś struty turysta ma im wytoczyć proces? Zresztą, i tak tam szedłem na spotkanie z klientem. Wróciłem niedawno z Charlotte i znalazłem na automatycznej sekretarce wiadomość od faceta, który chce wynająć łódź. Powiedział, że będzie jadł późny lunch u Howarda. No i znowu na ciebie wpadłem. - Urwał i uśmiechnął się. - Zdziwiałem się. Zazwyczaj spotykam się z klientami na przystani albo w moim biurze. - Wstał i wyciągnął rękę. - Chodź ze mną. Odwiozę cię potem do domu.

- Nie wejdę do środka, a do domu sama wrócę. - A potem, łagodniejszym już tonem, dodała: - W każdym razie, dziękuję, Spencer, ale naprawdę dobrze się czuję. Już mi się to zdarzało i wiem, jak sobie radzić.

Usiadł z powrotem.

- Zdarzało ci się? Co to jest?

Leigh przeklęła się w duchu. Teraz on już jej nie odpuści.

Uczepi się tego jak rzep psiego ogona.

Ale nie musiała odpowiadać, bo drzwi restauracji otworzyły się i na parking wyszły dwie kobiety. Skierowały się do samochodu i w pewnym momencie jedna z nich zauważyła Leigh i Spencera na ławce pod dębem. Zatrzymała się, chwyciła towarzyszkę za rękę i szepnęła jej coś na ucho.

Druga z kobiet, pulchna farbowana blondynka, odwróciła się jak pchnięta sprężyną.

- Widzisz? To ona! Miałam rację. - Spojrzała na koleżankę i celowo podniesionym głosem dodała: -I popatrz tylko, z kim siedzi. Boże mój! Historia się powtarza.

Gęsia skórka wystąpiła Leigh na ramionach. Spuściła wzrok i siedziała tak, dopóki nie poczuła, jak Spencer obejmuje ją jedną ręką, a drugą bierze pod brodę.

- Matka Laury Marshall - wyszeptał. - Patrz mi w oczy i powtarzaj za mną: To wiedźma...

Leigh, nie odrywając wzroku od twarzy Spencera, zachichotała.

- I o to chodzi - mruknął.

Trzasnęły jedne drzwiczki, potem drugie.

- Odjeżdżają - oznajmił Spencer.

Leigh, patrząc mu wciąż w oczy, kiwnęła głową.

Samochód ruszył ostro z miejsca, tryskając spod kół fontannami kamyków i piasku. Leigh zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Teraz mów - poprosił. Pokręciła głową.

- Nie. Nie chcę o tym rozmawiać. Cofnął rękę i złożył chustę.

- No to idę, bo stracę klienta. Naprawdę nie chcesz, żebym cię odwiózł?

Propozycja była kusząca, ale wołała ją odrzucić.

- Nie, dziękuję.

Nie patrzyła za nim, kiedy szedł w kierunku restauracji. Słyszając trzask zamykających się drzwi, wstała i przeciągnęła się. Była wyczerpana, jak po przebiegnięciu maratońskiego dystansu. Jej wzrok padł na złożoną starannie bandanę pozostawioną przez Spencera na ławce. Wzięła ją, spojrzała na drzwi restauracji, a potem włożyła chustę do torebki i ruszyła w drogę powrotną do domu.

Na szafce leżał świeży egzemplarz piątkowej „Island Breeze”. Kobieta sięgnęła po nią i skierowała się do wyjścia. Usiadła na trawniku przed domem w cieniu magnolii i rozłożyła gazetę. Czas pod drzewem płynął jej często z rozkoszną powolnością, przyjemnie koła również świadomość, że jeśli zechce, może spędzić tu na lekturze choćby cały dzień.

Ale pięć minut później kobieta ścisnęła już kurczowo brzegi gazety, wpatrując się z natężeniem w nagłówek - „Wyspiarka wraca do domu” - i w widniejącą poniżej fotografię. Zmusiła się do przeczytania artykułu, ale już w połowie lektury wiedziała, że przeczucie ją nie myliło.

To ona! To na pewno ona!

Złożyła gazetę i wetknęła ją sobie pod pachę. Musi ją gdzieś schować, żeby nikt inny tego nie przeczytał, nie dowiedział się. Rozsadzało ją podniecenie. Oddychała głęboko, powtarzając sobie, że właśnie teraz musi zachować spokój. Ale nie potrafiła stłumić żaru w trzewiach. Nareszcie.

Moje dziecko. Znalazłam swoje dziecko.

- No i co o tym myślisz? - zaskrzeczał w słuchawce głos Mary Ann Burnett.

- O czym?

- O wywiadzie z tobą w „Island Breeze”.

- Jeszcze go nie czytałam, ale zakładam, że od czasu naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej treść się nie zmieniła.

- Nie zrobiłabym ci tego, Leigh. - W głosie Mary Ann pobrzmiwała uraza. - Tylko wielkomięjscy dziennikarze posuwają się do podobnych metod. Przekonasz się, że jest praktycznie słowo w słowo taki, jak ci go wczoraj przeczytałam.

To „praktycznie” zaniepokoiło Leigh.

- Dobrze, kupię zaraz gazetę i dam ci znać, co myślę. Mam nadzieję, że tak jak cię prosiłam, nie nawiązywałaś do wypadku.

- Oczywiście, że nie. Wspomniałam tylko, że zostawiłaś przeszłość za sobą, ble-ble-ble, i że podczas swojego krótkiego pobytu na wyspie bardzo chcesz się spotkać ze starymi znajomymi.

Leigh zamknęła oczy. Co mogło się kryć pod tym „ble-ble-ble”?

- Czyli o przesłuchaniu nie napisałaś?

Głębokie westchnienie.

- Nie, nie.

Cień wahania w głosie Mary Ann zapalił w głowie Leigh światełko alarmowe.

- Odnoszę wrażenie, że coś jednak od siebie dodałaś - powiedziała.

- No, wspomniałam, że z paroma przyjaciółmi z dawnych lat już się widziałaś.

Dreszcz przebiegł Leigh po plecach.

- Na przykład, z kim?

- No wiesz... ze mną i z dziewczynami wczoraj u Howarda i...
eee... ze Spencerem.

- Wymieniłaś jego nazwisko?

- A czemu miałabym nie wymieniać? Skoro już napisałam, że z niektórymi starymi znajomymi się spotkałaś, to wypadało napisać też z kim.

- Ale ktoś może z tego wywnioskować, że spotkałam się z nim celowo.

- Widziano was, jak wczoraj o siódmej rano wchodziliście do tej nowej cukierni. Trochę dziwna pora jak na przypadkowe spotkanie, nie uważasz?

W głosie Mary Ann odezwały się stalowe tony, przypominając Leigh, że ta kobieta nigdy nie była jej przyjaciółką. Nie trzeba się było godzić na ten idiotyczny wywiadu

- Biegałam i naprawdę wpadłam na niego przypadkowo. Ta wyspa jest niesamowita.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Chyba już zapomniałaś - odezwała się w końcu Mary Ann - że tu nic się przed nikim nie ukryje.

Teraz Leigh westchnęła.

- Tak, chyba tak.

- Na twoim miejscu nie robiłabym z tego takiej wielkiej sprawy - poradziła jej Mary Ann. - No dobrze, chodziłaś z facetem przez dwa lata, a potem on chajtnął się z twoją najlepszą przyjaciółką. Ale to już stare dzieje, nawet dla ciebie.

Leigh nie spodobał się nacisk, jaki Mary Ann położyła na słowa „nawet dla ciebie”, ale nie skomentowała tego.

- Wiesz co? Najpierw przeczytaj wywiad, a potem podyskutujemy - ciągnęła Mary Ann. - Zobaczysz, że nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Każę ci przesłać egzemplarz z redakcji w Hatteras. Wynajmujesz jeszcze tę skrytkę pocztową?

- Tak.

- No to załatwione. I jeszcze jedno. Jeśli natkniesz się gdzieś na jakiś odzew na artykuł, to daj mi znać.

- Jaki znowu odzew?

- No wiesz, niektórych może wzburzyć.

- Na miłość boską, Mary Ann, przed chwilą powiedziałaś, że nie ma w nim niczego, co by mogło kogoś wzburzyć. Zdecyduj się.

- Przepraszam, Leigh. Jedyni ludzie, którzy mogą komentować twój powrót, to matka Laury Marshall i rodzice Jeffa. Cała reszta wioski zapomniała już praktycznie o wypadku. Tak jak ty.

- Czekam na gazetę- ucięła Leigh.

- Zadzwoń do mnie, jak przeczytasz, dobrze?

- Dobrze - burknęła Leigh i rozłączyła się. Cisnąwszy telefon komórkowy na łóżko, opadła na fotel w sypialni rodziców i przetarła dłońmi twarz. Kończ porządkować ten bałagan, powiedziała sobie, i uciekaj jak najdalej od Ocracoke. Jarzyła się w niej iskierka gniewu.

Dlaczego to mnie się obwinia? Błagałam ich, żeby przeczekać sztorm na wyspie, ale mnie nie posłuchali. Matka pogładziłaby ją

uspokajająco po głowie i powiedziała: „Obwiniają cię, bo przeżyłaś, a ich dzieci nie. Nie gniewaj się na nich, im należy współczuć”.

Siedziała jakiś czas zapatrzona w stojące na podłodze pudła ze starymi czasopismami i dokumentami, których zawartość segregowała przed telefonem Mary Ann. Potem ponownie przetarła dłońmi twarz, zsunęła się z fotela i usiadłszy po turecku, podjęła przerwana pracę.

W pewnej chwili przypomniała sobie o walizce leżącej pod łóżkiem. Wyciągnęła ją i otworzyła. Najpierw zabrała się do przeglądania fotografii. Były to w większości zdjęcia przedstawiające ją w dzieciństwie, kilka upamiętniało ślub rodziców. Potem natrafiła na paczuszkę listów pisanych do matki przez ojca jeszcze przed ślubem. Listy miłosne, domyśliła się, z okresu, kiedy matka studiowała w Raleigh. Nie wypadało ich czytać, ale wyrzucać też ich nie chciała. Odłożyła je na stosik rzeczy, które zatrzyma.

W walizce był jeszcze jeden plik poślizniętych, wystrzępionych kopert. Znalazła w nich polisy ubezpieczeniowe, stare wyciągi bankowe, a nawet świadectwo ślubu Randallów. Przebiegła je wzrokiem i odłożyła na stos papierów do wyrzucenia, Pete Randall, o ile go znała, powiedziałby pewnie, że tak samo jak prawo jazdy nie czyni z człowieka dobrego kierowcy, tak i ten kawałek papieru - dobrego małżeństwa z dwojga ludzi.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak kiedyś poprosiła przybranych rodziców o pokazanie świadectwa swojej adopcji. Miała wówczas dziesięć lat i dowiedziała się właśnie od nowej koleżanki, że wcale nie nazywa się Randall. Twarz Pete'a Randalla przybrała wyraz

rzadko tam goszczącej powagi. Przygarnął Leigh do siebie i powiedział cicho: „Mogę ci pokazać ten świstek papieru, słonko. Leży w bezpiecznym miejscu na górze. Ale ten papier to tylko prawne zaświadczenie, że do nas należysz. Nie uczynił cię naszą córką. Naszą córką stawałaś się stopniowo, z biegiem czasu, kiedy wstawaliśmy z mamą w nocy, żeby cię karmić i przewijać, kiedy opatrywaliśmy ci pokaleczone kolanka, kiedy chodziliśmy na wywiadówki do twojej szkoły, uczyliśmy cię łowić ryby - i kiedy w każde twoje urodziny wznosiliśmy toast za dzień, w którym zjawiłaś się w naszym domu. Mnóstwo było takich chwil w ciągu tych dziesięciu lat. To one uczyniły cię naszą córką- Nie ten świstek papieru”.

Leigh przytuliła się wtedy mocno do ojca, a potem wybiegła przed dom powiedzieć koleżance, że jednak naprawdę nazywa się Randall i że nie trzeba żadnego starego świstka papieru, żeby to udowodnić. Świadcstwo adopcji znalazła na samym dnie walizki, pod starannie złożonymi, robionymi na drutach, białymi niemowlęcymi śpioszkami. Nigdy nie odczuwała potrzeby szukania swych korzeni. „Moje korzenie - powiedziała kiedyś dociekliwej przyjaciółce z Nowego Jorku - znajdują się na wyspie Ocracoke, a moimi rodzicami są Ellen i Pete Randallowie”. Teraz jednak nie mogła się powstrzymać i przed odrzuceniem dokumentu na stos śmieci przeczytała go.

Kiedy zamykała wieko walizki, w oczy rzuciło się jej niewielkie wybrzuszenie w wewnętrznej kieszeni. Wsunęła do niej rękę i wyciągnęła wypłowiały błękitny kocyk w żółte kaczuszki. Pogładziła zniszczoną flanelę, przypominając sobie teraz szczegóły tajemniczego

zniknięcia tego pledu na tydzień przed rozpoczęciem nauki w pierwszej klasie.

Kilka lat później, kiedy wymieniały się z Jen wspomnieniami z dzieciństwa, zwierzyła się koleżance, że miała swego czasu kocyk, który wszędzie jej towarzyszył. Jen wysunęła przypuszczenie, że był to może kocyk, w którym oddała ją do adopcji biologiczna matka. Rodzice, nagabywani przez Leigh, przyznali, że schowali kocyk, kiedy szła do szkoły. Potwierdzili również, że była w niego owinięta, kiedy ją odbierali. Tamtego dnia błękitny kocyk przybrał dla Leigh nieomal mityczne znaczenie.

I oto on. A skoro tak, to może zjawiała się w domu Randallów również w tych białych śpioszkiach z dna walizki? Chciała już po nie sięgnąć, ale się rozmyśliła. Nie dzisiaj. Zamykając wieko, zauważyła, że w wewnętrznej kieszeni jest coś jeszcze. Odciągnęła gumkę i na samym dnie zobaczyła burą kopertę. Była zaadresowana do rodziców i ostemplowana oficjalną pieczęcią o treści: Ośrodek Adopcyjny Benningtona, Raleigh, Karolina Północna.

W kopercie znajdował się napisany na maszynie list. Zerknęła na datę - 14 kwietnia 1980 - i zaczęła czytać. Po chwili litery zaczęły jej skakać przed oczami, pot wystąpił na czoło. Otarła je rąbkiem koszulki i przeniosła się z listem na łóżko.

Dobrze, uspokój się. Przeczytajmy to jeszcze raz przy lepszym świetle. Podłożyła sobie pod plecy poduszkę. Przez firanki sączyło się słoneczne światło. Nie musiała zapalać lampy, ale zrobiła to mimo

wszystko. Bała się uronić choćby jedno słowo. Rozłożyła ponownie list.

Szanowni Państwo!

Z Ośrodkiem Benningtona skontaktowała się ostatnio biologiczna matka Waszej adoptowanej córki Leigh. Jest ona zainteresowana nawiązaniem z państwem i ze swoją córką korespondencji, która w przyszłości mogłaby doprowadzić do ewentualnego spotkania.

Jak państwo wiecie, agencja nasza, pomimo obowiązujących praw stanowych w kwestii adopcji, stosuje zasadę poufności i prywatności wobec wszystkich zainteresowanych stron, w związku z czym nie ujawnimy biologicznej matce Waszego adresu, jeśli nas państwo do tego wyraźnie nie upoważnicie. Przypomnieliśmy matce biologicznej warunki kontraktu adopcyjnego, który podpisała, i ta zgodziła się podporządkować Waszej decyzji w związku z Leigh.

Gdyby chcieli państwo przedyskutować sprawę, przed podjęciem ostatecznej decyzji, prosimy o kontakt z naszymi pracownikami.

Dziękujemy...

Leigh przebiegła pobieżnie wzrokiem ostatni akapit, potem przeczytała list po raz trzeci i opadła na poduszkę. Kartka wysunęła się jej z ręki. Przez otwarte okno słychać było szum fal i odległe krzyki mew. Leigh wpatrywała się tępo w ścianę, mając wciąż przed oczami litery listu. W końcu podniosła się z łóżka i jak lunatyczka podeszła do okna.

Dlaczego mi nie powiedzieliście? Dlaczego nie pokazaliście mi tego listu? Dlaczego? Dlaczego?

W ustach miała sucho. Zeszła do kuchni, znalazła lodówkę, zimne piwo, drzwi; wszystko to robiła automatycznie. Z oszronioną puszką w ręku przecięła drogę, zeszła na plażę i usiadła na pierwszym trawiastym wzgórku, jaki napotkała. Wypiła duszkiem jedną trzecią zawartości puszki, a potem przyłożyła ją do rozpalonego czoła. Uspokajała się powoli. Dopijała piwo i już przytomniej rozejrzała się dookoła.

Pokręciła głową. Rodzice byli zawsze wobec niej tak szczyrzy i otwarci, jeśli chodzi o adopcję. List przyszedł wiosną 1980 roku. W lipcu tego roku kończyła trzynaście lat. Była już wówczas wystarczająco dojrzała, by samodzielnie podjąć decyzję w sprawie kontaktu z biologiczną matką.

Wstała, otrzepała szorty z piasku i ruszyła z powrotem w stronę domu. Dochodząc do podjazdu, zauważyła nadjeżdżającego od strony wioski rowerzystę pnącego się mozolnie pod lekkie wzniesienie. Sylwetka wydała jej się znajoma. Przymrużyła oczy. Dziadek Sam!

Zatrzymał się przy niej. Na bagażniku miał dwie pełne torby z zakupami.

- Jeździsz na rowerze w najgorętszej porze dnia? Sam, czyś ty postradał zmysły, jak mawiała moja świętej pamięci matka?

Sam był purpurowy na twarzy. Dysząc ciężko, wsparł się łokciami na kierownicy.

- Czekaj tutaj - rzuciła rozkazująco Leigh. - Wezmę tylko kluczyki od samochodu i odwiozę cię do domu.

Sam uniósł rękę.

- Nie... zaczekaj...

Leigh zawahała się. Staruszek nie wyglądał za dobrze. Był teraz blady.

- Wody. Tylko tego... mi potrzeba - wykrztusił nareszcie.

Leigh puściła się biegiem w stronę domu. W chwilę potem wróciła z plastikowym kubkiem i kluczykami. Bez słowa wcisnęła Samowi kubek w ręce, zmusiła go do zejścia z roweru i pociągnęła za sobą do samochodu. Upchnęła rower wraz z torbami do bagażnika, a potem pomogła chwiejącemu się na nogach staruszkowi wsiąść do samochodu i włączyła na cały regulator klimatyzację.

- Tylko mi nie mów, że zakupy zawsze tak u ciebie wyglądają - powiedziała Leigh. - Spencer nie mógł cię podwieźć?

- Zwykle podwozi, ale ostatnio jest taki zajęty, że nie miałem serca go prosić. Wypłynął dzisiaj z ważnym klientem. Potrzebuje pieniędzy. Długa zima przed nami.

- Sam... - spojrzała na staruszka - nie uwierzę, że nie stać cię na taksówkę tam i z powrotem.

Ściągnął lekko brwi, a potem na jego twarzy odmalował się wyraz rezygnacji.

- Prawdę mówiąc, to mnie stać, ale nie mam pod ręką telefonu. I w moim wieku już go sobie nie założę.

Leigh pokręciła głową.

- To chociaż w jedną stronę. W tę trudniejszą, do domu.

Sam zacisnął usta i kiwnął głową.

- Tak, tak, wiem. Trudno to wytłumaczyć. Widać taki już ze mnie uparty stary osioł. Nie, nie zaprzeczaj. Znam swoje wady. Dobry Bóg dał mi oczy do patrzenia i często się nimi sobie przyglądam - zwłaszcza teraz, na starość. Aż dziw, jak z wiekiem oczy się człowiekowi otwierają! - Pokręcił głową i uśmiechnął się blade.

Leigh zatrzymała samochód na poboczu, u wylotu piaszczystej dróżki prowadzącej do chaty Sama. Wołała w nią nie wjeżdżać. Pamiętała jeszcze, jak zakopała się tu kiedyś w sypkim piachu, prowadząc buicka ojca.

- No, dalej pójdziemy piechotą.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Wyciągnąwszy z bagażnika rower, oparła go o słupek z tabliczką, na której widniało nazwisko Sama, potem wzięła torby z zakupami i ruszyła z nimi w kierunku chaty.

- Sam je poniosę - protestował Sam, drepcząc za nią, ale zanim dowlókl się do swojej werandy, Leigh stawiała już torby w pokoju na stole, który służył Samowi jako miejsce do spożywania posiłków, biblioteka i warsztat.

Z porozstawianych wszędzie brudnych szklanek i talerzy, z walających się gazet i najprzeróżniejszych narzędzi Leigh wywnioskowała, że Sam za długo już mieszka samotnie.

- Starość nie radość - wysapał, wchodząc do pokoju, po czym zaniósł się świszczącym chichotem, który przeszedł w atak kaszlu.

Leigh podprowadziła go do krzesła i przyniosła z kuchni szklanek wody. Kiedy pił, znowu rozejrzała się po pomieszczeniu. Ściany obwieszane były starymi fotografiami. Jej wzrok przyciągnęła jedna z nich - był tam młody Sam z jakimś mężczyzną, obaj z fajkami i w sztormowych ubraniach. Za nimi widniały sieci pełne ryb, zwisające z dziobu łodzi. „Czapla”, zdołała odczytać.

- Ten tutaj... ten drugi mężczyzna na tym zdjęciu przypomina mi mojego dziadka.

- Bo to on! Przyjaźniliśmy się z ojcem twojego taty. Był ode mnie starszy, ale łowiliśmy razem przez dobre dziesięć lat, zanim połamał go artretyzm.

Leigh przyjrzała się fotografii uważniej. Podobieństwo między dziadkiem a ojcem było uderzające. Rodzice Pete'a Randalla zmarli, kiedy ona chodziła do szkoły podstawowej, i trochę ich pamiętała. Co innego dziadkowie ze strony matki. Tych nie pamiętała zupełnie, bo odeszli z tego świata, gdy była niemowlęciem. Po powrocie do domu musi jeszcze raz przejrzeć rodzinne fotografie.

Teraz przesuwała się wzdłuż ściany, oglądając wiszące na niej zdjęcia - rodzice Jen, ona z Jen, Jen ze Spencerem. Przy samych drzwiach natknęła się na kilka zdjęć jasnowłosego bobasa.

- To Jamie? - spytała, zerkając na Sama. Staruszek, ściskając w rękę pustą szklanek, gapił się w okno.

- Hm? - Ocknął się i odwrócił do niej. Jego blada, oblana zimnym lepkiem potem twarz nie na żarty ją zaniepokoiła.

- Sam! - krzyknęła. - Jedziemy do lekarza! I to już! Pokręcił głową i wskazał na komódkę po drugiej stronie stołu.

- Górna szuflada. Pastylki w buteleczce.

Leigh wyszarpnęła szufladę i zaczęła szperać w nieprzebranym zbiorowisku starych pocztówek z pozdrowieniami, guzików, ogarków świec i innych rupieci. Wreszcie znalazła fiolkę z małymi pastylkami. Nitrogliceryna. Sam wprawnym ruchem wsunął sobie tabletkę pod język. Najwyraźniej nie robił tego pierwszy raz.

Po paru chwilach chorobliwa bladość ustąpiła z jego twarzy.

- Może przynajmniej pomogę ci położyć się do łóżka? - zaproponowała.

Staruszek nie oponował, więc zaprowadziła go do pokoiku za kuchnią. Sypialnia Sama nie zmieniła się ani trochę od czasów, kiedy baraszkowały tu z Jen na jego łóżku o mosiężnej ramie. Kordonkowa narzuta też była ta sama. Ściągnęła ją i pomogła staruszkowi się położyć.

- Zrobiłam sobie potrawkę na kolację, Sam. Przywiozę ci trochę. Nie będziesz musiał sobie gotować. Za kwadrans wracam.

- Nie śpiesz się - wymruczał. - Po tych pastylkach spać mi się zawsze chce. Zdrzemnę się teraz, a zjem potem. Dziękuję, Leigh.

Jedź. - Pożegnał ją lekkim skinieniem ręki.

- Niedługo będę z powrotem - powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

W sekundę potem pędziła już piaszczystą dróżką do samochodu. Wskoczyła za kierownicę i ruszyła ostro z miejsca. Mijała swój dom z

lekkimi wyrzutami sumienia, że okłamała Sama, ale innego wyjścia nie widziała. Gdyby mu powiedziała, że jedzie po Spencera, nie obyłyby się bez protestów.

Drogę do wioski pokonała w rekordowym czasie. Nie wiedziała, gdzie znajduje się biuro wynajmu łodzi Spencera, lecz osada jest na tyle mała, że z jego znalezieniem nie powinno być kłopotów.

Wypatrzyła czerwoną półciężarówką niedaleko portu, pod przysadzistym pudełkowatym budyneczkiem o pomalowanych na biało, ścianach.

„McKay-Cowan, czartery" informowała tablica nad markizą.

Zaparkowała obok pikapu i pchnęła białe siatkowe drzwi.

Spencer, z puszką piwa w ręku, siedział za biurkiem, trzymając nogi na laminowanym blacie. Miał gościa; na krześle przy drzwiach siedział jakiś mężczyzna. Leigh nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

- Niedobrze z Samem! - zawołała, podbiegając do Spencera.

Zerwał się na równe nogi. Piwo wychlapało się z puszki na blat biurka.

- Co? Gdzie on jest? Co się stało? - Chwycił ją wolną ręką za ramię.

Leigh odskoczyła.

- Ostrożnie - syknęła, strzepując z ubrania kropelki piwa.

Spencer odstawił puszkę na biurko i otarł wierzchem dłoni usta.

- Przepraszam, przestraszyłaś mnie. Co się stało?

- Spotkałam go, jak wracał z wioski na rowerze. Wiózł dwie torby zakupów. Gdybym nie podrzuciła go samochodem do domu,

wyzionaliby chyba ducha. - W jej głosie pobrzmiwał oskarżycielski ton.

Spencer zaklął cicho.

- Wierz mi, Leigh, Wciąż mu powtarzam, żeby dawał mi znać, kiedy wybiera się po zakupy. Zawsze chętnie go podwiozę.

- Powiedział, że wypłynął w morze. - Leigh dopiero teraz zerknęła przez ramię na siedzącego za nią mężczyznę, a potem spojrzała znacząco na puszki z piwem.

Spencer zmieszał się.

- No, zgadza się, pływaliliśmy cały dzień... Wróciliśmy niedawno i... orzeźwiamy się właśnie.

Leigh zobaczyła w jego oku ostrzegawczy błysk, który oznaczał, że ma nie drażnić tematu. Spuściła wzrok. Mężczyzna wstał i wymruczał słowa pożegnania. Spencer przecisnął się między biurkiem a Leigh i odprowadził gościa do wyjścia. Do jej uszu dobiegły strzępy rozmowy o datach i pieniądzech, potem trzasnęły zamykane drzwi. Leigh nie obejrzała się.

- Dziękuję, że przyjechałaś powiedzieć mi o Samie - rozległ się za jej plecami głos Spencera. - Ale chyba nie jest z nim aż tak źle, skoro nie odwiozłaś go od razu do lekarza.

Odwróciła się na pięcie. Stał w drzwiach z rękami zatkniętymi w kieszenie dżinsów, biała koszulka opinała mu klatkę piersiową, którą gładziła tyle razy pewnego upojnego lata.

- Dałam mu nitroglicerynę - oznajmiła, odwracając wzrok - i pomogłam położyć się do łóżka. Kiedy wychodziłam, czuł się już

lepiej, ale powinien wybrać się jak najszybciej do lekarza. Wiedziałeś, w jakim stanie jest jego serce?

Podszedł do biurka, wysunął szufladę i wyjął z niej kluczyki.

- Wiem, że przepisano mu nitroglicerynę, bo byłem przy tym. W lutym. Skarżył się na bóle w klatce piersiowej. Lekarz powiedział mu, żeby ich nie lekceważył i kazał brać nitroglicerynę, ilekroć wystąpią.

- Podejrzewam, że występują często.

- Na jakiej podstawie?

- Spojrzałam na datę na fiolce. Wykupił ją w maju, a tabletek było już w niej niewiele.

- O cholera. A to skryty staruch. I do tego uparty. Przynajmniej co drugi dzień posyłam do niego Jamiego, ale nie mogę go namówić, żeby się do nas przeprowadził. Widziałaś, jak mieszka?

- Tak.

- No nic... - Potrząsnął kluczykami. - Zajrzę do niego.

- Pojadę z tobą. Obiecałam mu, że przywiozę coś na kolację.

Zatrzymał się w progu i uśmiechnął.

- Doprawdy? Powiedziałaś pewnie, że masz na piecu nagotowany wielki gar czegoś, tak?

Zarumieniła się. Była to aluzja do czasów, kiedy z sobą chodzili. Cała wiedza Leigh o przyrządzaniu posiłków ograniczała się wtedy do otwierania puszek.

Spencer wskazał na drzwi.

- Chodźmy. Tak się składa, że to ja mam u siebie na piecu gar ryby z warzywami. Zawieziemy ją Samowi.

Pchnął drzwi i skierował się do samochodu. Stropiona Leigh podreptała za nim.

RS

Zegar na desce rozdzielczej samochodu Leigh wskazywał piątą po południu, kiedy pikap Spencera skręcał w North Pond Drive, drogę prowadzącą do maleńkiej enklawy u brzegów cieśniny Pamlico.

Co mnie tak dziwi? Zawsze kochał moczary. Dlaczego nie miałby przy nich mieszkać?

Spencer wychował się w rybackiej chacie w pobliżu portu. Leigh wątpiła, czy ta chata jeszcze stoi; w porównaniu z nią rudera Sama mogła uchodzić za całkiem szykowną posesję.

Pomalowany na kolor niebieski drewniany bungalow, w którym mieszkał teraz Spencer, był solidny i zadbane. Leigh pamiętała ten dom z dawnych czasów. Spencer musiał włożyć dużo czasu i pracy, by doprowadzić go do takiego stanu. Do werandy - szpalerem pomalowanych na biało otoczków - prowadziła wyłożona kamiennymi płytami alejka. Po obydwu jej stronach Spencer zasadził jednoroczne rośliny i jakieś krzewy. Leigh nie znała nazw, ale rozpoznała w nich gatunki rosnące na wyspie.

Samochód zatrzymał się przy otwartej z jednej strony wiacie na narzędzia i sprzęt ogrodniczy. Leigh zwróciła uwagę na panujący tam ład i porządek. Jeszcze jedna niespodzianka. Czy Spencer zawsze był takim pedantem?

Wchodząc za nim po drewnianych schodkach, podziwiała okno widokowe od frontu i pięknej roboty ramę siatkowych drzwi. Spencer albo za nią słono zapłacił, pomyślała, albo sam ją wykonał.

Zatrzymał się przed drzwiami i nie otwierając ich, odwrócił się w jej stronę.

- Prosiłem Jamiego, żeby tu posprzątał po powrocie ze szkoły - powiedział - ale niczego nie gwarantuję. Wiesz, jak to jest z chłopakami.

Leigh uniosła brwi.

- Nie mam pewności, czy kiedykolwiek wiedziałam. Chciał chyba coś jeszcze dodać, ale rozmyślił się.

Otworzył drzwi i przepuścił Leigh przodem.

No, no, albo Jamie odrobił pracę domową, albo tak tu jest na co dzień.

Podłoga z sosnowych desek lśniła w promieniach popołudniowego słońca. Po jednej stronie frontowego pokoju znajdowała się oddzielona od niego kontuarem kuchnia, po drugiej krótki korytarzyk prowadzący zapewne do sypialni. Szklane przesuwane drzwi wychodziły na taras, z którego roztaczał się widok na cieśninę Pamlico i moczary. W wyłożonej ceramicznymi płytkami niszy stał czarny piec na drewno, a przed nim miękka sofa i dwa fotele, okryte narzutami w biało-niebieskie pasy. Wystroju wnętrza dopełniało kilka sosnowych sprzętów - niektóre z nich wyglądały na antyki - oraz rzucone na podłogę ręcznie tkane kobierce w żywych barwach.

Jednakże wzrok przyciągały przede wszystkim rzeźbione w drewnie ptaki porozstawiane na półkach na książki i na stolikach, a nawet zawieszane u sufitu.

Leigh rozpoznała kilka gatunków czapli, mew i brodzieńców. Na parapecie okna wychodzącego na podjazd przycupnęła kanadyjska gęś, w kącie pokoju stała naturalnej wielkości czapla błękitna. Leigh obejrzała się na Spencera, który zatrzymał się w progu.

- Skąd je masz?- spytała. Uśmiechnął się.

- Te ptaki?

- Są... cudowne. To ostatni krzyk mody, ale nigdy jeszcze nie widziałam tak dobrej kolekcji. Skąd je masz?

Spencer poczuł, że twarz zaczyna go palić. Dawno już nie słyszał tej nutki zachwytu w głosie Leigh.

- Sam je wystrugałem - wybąkał zakłopotany, skręcając do kuchni. Kiedy wyszedł stamtąd po chwili, Leigh stała wciąż pośrodku pokoju. - Nie wiem, gdzie jest Jamie, ale ryba gotowa - oznajmił.

- Sam je wystrugałeś?

Nie wiedział, czy się roześmiać, czy poczuć urażonym nutką niedowierzania w jej głosie. Wzruszył ramionami i zrobił skromną minę; miał nadzieję, że przekonującą.

- Kiedy zająłeś się rzeźbieniem w drewnie? Wiem, w szkole zawsze byłeś dobry z plastyki, ale to... - Leigh urwała i opuściła rękę.

- Szczerze mówiąc, sam nie pamiętam, kiedy to się zaczęło. Zobaczyłem kiedyś kilka takich figurek w sklepie z pamiątkami w Hatteras i postanowiłem spróbować swoich sił. To było jakieś dziesięć lat temu. Miałem wtedy mnóstwo wolnego czasu.

Twarc mu pociemniała. Leigh uświadomiła sobie, że ma na myśli okres, kiedy opuściła go Jennifer z synem i został sam.

- No nic - podjął, przerywając niezręczne milczenie

- usiądź, a ja zapakuję rybę. Potem pojedziemy do Sama, ale wcześniej zadzwonię do kliniki. Może uda się załatwić wizytę domową. Dobrze by było, gdyby ktoś go zbadał. Do kardiologa jeździ na kontynent, ale porad ogólnych udziela mu od kilku lat miejscowy lekarz. Rozgość się.

- Wskazał na sofę. Leigh usiadła na niej z ociąganiem.

Korciło ją, żeby dalej rozglądać się po pokoju, ale trochę się krępowała. Po wyjściu Spencera przesunęła wzrokiem po książkach i czasopiśmie na półkach. Spencer, którego pamiętała, nie pasował jej jakoś do tego, co tu widziała. A czego się spodziewałaś? Plakatów z gwiazdami hard rocka na ścianach? Pudełek po pizzy i numerów „Rolling Stone'a”? Zakonserwowanego nastolatka z początku lat osiemdziesiątych?

Piętnaście lat. Westchnęła, czując na barkach ciężar każdego z nich. Musiała przyznać, że nie poznaje Spencera. Zupełnie jakby się dopiero teraz spotkali. Albo ogromnie się zmienił, albo nigdy tak naprawdę go nie знаła. Ta myśl napełniła ją smutkiem. Przez dwa lata - albo dłużej - kochałam kogoś, i co? I nic.

Drzwi frontowe otworzyły się z impetem i do pokoju wkroczył Jamie, pstrykając palcami w rytm jakiejś piosenki płynącej ze słuchawek, które miał na uszach. Na widok Leigh zatrzymał się jak wryty, a potem powoli ściągnął słuchawki. Wyraz zaskoczenia na jego twarzy wyparła podejrzliwość.

- Siemasz - mruknął.

- Cześć, Jamie. Tata jest w kuchni. Telefonuje. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dorzuciła: - Wpadliśmy tylko po coś do jedzenia i jedziemy do dziadka.

Jamie przymrużył oczy.

- Coś nie tak z dziadkiem?

Leigh zawahała się. Na ile chce go wtajemniczać Spencer?

- Nie czuje się najlepiej - odparła ostrożnie. - To chyba przez ten upał. Jedziemy do niego z kolacją i na wszelki wypadek wzywamy lekarza, żeby go obejrzał.

Chłopiec pokiwał powoli głową, ale na jego twarzy nadal malowało się pytanie. Najwyraźniej nie mógł zrozumieć, co ona tutaj robi.

- Spotkałam Sama wracającego z wioski do domu i podwiozłam go. Potem powiadomiłam twojego tatę.

Zamilkła. Znowu głupio się poczuła. Co takiego mają w sobie McKayowie, że w ich obecności wciąż próbuje się tłumaczyć?

- Gdzie byłeś? - W przejściu do kuchni stał Spencer. Jamie spojrzał spode łba na nachmurzonego ojca.

- Z chłopakami. A co? Dopiero piąta.

- Prosiłem cię, żebyś posprzątała.

- Posprzątałem.

W głosie chłopca zabrzmiała uraza. Leigh ukryła uśmiech, zasłaniając się czasopismem, które wzięła ze stolika.

- No dobrze - mruknął Spencer - a gdzie potem poszedłeś?

- Przestań, co cię ugryzło? Do kolacji jeszcze daleko. O co ci chodzi?

- O nic takiego, Jamie. O to tylko, że muszę zaraz wyjść, a ponieważ nie zostawiłeś mi kartki, nie wiedziałem, jak cię powiadomić, gdzie jestem.

- Mogłeś mi zostawić kartkę.

Leigh nie śmiała wychylić głowy zza czasopisma. Zagryzła wargi. Oho, pomyślała, ciekawe, co na to Spencer. Zaległo długie, pełne napięcia milczenie.

- Dziadek źle się czuje. To jest Leigh... znaczy się, panna Randall. Ale wy się już chyba znacie, tak?

Leigh spojrzała na Spencera. Na jego twarzy malował się gniew zmieszany z zakłopotaniem. Postawa syna wyraźnie zbiła go z tropu.

- Tak, znamy się - przyznała. — Wczoraj wieczorem Jamie był u mnie z Samem na kolacji. -I zwracając się do chłopca, dodała: - Mów mi po imieniu, Jamie.

- Wczoraj wieczorem na kolacji? - Spencer popatrzył na nich ze zdziwieniem. - Aha, kiedy ja byłem w Charlotte. Rozumiem. - Zawiesił na chwilę głos. - W każdym razie, lekarz już do Sama jedzie. Przenocujesz u niego, Jamie. Nie, wysłuchaj mnie do końca. Nie chcę, żeby zostawał sam, dopóki nie będziemy mieli pewności, że wszystko z nim w porządku, a ja jutro z samego rana wypływam w morze.

Jamie nachmurzył się jeszcze bardziej i poczerwieniał.

- Umówiłem się z chłopakami, że wybierzemy się do Hatteras. Spencer podszedł do syna.

- Po pierwsze - zniżył groźnie głos - nie było mowy o nawiązywaniu tutaj jakichkolwiek znajomości. Po drugie, ustaliliśmy chyba, że piątkowe wieczory będziesz poświęcał na prace domowe. A po trzecie, masz do wyboru - albo jesz tu sam i o wpół do dziesiątej zjawiasz się u dziadka, albo zabierasz się z nami teraz.

Leigh znowu skryła się za czasopismem. Wydało jej się, że słyszy, jak Jamie wymrukuje pod nosem jakieś przekleństwo, ale pewna nie była. Spencer zniknął znowu w kuchni i po chwili wrócił.

- Gotowa? - spytał.

Miał na dłoniach kuchenne rękawice i trzymał w nich garnek z nierdzewnej stali.

- No? - rzucił do Jamiego, który wciąż stał naburmuszony przy drzwiach.

- Nie jestem jeszcze głodny - odburknął chłopiec. -Zostawcie trochę dla mnie. Zjem później u dziadka.

Spencer kiwnął ponuro głową i skierował się do drzwi. Leigh zerwała się z sofy i ruszyła za nim, zatrzymując się na chwilę przy chłopcu, żeby się z nim pożegnać. Kiedy stali już obok pikapu, Spencer powiedział:

- Sześć miesięcy temu nie ustąpiłby.

- Jest bardzo przywiązany do dziadka - zauważyła Leigh.

- Na to właśnie liczyłem. - Spencer wstawił garnek do pojemnika na skrzyni samochodu i odwrócił się do Leigh. Zauważyła, że twarz już mu złagodniała. - Zabierzesz się do Sama ze mną, czy pojedziesz swoim samochodem?

- A po trzecie? Rozeźmiał się.

- Dzięki, potrzebowałem tego. Jezu, sam nie wiem... - Potarł grzbietem dłoni czubek nosa.

Dopiero teraz Leigh zdała sobie sprawę, jak wzburzył go incydent z synem. Wydawał jej się zawsze taki opanowany, taki usztywniony. Pamiętała dobrze tę jego wadę charakteru. Ale Spencer, który stał teraz przed nią, był inny; nie obawiał się okazywania swoich słabych stron. Zapragnęła zarzucić mu ręce na szyję, ale nie zrobiła tego.

- Pojadę z tobą - powiedziała z uśmiechem. - Swój samochód zostawię tutaj. Odbiorę go przy okazji.

Kiwnął głową.

- Dobrze. Przy okazji.

Otworzył przed nią drzwiczki, a potem okrążył maskę i wsiadł za kierownicę. Zawrócił i wyjechali na drogę.

Spencer zamknął za lekarzem siatkowe drzwi. Stał przez chwilę plecami do Leigh i patrzył w noc, w końcu odwrócił się. Spojrzał jej w oczy, a potem pobiegł wzrokiem w kierunku pokoju Sama i klepnął się dłońmi po udach.

- No tak... - Urwał; wyraźnie brakowało mu słów, twarz miał zatroskaną. Przeczesał palcami włosy i przesunął dłonią po twarzy, ścierając z niej napięcie ostatniej godziny. - Słuchaj, zróbmy sobie kolację i wyjdźmy z nią na werandę - zaproponował w końcu. - Wiatr jest wystarczający, żeby przepędzić nocne robactwo.

- Dobrze. Umieram z głodu.

- Przy odrobinie szczęścia znajdzie się tu może jakaś butelczyna - zauważył, ruszając w stronę kuchni. Wyszedł stamtąd po chwili, niosąc na tacy dwie miski parującego dania z ryby, dwie szklanki i zakurzoną flaszkę wina. - Wydaje mi się, że podarowałem ją Samowi na gwiazdkę. Ale on nie pije do lustra... Przyznam, że to godna pochwała wada, której sobie, niestety, przypisać nie mogę.

- Ani ja - mruknęła Leigh. - Daj, pomogę ci. Ta taca nie wygląda mi najpewniej. - Wzięła butelkę, szklanki i korkociąg, i wyszła z nimi za Spencerem na werandę.

Od wieczornego nieba nie można było oderwać oczu.

W przejrzystym powietrzu gwiazdy wyglądały tak, jakby ktoś rozrucił złoty pył po lśniącej marmurowej posadzce. Sączący się z okien chaty blask zapalanej lampy był na tyle przytłumiony, by oświetlić im drogę do krzeseł i stolika, nie umniejszając tego efektu.

Leigh, nie wypuszczając z rąk butelki i szklanek, opadła na bujany fotel.

- Ależ pięknie! - Odetchnęła pełną pierśią. - Dawno nie oddychałam takim czystym powietrzem. U mnie czuć tylko spaliny. - Postawiła butelkę na podłodze i przystąpiła do jej otwierania.

- Jestem pod wrażeniem - mruknął Spencer. - Ten korkociąg ma chyba tyle samo lat co Sam.

Leigh roześmiała się.

- Mam praktykę. W piciu do lustra.

- Naprawdę?

Potrząsnęła ze śmiechem głową.

- Tak, wiem, jak to zabrzmiało. Nie taka ze mnie pijaczka, żeby nazywać to problemem.

- Ale często bywasz sama? Długo milczała.

- Można chyba powiedzieć, że jestem czasami sama. .. z wyboru.

- Postanowiła zmienić temat. - Widziałam, że wstrząsnęło tobą to, co powiedział lekarz.

Stwierdzenie to spowodowało, że Spencer poczuł gwałtowny nawrót przygnębienia, które ogarnęło go z chwilą przybycia do chaty. Sam już nie spał, ale nie chciał jeść. Wypił tylko trochę soku jabłkowego, a kiedy

Spencer pomagał mu się przebrać w piżamę, nadszedł lekarz.

- Tak, chyba wstrząsnęło - przyznał. - Nie miałem pojęcia, że z sercem Sama jest aż tak źle. Nigdy o tym nie mówił. Gdybym tylko nie był tak zaabsorbowany własnymi sprawami...

- Nie możesz się obwiniać. Wszyscy wiemy, jaki skryty jest Sam, jeśli chodzi o to, co go gnębi. Chyba tylko pani Waverly i rząd potrafią wyciągnąć go ze skorupy.

- Nie wspominając o Zarządzie Parku Narodowego.

- Tak, byłabym zapomniała. Nadal usiłują przejąć ten splachetek ziemi?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie jest urwanie głowy z tymi prawnymi przepychankami. Stresy, jakich przysparzają Samowi Zarząd Parku i pani Waverly to jednak za wiele, jak na osiemdziesięcioletniego faceta.

- Jeżeli wygrają tę bitwę, będzie to koniec jakiejś epoki.

- Cóż, kontrolują wszystkie inne plaże na wyspach, i bardzo dobrze. Pomyśl tylko, co by to było, gdyby Zarząd Parku Narodowego nie objął ich ochroną.

Leigh stanęła przed oczami przerażająca wizja segmentów i luksusowych ośrodków wypoczynkowych, stłoczonych jeden przy drugim wzdłuż wybrzeża.

- Masz rację. Aż strach pomyśleć. Ocracoke i tak jest już pod tym względem bardziej zagospodarowana, niż powinna.

- Jeśli pobędziesz tu dłużej, wybierzesz się może na któreś z zebrań mieszkańców wyspy. Zobaczysz, jakie mamy tu teraz problemy.

To subtelne przypomnienie, pomyślała Leigh, że po tak długiej nieobecności nie wiem już, czym żyje lokalna społeczność.

- Przypuszczam, że ktoś, kto wkrótce wyjeżdża, nie będzie miał wielkiego wpływu na przyszłość Ocracoke.

- Tak - przyznał po chwili milczenia. - No, bierzmy się do tej ryby, póki gorąca.

Leigh wdzięczna była ciemnościom, że skrywają jej twarz. Ta rozmowa zbaczała na niepożądane tory. Ale ryba była przepyszna, tonęła w warzywach, pomidorach i kawałkach świeżych owoców morza.

- Wspaniała - wymruczała. - Jakich przypraw używasz?

- Jest tu trochę pietruszki, świeży koper, szczypta oregano i odrobina płatków chili. To wszystko.

- Lubisz gotować?

- Tak, właściwie to lubię. Zaskoczona?
- To dzień niespodzianek. Westchnął.
- Z tym się zgodzę.
- Co zamierzasz w związku z Samem?

Spencer odstawił pustą miskę na stolik i sięgnął po szklanekę z winem.

- Mam nadzieję, że uda mi się go nakłonić do zamieszkania ze mną i z Jamiem. No i chciałbym, żeby porozmawiał ze swoim specjalistą o tej operacji.

- Lekarz powiedział, że taka operacja byłaby bardzo ryzykowna.

- Wiem, ale jakie jest wyjście? Wyobrażasz sobie Sama jako inwalidę? Zależnego we wszystkim od innych?

- Strasznie by to przeżywał. A jakie są rokowania w przypadku, gdyby nie poddał się operacji?

- Słyszałaś. Ja z tego medycznego bełkotu zrozumiałem tylko, że niedobre.

- Ale, jak powiedział lekarz, on ma już osiemdziesiąt lat - przypomniała mu.

- Czyli na niego już pora, tak? Krew mnie zalewa, kiedy słyszę takie bzdury, i to z ust lekarza. Co tu ma do rzeczy wiek?

Leigh odstawiła miskę i położyła dłoń na ramieniu Spencera.

- Zgadza się z tobą, Spencer. Jeśli będę ci mogła jakoś pomóc w przekonaniu Sama, daj mi znać. A teraz wrócę już chyba do siebie. Od jutra dom ma być otwarty dla klientów, a ja jeszcze nie skończyłam sprzątnięcia.

- Zaczekaj! - Wstał razem z Leigh i chwycił ją za przedramię. - Lada chwila będzie tu Jamie, a wtedy odwiozę cię do twojego samochodu

- Lepiej pójde na piechotę, a samochód odbiorę jutro albo pojutrze. Jestem zmęczona. Muszę się przespać.

W bladym świetle przenikającym z wnętrza chaty Spencer zobaczył jej podkrążone oczy i opadnięte kąciki ust.

- To był trudny wieczór dla nas wszystkich - powiedział. - Daj Jamiemu jeszcze pięć minut i puszczam cię.

Wymruczała pod nosem coś niezrozumiałego i usiadła z powrotem w bujanym fotelu. Spencer zaczął spacerować nerwowo tam i z powrotem po werandzie. W pewnej chwili spojrzał na Leigh. Siedziała w fotelu z podwiniętymi pod siebie nogami i wyglądała jak mała dziewczynka. Kiedyś siadywała tak na jego kolanach w starym winylowym fotelu bujanym Pete'a Randalla, kiedy oglądali wspólnie telewizję.

- Dobrze się czujesz? - spytał i przykucnął przed nią.

Był tak blisko, że czuł zapach mydła Sama, którym Leigh myła ręce przed kolacją. Kosmyk włosów opadł jej na czoło; odgarnął go delikatnie. Nie zaprotestowała, przesunął więc palcem wskazującym po jej przedramieniu. Siedziała tak nieruchomo, że zaczynał już podejrzewać, że zasnęła. Z błędu wyprowadził go cichy pomruk zadowolenia, który wydobył się z jej krtani.

Dotknął jej skóry wszystkimi palcami i przesunął nimi od zgięcia łokcia do nadgarstka. Przerwał i odczekał chwilę, pewien, że

zaraz usiądzie prosto i każe mu przestać. Ale ona odchyliła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy. Jej skóra w księżycowej poświacie przypominała alabaster.

Spencer wziął ją za rękę, pochylił się i pocałował wewnątrz dłoni. Boże, wszystko mu się przypominało. Ta chłodna gładkość jej skóry, ten smak i zapachy. Poczł bolesne pulsowanie gdzieś w głębi. Ileż to razy o tym fantazjował? Wyobrażał sobie, jakby to było dotykać znowu Leigh...

Tak by chciał przesunąć językiem po wewnętrznej stronie jej ramienia i przekonać się, czy i teraz zajęczałaby z rozkoszy. Dotknąć ustami tej żyłki u nasady szyi, a potem sunąć nimi aż do tego wrażliwego miejsca za uchem; kiedy ją tam całował, krzyczała i błagała o jeszcze.

Przeniósł powoli usta z poduszki dłoni na nadgarstek. Śmieiej już powędrował wargami do zgięcia łokcia i na chwilę zagłębił w nim język. Potem oderwał usta od jej skóry i wyciągnął rękę, by przygarnąć ją do siebie.

- Tato? To ty tam jesteś?

Spencer, rozdygotany, chwycił się barierki werandy, żeby wstać. Leigh spuściła nogi na podłogę i spojrzała na niego wielkimi, półprzytomnymi oczami.

- Tato?

- Tak, Jamie. Jesteśmy na werandzie.

- Co robicie? Wyglądało tak, jakbyś chodził na czworakach.

- Zgubiłam spinkę do włosów! - zawołała Leigh. Jamie wstępował już po schodkach i pod jego ciężkimi krokami chwiała się cała weranda.

- No i znalazłeś? - spytał, stając na ostatnim stopniu. Leigh nie widziała jego twarzy, ale słyszała sceptycyzm w głosie.

- Tak, znalazł - powiedziała i sięgnęła za głowę, by ściągnąć włosy w koński ogon.

- Co z dziadkiem?

- Śpi - odrzekł Spencer. - Na razie wszystko w porządku. Lekarz powiedział, że jego stan się ustabilizował i musi teraz odpoczywać. Miałem właśnie odwieźć Leigh do domu, czekaliśmy tylko na ciebie. Wrócić tu jeszcze potem?

Chłopiec nie odpowiedział od razu. Leigh bardziej czuła, niż widziała, że popatruje podejrzliwie to na nią, to na Spencera.

- Wróć, byle nie za późno. Zostało coś do jedzenia?

- Całe mnóstwo. To, czego nie zjesz, wstaw do lodówki. Będzie na jutro. Sam nie wziął nic do ust.

- Zrobi się.

Znowu niezręczne milczenie.

- Dobrze - mruknął w końcu Spencer - to odwiozę cię teraz do domu, Leigh. Masz wszystko?

- Mam. Dobranoc, Jamie.

Zeszła za Spencerem po schodkach. Kiedy znaleźli się w kabinie pikapu, zaczęła jak szalona chichotać.

- Wiesz - powiedziała, spoglądając na Spencera -przypomniało mi się, jak pewnego razu mój tato wyszedł do samochodu w tym momencie, kiedy ty, no wiesz...

Nie pamiętał tego konkretnego incydentu, ale wiedział, o co Leigh chodzi. Do pierwszych zbliżeń między nimi dochodziło w pikapie jego ojca przed domem jej rodziców.

- Poczułem się znowu jak osiemnastolatek - przyznał Spencer.

Myśl, do czego mogłoby dojść, gdyby nie pojawił się Jamie, momentalnie ściągnęła Leigh z obłoków na ziemię. Czuła jeszcze te przepływające przez nią fale gorąca, to mrowienie skóry, kiedy wargi Spencera sunęły w górę jej ramienia. Tak mało brakowało, uświadomiła sobie. Odwróciła głowę i popatrzyła przez otwarte okno na oświetloną chatę Sama.

- Późno już - wyszeptała, zdając sobie sprawę, że kończy tym samym incydent, do którego w ogóle nie powinno było dojść.

Spencer chyba to zrozumiał, bo prowadził samochód w milczeniu. Czuła rozczarowanie, a przy tym ulgę.

- To wszystko do wyrzucenia? - wykrzyknął ze zdumieniem, kiedy światła reflektorów wyłuskały z mroku werandę jej domu.

- Do wtórnego przetworzenia, jeśli się da. Na razie niech leży na werandzie.

- Jutro, po powrocie z morza, mogę tu podjechać pikapem. Sprowadzimy ode mnie twój samochód, a potem razem przewieziemy to wszystko do Hatteras.

- Nie chcę cię fatygować.

- Żadna fatyga. Mój klient cierpi na chorobę morską. Założę się, że wytrzyma na łodzi najdalej do lunchu.

Pikap zatrzymał się na podjeździe.

- Dzięki za kolację, Spencer. Ryba była wyśmienita. - Leigh otworzyła drzwiczki.

- Mam... nadzieję, że uda się to powtórzyć. Zawahała się, stojąc już jedną nogą na ziemi, a drugą

jeszcze na stopniu. Powtórzyć co? - przemknęło jej przez myśl. Kolację czy ten „deser” po niej?

- Zobaczymy - mruknęła wymijająco. - Wszystko zależy od tego, jak szybko zdołam sprzedać dom.

Spencer przeniósł wzrok z jej twarzy na deskę rozdzielczą. Zdążyła jednak dostrzec w jego oczach rozczarowanie, i zrobiło jej się go żal. Zdjęła drugą nogę ze stopnia i stojąc już obiema na ziemi, powiedziała:

- Jeszcze raz dziękuję, Spencer. Do jutra. Może wtedy uda nam się porozmawiać spokojnie o... o Samie.

Patrzył dalej markotnie przed siebie.

- Tak, pewnie, dobrze. Zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

- Cześć - powiedziała i ruszyła w stronę werandy.

- Jeszcze jedno! - zawołał za nią, wystawiając głowę przez otwarte okno. - Jak zrobiłaś tę sztuczkę ze spinką do włosów?

Leigh zatrzymała się i odwróciła.

- Miałam ją w kieszeni szortów. Po ciemku łatwo ją było niepostrzeżenie wyjąć.

Zaśmiał się cicho.

- Muszę ci to przyznać, Randall. Zawsze byłaś pełna pomysłów.

- Nie zaprzeczę. To cała ja. Stara, poczciwa, pomysłowa

Randall. Dobranoc, Spencer.

Uśmiechając się, wstąpiła na schodki prowadzące na werandę.

Czuła na plecach jego wzrok.

RS

Światła w domu zgasły. W drogę.

Kobieta przekreśliła kluczyk w stacyjce i z głośników popłynęły łagodne tony muzyki klasycznej. Podniosła szyby, włączyła klimatyzację i wrzuciła bieg. Wyruszyła zaraz po przeczytaniu artykułu w gazecie i jechała tu non stop, kupując po drodze posiłki w przydrożnych restauracjach bez wysiadania z auta.

Podróż dała jej mnóstwo czasu do przemyśleń i na ułożenie planu postępowania. Nie mogła się tam przecież zjawić ni stąd, ni zowąd. Takie sprawy trzeba załatwiać delikatnie i dyplomatycznie. Nauczyła się tego już dawno temu.

Spojrzała jeszcze raz na dom i ruszyła na północ w stronę przystani promowej. Jeszcze jedna noc spędzona w Hatteras powinna wystarczyć. Poukłada sobie wszystko w głowie. A potem...

Uśmiechnęła się. Wkrótce będę z moją córeczką.

- Pani Randall?

Mężczyzna stojący za siatkowymi drzwiami trzymał w jednej ręce papierową torbę, a w drugiej neseser. Leigh przemknęło przez myśl, że jak na ósmą rano w sobotę, uśmiech ma zdecydowanie zbyt czarujący.

- Dom będzie udostępniony do oglądania dopiero po południu - powiedziała.

- Ojej - zafrasował się. - Przepraszam bardzo, ale agentka, z którą się pani umawiała, Patsy, nie mogła przyjść i w zastępstwie

przysłała mnie. Powiedziała, że mam tu być o dziesiątej. Przyszedłem trochę wcześniej. Sprawiam kłopot?

- Skąd, pomoże mi pan odkurzać.

Uśmiechnął się niepewnie. Nie bardzo wiedział, czy Leigh żartuje, czy mówi poważnie.

- Żartowałam - zlitowała się nad nim. - Proszę wejść.

Wskazał głową za siebie.

- Ustawiłem już tabliczkę informacyjną.

Spojrzała nad jego ramieniem. Na skraju trawnika sterczała wbita krzywo biało-czerwona tablica z napisem „Na sprzedaż”. Rzeczywistość znowu skrzeczy. Wpuściła gościa do środka, przytrzymując mu drzwi.

- Teraz poważnie - podjęła. - Mam tu jeszcze trochę noszenia, a czasu zostało niewiele.

- Tak?

Patsy drogo mi zapłaci za podesłanie takiego mało rozgarniętego zastępcy, pomyślała.

- Trzeba znieść parę pudeł z góry i wystawić je na ganek. Bo inaczej ludzie się będą o nie potykali.

- Na Boga! Nie wolno do tego dopuścić. Pomogę pani, oczywiście.

Mam nadzieję, pomyślała Leigh, spoglądając krytycznie na jego wypielegnowane białe dłonie, które chyba nigdy nie splamiły się pracą cięższą od unoszenia kieliszków wina.

Potrząsnął papierową torbą.

- Mam tu coś na śniadanie - wyjaśnił dumnie. To rozbroiło Leigh.

- Maślane bułeczki? - spytała.

- Kajzerki. Świeżutkie. Kupiłem rano w Hatteras. Chyba jednak przyjdzie mi samej taskać te pudła.

- Ależ pan zapobiegliwy! Panie...

- Brown. Evan Brown.

- Zdjął mi pan kłopot z głowy, Evan. - Obdarzyła go ciepłym uśmiechem. - Chodźmy do kuchni.

- Zazwyczaj przeprowadzamy oględziny domu, zanim wciągniemy go na listę posesji udostępnianych klientom - powiedział, ruszając za nią korytarzem.

- Tak, Patsy chciała to zrobić - odparła Leigh - ale nie było czasu. Mam tylko tydzień na sprzedaż.

Evan ściągnął brwi.

- Tydzień? Oj, śmiem wątpić, czy uda nam się tak szybko sfinalizować transakcję. To nie najlepszy okres, rozumie pani. Większość osób, które chciały tego lata wynająć albo kupić dom, już to zrobiła.

- Wiem. Patsy mnie uprzedzała. Powiedziała również, że mogę tu ustanowić pełnomocnika, który będzie występował w moim imieniu i w porozumieniu ze mną.

- Fakt, można tak zrobić. Ale dłużej by to trwało; wędrowka dokumentów tam i z powrotem, więcej papierkowej roboty, no wie pani.

Leigh wzruszyła ramionami.

- Może nie będzie innego wyjścia - zmierzyła go wzrokiem.

- No, jeśli inaczej się nie da...

- Wspaniale! - Posłała mu promienny uśmiech. - To może napijemy się teraz kawy?

Piętnaście minut później Evan, zdjawszy swoją wytworną marynarkę i podwinawszy rękawy koszuli, znosił pudła z piętra i ustawiał je na werandzie.

- To już chyba wszystko - oznajmiła na koniec Leigh.

Evan ocierał chusteczką spocone czoło. Ten ruch przypomniał Leigh o bandanie Spencera, którą miała nadal w torebce. Położy ją na stoliku w sieni, to Spencer zauważy swoją własność, kiedy tu później wpadnie.

- No! - odetchnął Evan, chowając chusteczkę do kieszeni spodni.

- To może teraz przejdziemy do omówienia szczegółowej charakterystyki domu.

- Wszystko już powiedziałam Patsy.

Przez jego twarz przemknął ironiczny uśmiešek.

- Z pewnością przedstawiła jej pani nieruchomości z jak najlepszych stron. Teraz proszę mi opowiedzieć resztę, żeby coś mnie nie zaskoczyło, kiedy będę oprowadzał klientów.

Tu cię zażył, malutka. Trafiła kosa na kamień.

- Rozumiem. Może zaczniemy od fundamentów? Wyczerpawszy temat, usiedli przy kuchennym stole.

Leigh była pełna podziwu dla drobiazgowości Evana. W powietrzu unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy.

- Chyba sama powinnam upiec te maślane bułeczki. Podobno powinien tak robić każdy, kto wystawia dom na sprzedaż. Na szczęście.

Evan wydał usta.

- Dobrej nieruchomości niepotrzebne są wcale takie sztuczki. Ten dom... - zatoczył wkoło ręką - to solidna stara robota. I... - tu zawiesił dramatycznie głos -nie ma tu żadnych świetlików, pokojów do opalania ani sauny.

- Ale jest taras.

- Tak. No cóż... - Pociągnął lekko nosem. - Mam nadzieję, że nikt nie będzie chciał go sprawdzać. Jak dawno został dobudowany?

- Trochę ponad dziesięć lat temu. Ostatni rok życia mój ojciec spędził w domu opieki w Raleigh. Ale wracał tu na weekendy i matka chciała mu wtedy zapewnić świeże powietrze i mieć go jednocześnie na oku, kiedy sama krzątała się w kuchni.

Evan odczekał stosowną chwilę, a potem podjął:

- Tak czy inaczej, pomimo oczywistych niewygód związanych ze starego typu armaturą wodociagową i niepewną instalacją elektryczną...

- Instalacja elektryczna jest w najlepszym porządku!

- To pani tak twierdzi. A według mnie skrzynka bezpieczników jest przeciążona. Ale to może przejść nie zauważone, jeśli nie włączy

pani zbyt wielu urządzeń elektrycznych w tym czasie, kiedy będę oprowadzał klientów.

- Ani myślę wkładać w ten dom pieniądze przed sprzedażą.

- Wcale pani do tego nie namawiam. Ale jeśli ktoś poruszy tę kwestię, będzie pani może musiała spuścić z ceny.

- Jestem na to przygotowana. Mieszkam i pracuję w Nowym Jorku. Niech pan zwraca ludziom uwagę, że to jedna z ostatnich prywatnych posesji poza granicami wioski. Wszystkie inne należą do Parku Narodowego. Tuż za drogą jest plaża.

- Czy ten teren również należy do pani?

- Nie, ale mamy prawo dostępu do niego. Jest odpowiednia klauzula w umowie, na mocy której mój ojciec sprzedał przyległą do posesji działkę Parkowi Narodowemu. Reszta plaży należy do stanu.

- Tak, to jest pewien argument przetargowy, przyznaję. A poza tym całkiem sporo osób gustuje teraz w starych domach.

Leigh przymknęła oczy. Ciekawa była, jak na tę rozmowę zareagowałby ojciec. Trzeba zacząć od tego, że on nigdy by takiej rozmowy nie prowadził. Potarła palcem wskazującym bruzdę między brwiami. Niewiele spała tej nocy; przewracała się w łóżku z boku na bok, myśląc o Samie. I o Spencerze. O tym, co czuła, kiedy ją całował. Nawet o Jamiem - co widział i co musiał sobie o niej pomyśleć. Evan zaczynał ją męczyć.

Słyszając głośnie pukanie do drzwi frontowych, zerwała się z krzesła i pobiegła otworzyć. Za drzwiami z siatki majaczyła sylwetka Spencera. Serce zabiło jej szybciej.

- Już wróciłeś? - spytała, wpuszczając go do środka.
- Tak, mój klient spuchł przed dziewiątą. Pewnie przyczyniła się do tego impreza, na której balował wczoraj w Hobart.
- Nie wyobrażam sobie niczego gorszego od wypływania w morze na kacu.
- Wiedziałem, że wrócę wcześniej, jak tylko zobaczyłem zielonkawy odcień jego skóry po mocnej kawie, którą go poczęstowałem o wpół do szóstej rano.
- Nie wiedziałam, że masz w sobie tyle okrucieństwa - mruknęła.
- Chodź, Evan raczy się właśnie normalną kawą.
Spencer zatrzymał się w pół kroku.
- Evan?
- Człowiek z agencji obrotu nieruchomościami, który ma dziś pokazywać ludziom mój dom.
- Aha. - Spencer odetchnął z ulgą. Dopiero po chwili, kiedy oczy przywykły mu do panującego w holu półmroku, dostrzegł mężczyznę stojącego w progu kuchni.
Przedstawiwszy ich sobie, Leigh powiedziała:
- Spencer pomoże mi wywieźć te pudła do zakładu przetwarzania odpadów w Hatteras.
Usta Evana rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.
- Cudownie! A więc za pani pozwoleniem przeniosę teraz kilka krzeseł z patio na frontową werandę. Nie zaszkodzi, jeśli klienci będą mieli sposobność podziwiać widoki roztaczające się z obu stron domu.

Spencer zaofiarował się, że pomoże Evanowi przenosić krzesła, zaś Leigh wbiegła tymczasem na górę po torebkę. Zboczyła na chwilę do łazienki, żeby poprawić włosy. Były jeszcze wilgotne z tyłu głowy po prysznicu, ale końce już się podwinęły. Fryzjer ostrzegał ją, że ta fryzura jest zdecydowanie niemodna, ale Leigh o to nie dbała. Nigdy nie starała się nadążać za modą.

Może trochę szminki, pomyślała. Spuściła wzrok na swoje białe szorty. Nie nadają się raczej do dźwigania pudeł, ale wspaniale kontrastują z granatowym stanikiem. Kiedy odwracała się, by wyjść, poraziło ją pewne wspomnienie.

Laura Marshall miała na sobie bielutki tenisowy strój na naszym nocnym pikniku na wyspie Portsmouth. To dlatego w łodzi nie było kamizelek ratunkowych. Laura wpadła na pomysł, żeby użyć ich jako poduszek, bo nie chciała sobie pobrudzić białych szortów.

Leigh poczuła skurcz serca. Przytrzymała się framugi drzwi, żeby utrzymać równowagę. Odczekała chwilę, a potem odetchnęła głęboko i wróciła do swojej sypialni, by zmienić szorty. Kiedy po paru minutach zeszła z powrotem na dół, Spencer z Evanem kończyli przenoszenie krzesel z patio na frontową werandę. Na jej widok Spencer uśmiechnął się.

- Właśnie miałem ci poradzić, żebyś zmieniła szorty. Nie powiem, wspaniale w tych białych wyglądałaś, ale ostatnio w moim wozie olej wycieka.

- Tak, to samo sobie pomyślałam - mruknęła. - Czarne są zdecydowanie praktyczniejsze.

- I bardziej dramatycznie kontrastują z niebieskim -wtrącił Evan.

- O, naprawdę, dziękuję. - Leigh zauważyła kącikiem oka uśmiech przewijający się przez twarz Spencera. -Niech pan posłucha, Evan. Nie wiem, ile nam to zajmie...

Machnął lekceważąco ręką.

- Nie śpieszcie się. I tak wolimy, żeby właściciele nie kręcili się pod nogami, kiedy oprowadzamy klientów. Mam nadzieję, że pochowała pani wszelkie cenne przedmioty.

- Tak, pochowałam. Da mi pan później znać, jak poszło, jeśli nie wrócę przed pana wyjściem?

- Oczywiście. Ale uprzedzam, że to mało prawdopodobne, żeby już dzisiaj znalazła pani kupca. Czy pozamykać wszystko, kiedy będę wychodził?

- Nie trzeba. U nas nie ma takiego zwyczaju. Co o tym myślisz, Spencer?

- Może w szczycie sezonu turystycznego, ale nie teraz. Pomimo że dom stoi poza granicami wioski.

- Proszę zamknąć tylko główne drzwi - zdecydowała Leigh. - W razie czego są sąsiedzi, Jensenowie. Mieszkają kawałek stąd, za tamtymi cedrami.

- Oto moja wizytówka - powiedział Evan. - Gdybym nie odezwał się do poniedziałku po południu, proszę do mnie zadzwonić.

Leigh z ulgą zauważyła, że podczas jej nieobecności mężczyźni zdążyli załadować pudła na skrzynię pikapu.

- Wszystkie się zmieściły! - zawołała.

- Pomyślałem sobie - rzekł Spencer - że zamiast wracać do mnie po twój samochód, moglibyśmy pojechać prosto na prom. Co ty na to?

Oznacza to, że spędzi ze Spencerem więcej czasu, niż przewidywała. Niby nie miała nic przeciwko temu, ale wspomnienie ostatniego wieczoru włączyło w jej głowie dzwoneczki alarmowe.

- Jak chcesz - mruknęła, wsiadając do kabiny - ale w ten sposób zmarnujesz ze mną cały dzień.

Uśmiechnął się do niej.

- Jakoś przeżyję. Ale czy ja przeżyję?

- Niech ci będzie - powiedziała, usiłując przybrać obojętny ton. - No i jak tam dzisiaj Sam?

- Nie poznałabyś nawet, że źle się wczoraj czuł. Wstał skoro świt i już się gdzieś wybierał. Niemal siłą go z Ja-miem zatrzymaliśmy i kazaliśmy obiecać, że nigdzie się dzisiaj nie ruszy.

Wycofał samochód z podjazdu na drogę. W pewnej chwili zerknął z ukosa na Leigh. Wystawiała prawy łokieć przez otwarte okno, wiatr rozwiewał jej włosy. Wyglądała tak młodo i ślicznie. Nie chciało mu się wierzyć, że to już piętnaście lat...

Może uda się jeszcze naprawić błędy młodości, jeśli dobrze to teraz rozegra. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie ma już dziewiętnastu, lecz trzydzieści pięć lat. Wykrystalizowały się priorytety, wyraźniej zarysowały granice. Z tym że więcej ma teraz obowiązków - Jamie i Sam. Tak, ale jakoś sobie z nimi poradzi. Odprężył się. Nie wszystko naraz.

Dziś jest sobota. Można na chwilę zapomnieć o zmartwieniach. Słońce mocno przygrzewa, błękit nieba zapiera dech, a obok niego siedzi znowu kobieta, którą zawsze kochał. Czego chceć więcej?

Niczego. Tylko czasu, by przekonać się, czy ona pragnie tego samego.

Przepęniało go uczucie zadowolenia. Zapowiada się wspaniały dzień.

Było stosunkowo wcześnie, dzięki czemu na promie do Hatteras były jeszcze wolne miejsca.

- Za dwa tygodnie nie będzie tak łatwo - powiedział i zaparkował na miejscu, które wskazał mu członek załogi promu. - Wejdziemy na górny pokład? - spytał, zwracając się do Leigh.

Ale ona już wysiadła i szła do schodków prowadzących na pokłady pasażerskie, biegnące po obu stronach promu. Uśmiechnął się. Tak, ta sama Leigh. Nadal lubi wiatr we włosach.

- Wiesz - powiedział, stając przy niej - nigdy nie znuży mnie ten widok, choć oglądałem go już tysiące razy.

- Bo on się wciąż zmienia. Chmury, barwa wody, nawet kształt linii brzegowej, wszystko zależy od warunków oświetlenia, pogody, pory roku.

Leigh potrząsnęła głową. Uwielbiała wystawiać twarz na podmuchy wiatru.

- Co za zapachy! - dodała. - Ta ostra kombinacja woni soli i ryb. Nie psuje jej nawet smród spalin z silnika promu. Wiesz... - spojrzała na Spencera - po pierwszych sześciu miesiącach pobytu w Nowym

Jorku wybrałam się z przyjaciółką na wycieczkę statkiem na Ellis Island, żeby obejrzeć z bliska Statuę Wolności. W Battery Park mijaliśmy kępę jodeł, które zapachem przypominają trochę sosnę. Zatrzymałam się przy nich i oddychałam głęboko. To był pierwszy naturalny zapach, jaki czułam od przyjazdu do Nowego Jorku. - Roześmiała się. - Oczywiście potem odkryłam tam sporo prawdziwie naturalnych miejsc, takich małych oaz świeżego powietrza, ale aż do tej chwili w Battery Park nie zdawałam sobie sprawy, jak inne jest miejskie powietrze w porównaniu z tymi wyspami.

Patrzyła na cieśninę z wypiekami na twarzy. Oczy jej błyszczały i Spencera naszała tak silna pokusa, by ją pocałować, że musiał się odwrócić, oprzeć o reling i udać zainteresowanie wodą.

- Nic nie może się równać z życiem na wyspach, to pewne - odezwał się w końcu.

- Dlaczego nie wyjechałeś z Ocracoke? W szkolnych latach ciągle mówiłeś o przeniesieniu się na kontynent.

Spencer parsknął ironicznie.

- Tak. Wtedy wydawało mi się, że wiem wszystko.

- Zerknął na Leigh i znowu przeniósł wzrok na morze.

- Zostać ojcem, kiedy ma się niewiele ponad dwadzieścia lat, to bardzo otrzeźwiający doświadczenie. Sam załatwił mi pracę u jednego z rybaków z wioski, a dwa lata później stary Cowan wziął mnie do swojej wypożyczalni łodzi. To był przełom, na który czekałem. Lepsze zarobki, wygodniejsze godziny pracy, i sama praca nie tak ciężka jak dotychczasowa. - Spojrzał znowu na Leigh. - Nie wiem, jak

Sam i ludzie tacy jak twój ojciec to wytrzymywali, zwłaszcza że łodzie rybackie nie były tak dobrze wyposażone jak teraz.

Leigh pokiwała głową i Spencer znowu pobiegł wzrokiem ku zatoce Hatteras.

- Tak czy inaczej, nie wdając się w szczegóły, z czasem przejąłem praktycznie cały interes. Cowan jest teraz współnikiem właściwie tylko na papierze. Kiedy już tutaj zainwestowałem, nie mogłem wyjechać. Poza tym, wydorostałem i zacząłem doceniać uroki życia na wyspie i w wiosce. Tutaj wszystko jest o wiele... prostsze. Pragnienia i potrzeby mamy w zasadzie... podstawowe. To wszystko.

Leigh spojrzała z ukosa na opartego o reling i zapatrzonego w morze Spencera. Nie zgadzała się z jego opinią na temat życia na Outer Banks, a zwłaszcza na Ocracoke.

To, czego doświadczyła tutaj po tamtej pamiętnej, tragicznej nocy i później, w świecie poza wyspą, nauczyło ją, że nie można wyciągać prostych wniosków na temat miejsc i ludzi.

- Ale ty - podjął Spencer, prostując się i odwracając do niej - skoro masz za sobą college i mieszkasz od tylu lat w Nowym Jorku, patrzysz chyba na to z innej perspektywy.

Jego błękitne oczy błyszczały w promieniach jasnego słońca. Były to te same oczy, w które Leigh przez dwa lata patrzyła z tęsknotą i uwielbieniem, ale teraz czaiło się w nich coś innego niż wtedy.

- Znudziłem cię? - zapytał.

- Słucham?

- Jesteś jakaś zamyślona.
- Tak, myślałam o tobie z tamtych czasów. Uśmiech znikł z jego twarzy.
- Dzieciak był wtedy ze mnie.
- Dziewiętnastoletni dzieciak.
- Nie na początku. Nie wtedy, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Leigh uśmiechnęła się.
- Oboje byliśmy dziećmi. W lipcu po tej potańcówce u Sadiego kończyłam dopiero szesnaście lat.
- Pamiętam, jak twoja matka wydała to wielkie przyjęcie z okazji „słodkiej szesnastki”.
- A ja byłam taka zakłopotana! Nie chciałam nawet na nie iść.
- Pamiętam, chcieliśmy wymknąć się cichaczem i popłynąć do Hatteras do kina.
- Ale przyjęcie okazało się udane. Spencer znowu się uśmiechał.
- Tak. Bardzo udane.
- Bardzo się oboje zmieniliśmy - podjęła Leigh po dłuższej chwili milczenia. - Postarzelismy się...
- Zmądrzelismy-poprawił ją.
- Tak - mruknęła. - Lubię tak myśleć. - Oparła się rękami o reling i zapatrzyła w majaczący w oddali przylądek Hatteras.
- Ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy powspominać i nacieszyć się swoim towarzystwem. Jak dorośli i przyjaciele - dodał szybko.

- Tak, nie ma takiego powodu - przyznała, prostując się i spoglądając mu w oczy.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zjemy lunch? - spytał Spencer, gdy zatrzasnął za sobą drzwiczki samochodu.

- Umieram już z głodu - przyznała Leigh. - A do następnego promu...

- Nie mówiąc już o czterdziestu pięciu minutach drogi przez cieśninę - zauważył.

Roześmiała się.

- Zapewniam cię, że jeżeli chodzi o lunch, to nie musisz używać specjalnych argumentów, żeby mnie przekonać.

- Wspaniale. - Wrzucił bieg i wyjechał z pokrytego żwirem parkingu, gdzie przeładowali pudła Leigh do pojemników na odpady do wtórnego przetworzenia. - Znam taką małą knajpkę po drodze do Kill Devil Hills, ale to kawałek drogi stąd.

- Mam czas - odparła i nagle poczuła się cudownie wolna.

Zjedli lunch w małej rodzinnej restauracyjce na przedmieściach Kill Devil Hills, a wracając, zatrzymali się jeszcze na lody w innej przydrożnej knajpcie. Leigh przyznawała w duchu, że to jeden z jej najlepszych od dłuższego czasu dni.

- Nie wiem, jak ty - westchnął Spencer, zatrzymując samochodu na podjeździe przed swoim domem i gasząc silnik - ale ja uważam, że było... - Szukał właściwego słowa.

- Klawo? W dechę? Fajowo? - odpowiedziała z uśmiechem. -
Swoją drogą ciekawe, czy te określenia funkcjonują jeszcze w
słowniku dzisiejszej młodzieży?

- Fantastycznie! Tego właśnie słowa mi brakowało. Było
cholernie fantastycznie.

Leigh odwzajemniła jego uśmiech.

- To dobre słowo. Tak, ja też bym go użyła.

- Cieszę się.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Był to dzień kontaktów,
uświadomił sobie. Każde słowo, każdy żart, każde przypadkowe
otarcie skóry o skórę miało w sobie coś z natychmiastowego, niemal
elektrycznego kontaktu.

Od paru ostatnich godzin odkrywał Leigh Randall na nowo,
poznawał nowe fakty z jej życia, przypominał sobie dawno
zapomniane szczegóły. Ale oto staje wobec zmierzchu tego
wspaniałego, fantastycznego dnia, a wcale nie ma ochoty go kończyć.
Chce, by trwał i trwał.

- Chyba pojedę do domu - rzekła Leigh, odwracając wzrok i
sięgając do klamki. - Ciekawe, czy trafił się ktoś chętny na mój dom.

Poczuł rozczarowanie i zrobił smętną minę. Czyżby o tym tylko
myślała, kiedy patrzył jej głęboko w oczy, kiedy wysyłał tonem głosu
sygnały?

Wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł za Leigh z pikapu. Dogonił
ją przy jej samochodzie. Stała przy drzwiczkach od strony kierowcy,
bawiąc się kluczykami. Nie chce odjeżdżać, pomyślał, czy może

zastanawia się tylko, jak by tu się w najbezpieczniejszy sposób pożegnać?

Ale kiedy posłała mu zapierający dech w piersiach uśmiech, nie tracił czasu na analizowanie jego znaczenia. Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i poczuł rozkoszną miękkość jej kształtów. Ukrył twarz w jej włosach, wdychał przez chwilę ich kwiatowy zapach, a następnie ujął jej głowę w dłonie i obsypał pocałunkami czoło. Leigh objęła go w pasie, odrzuciła do tyłu głowę i rozchyliła usta. Skorzystał z tego zaproszenia.

Poczuł smak malin, lodów i miętowej gumy do żucia, którą kupiła w drodze powrotnej do domu. Zsunął dłonie na jej talię i przyciągnął do siebie jeszcze mocniej. Pożądał jej do bólu. Kiedy się odsunęła, omal nie jęknął z żalu.

- Spencer - szepnęła.

Z drzenia jej głosu wynikało, że wcale nie chciała się od niego odrywać. Patrzył jej błagalnie w oczy, pragnął, by została. Nie wytrzymała jego spojrzenia i spuściła wzrok. Po chwili wahania otworzyła drzwiczki samochodu i wsiadła.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział.

Skinęła tylko głową, wyjechała tyłem z podjazdu i ruszyła w stronę wioski. Jednak po przebyciu kilku metrów zahamowała i cofnęła samochód na wstecznym.

Spencer stał jak wrośnięty w ziemię.

Leigh opuściła szybę.

- Jak chcesz do mnie zadzwonić, skoro nie znasz numeru? -
zapytała.

- Podaj mi - mruknął.

- Może zjemy jutro kolację? U mnie?

- Chętnie.

- No to jesteście umówieni. Przyrowadź Jamiego. Cześć.

Spencer pomachał jej ręką. Jakiego Jamiego? Ach, oczywiście, skojarzył sobie, schodząc nagle z obłoków na ziemię.

W progu domu przywitało go pulsujące dudnienie jakiegoś rockowego utworu, dochodzące zza zamkniętych drzwi pokoju syna. Zapukał energicznie i nie czekając na zaproszenie, pchnął drzwi. Jamie leżał na brzuchu na nie posłanym łóżku i przeglądał magazyn sportowy. Na łóżku i podłodze wały się szkolne książki i części garderoby - czyste czy do prania, trudno było stwierdzić. Spencer wskazał wymownym gestem na odtwarzacz płyt kompaktowych, a nie doczekawszy się reakcji, podszedł do urządzenia i sam je wyłączył.

- No co!

- Musimy porozmawiać. Nie zauważyłeś, że wszedłem do pokoju?

- Owszem, zauważyłem. I nie tylko to.

- Co to ma znaczyć?

Jamie rzucił magazynem o podłogę. Twarz miał zaczerwienioną.

- Widziałem ciebie i Leigh. Kurczę, nie możecie robić tego dyskretnie?

Spencer poczuł, że robi mu się gorąco.

- Nic takiego nie robiliśmy - wykrztusił, nienawidząc samego siebie za to, że tak szybko przechodzi do defensywy. - Pocałowałem ją tylko na pożegnanie. Nigdy tego nie robiłeś na randkach?

Był to kiepski argument. Z tego, co wiedział, Jamie nie umawiał się jeszcze z dziewczynami. Ale Jamie puścił tę uwagę mimo uszu.

- Akurat, na pożegnanie - burknął. - Całe szczęście, że nikt nie przejeżdżał. Kurczę!

Spencer uznał, że lepiej nie ciągnąć tego tematu. W wybuchu syna wyczuwał jakieś złożone emocje. Przysiadł na brzeжку łóżka.

- Jak czuje się dzisiaj dziadek?

- Tak samo jak rano, kiedy go zostawiałeś.

Spencer zacisnął usta. Hm. Czyżby Jamie miał do niego żal, że zostawił go z Samem?

- Jak było?

Chłopiec westchnął ciężko.

- A jak miało być? Znasz przecież dziadka. Wyrwał się z łóżka.

- Czy lekarz dzwonił tutaj, kiedy wróciłeś?

- Tak. Powiedział, żebyś jak najszybciej skontaktował się ze specjalistą, który prowadzi dziadka. Powiedział, że dzwonił już do faceta i powiadomił go o ataku i w ogóle.

- Dobrze. Coś jeszcze? Jamie wzruszył ramionami.

- Nie. To wszystko.

Spencer wstał i ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się i odwrócił.

- Nudziłeś się?

Jamie znowu wzruszył ramionami.

- Nie da się ukryć, że nie ma tu co robić. Spencer westchnął.

- Posłuchaj - powiedział - a może skoczylibyśmy do kina do Hatteras? Potem moglibyśmy coś przekąsić. Porozmawiać trochę o lecie. No wiesz, coś zaplanować.

Jamie skrzywił się, ale Spencer zauważył w jego oczach błysk zainteresowania.

- Masz na myśli rozmowę o podjęciu pracy? Wymówił słowo „praca” z obrzydzeniem. Spencer uśmiechnął się w duchu.

- Są prace... i prace. Niekoniecznie musisz pracować u mnie na łodzi. Wiem na przykład, że paru chłopaków z okolicy zatrudniło się na pół etatu w Zarządzie Parku Narodowego. Opiekują się tabunem kuców. Jamie nastawił ucha.

- To tutaj są dzikie kuce?

- Trochę ich jeszcze zostało. Właściwie to nie są dzikie, bo trzyma się je w zagrodach. Ale parę dzikich też może by się znalazło.

Jamie wydał usta.

- Założę się, że trzeba mieć plecy, żeby dostać taką pracę - mruknął.

Ciekawe, skąd ten cynizm u chłopca w tym wieku, pomyślał Spencer. Czy ja też taki byłem?

- Rusz się - powiedział. - Pozbieraj te ciuchy i wrzuć je do kosza ha brudy. Zajrzemy po drodze do Sama.

Leigh wracała do domu zamyślona. Wspominała dzień spędzony ze Spencerem i jej podświadomość wysyłała ostrzegawcze sygnały. Siedź w domu. Trzymaj się od niego z daleka. Niebezpieczeństwo.

Wzruszyła ramionami. Skłonności do dramatyzowania miała zawsze Jen, nie ona. Zatrzymała samochód przed domem i siedziała przez chwilę, dyskutując sama z sobą. To się skończyło piętnaście lat temu. Licho wie, dlaczego. Czy to zresztą ważne? Daj sobie spokój i przejdź nad tym wreszcie do porządku dziennego.

Tabliczka „Na sprzedaż” wbita w trawnik przed domem przypomniała jej, po co przyjechała na wyspę. Było, minęło, mała. Nie da się odwrócić przeszłości i nawet jeśli Spencer się zmienił, to, co się stało piętnaście lat temu, na trwałe odcisnęło się w twojej świadomości.

Wysiadła z samochodu i wchodząc na werandę, była już zdecydowana, że skróci swój pobyt na wyspie. Evan poradzi tu sobie bez niej.

Skoro już mowa o Evanie, pomyślała, to dlaczego nie zamknął głównych drzwi? Niby na Ocracoke się tego nie robi, ale z nieproszonymi gośćmi nigdy nie wiadomo.

Evan podpadł jej jeszcze bardziej, kiedy po wejściu do kuchni stwierdziła, że nie wyłączył ekspresu do kawy. A do tego zostawił brudny kubek i łyżeczkę na blacie! Najwyraźniej pomyliła się co do niego. Wcale nie był taki pedantyczny, na jakiego wyglądał. Położyła torebkę na stole i weszła na górę, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Czekała, kiedy Spencer zaproponuje wspólne spędzenie wieczoru, ale teraz była zadowolona, że tego nie zrobił. Pewnie nie znalazłaby w sobie sił, by odrzucić propozycję pod wpływem spojrzenia tych dziecinnie błękitnych oczu.

Wyszła z łazienki i ruszyła korytarzem do swojej sypialni na tyłach domu. W progu zatrzymała się. Coś tu się zmieniło. Zmarszczyła czoło. Pewnie mi się wydaje. Podeszła do toaletki i spojrzała w lustro. Uśmiechnęła się na wspomnienie pocałunku Spencera, lecz zaraz spoważniała. Usiadła na łóżku i podparła się rękami pod brodę. Siostró, pomyślała, masz problem.

Może zadzwonić jutro do Evana i poprosić, żeby sam zajął się sprzedażą domu? Nie. Jutro jest niedziela. I Spencer przychodzi na kolację. Jęknęła. Jeśli szczęście jej dopisze, Jamie też przyjdzie. Taki czternastolatek to niezła przyzwoitka. Leigh zrzuciła z nóg sandały i ściągnęła bluzkę. Kiedy odwracała głowę, jej wzrok padł na ścienną szafę. Znieruchomiała.

No właśnie. Wchodząc do pokoju, Leigh zatrzymała się w progu z poczuciem, że coś się tu zmieniło. Drzwi ściennej szafy stały otworem; prawdopodobnie zostawił je tak ktoś z oglądających dom. Zrzuciła z siebie resztę ubrania i włożyła szlafrok wiszący na haczyku wbitym w wewnętrzną stronę drzwi szafy.

Wysunęła szufladę komody, w której trzymała czystą bieliznę, i omal nie krzyknęła. Ktoś grzebał w jej rzeczach. Wysunęła jedną po drugiej inne szuflady. Zawartość wszystkich, oprócz ostatniej, ktoś

przeglądał. Najwyraźniej próbował potem zatrzeć ślady, ale nie bardzo mu to wyszło.

Z dołu dobiegł świergot telefonu komórkowego. Leigh przewiązała szlafrok paskiem i zbiegła na dół.

- Pani Randall? Evan Brown z tej strony.

- Aha! Dobrze, że pan dzwoni.

- Tak?

- Odnoszę wrażenie, że ktoś buszował w moim domu.

- Sporo osób się dzisiaj przez niego przewinęło. Evan żartowniś.

- Ściślej mówiąc, w szufladach.

- W szufladach?

Leigh policzyła do dziesięciu.

- Odnoszę wrażenie, że ktoś grzebał w szufladach mojej komody. W szafie i w rzeczach osobistych!

- Wielkie nieba! A po co miałyby to robić?

- Sama zadaję sobie to pytanie. Jak dotąd nie znalazłam na nie odpowiedzi. Raczyłby mi pan pomóc?

- Jest pani pewna? Cały czas byłem z klientami. No, może raz ich zostawiłem, bo musiałem umyć ręce.

- Jestem pewna. Przed dwoma dniami sprzątałam i kiedy teraz wysunęłam te szuflady, od razu zauważyłam, że ktoś je przeglądał. Wszystko jest minimalnie poprzesuwane.

- Minimalnie? A więc nie mówimy tutaj o żadnym akcie wandalizmu, tak?

- Nie. Ktoś poprzesuwał tylko nieznacznie stosy ubrań.

W słuchawce rozległo się westchnienie ulgi.

- A może komoda się z jakiegoś powodu przechyliła i rzeczy w szufladach same się poprzesuwały?

- Nie mieliśmy przecież trzęsienia ziemi. A poza tym nie zamknął pan drzwi frontowych i... eee... nie wyłączył ekspresu do kawy. Zostawił też pan na blacie w kuchni brudny kubek i łyżeczkę.

- Co takiego? Chwileczkę, pani Randall. Wychodząc, zamknąłem drzwi, a kuchnię zostawiłem lśniącą. Słyszysz pani? Lśniącą.

W głosie Evana pobrzmiwała taka uraza, że Leigh postanowiła szybko zmienić temat. Co to zresztą ma za znaczenie?

- Już dobrze, panie Evan, nie spędzi mi to snu z powiek.

- Czy coś zginęło?

- Nie sądzę, ale jeszcze nie sprawdzałam. Zadzwoń do pana, gdybym odkryła, że czegoś brakuje.

- Lepiej na policję. Przepraszam, pani Randall. Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło, a niejednym dom już pokazywałem. Naprawdę ani na chwilę nie zostawiłem tych ludzi samych.

- No może raz, kiedy...

- Ale to było tylko kilka sekund.

Leigh już żałowała, że poruszyła tę kwestię.

- Miał pan dzisiaj jakieś oferty?

- Nie, ale było paru obiecujących klientów. Młoda rodzina, która szuka domu na lato, małżeństwo, które chce zainwestować w

nieruchomość, i starsza kobieta, która zamierza przenieść się z mężem na wyspę.

- Dla starszych osób dom jest za duży - zauważyła Leigh. - Moi rodzice mieli na starość spore kłopoty z jego konserwacją.

- To samo sobie pomyślałem, ale ją chyba ten dom zafascynował.

- Może to ona szperała mi po szufladach i w szafie.

- Ojej, może to ja otworzyłem tę szafę. Wielkie nieba, przecież...

- I co teraz? - przerwała mu.

- Czekamy. Co by pani powiedziała na udostępnienie domu zainteresowanym jeszcze raz, dajmy na to za trzy, cztery dni?

Leigh przymknęła oczy. I to by było na tyle, jeśli chodzi o moje plany wcześniejszego wyjazdu.

- Dobrze. Te kilka dni mogę jeszcze poświęcić.

Evan ustalił z nią datę i rozłączył się.

Leigh przystąpiła do metodycznego sprawdzania zawartości wszystkich szafek, szaf i szuflad w domu. Chyba nic nie zginęło. Pudła z pamiątkami, które postanowiła zatrzymać, stały w pokoju rodziców, skórzana walizka nadal leżała pod łóżkiem. Zresztą po co komu czyjeś stare fotografie?

Po późnej kolacji i wieczorze spędzonym przed telewizorem Leigh położyła się do łóżka. Ktoś na pewno był w jej domu po zamknięciu go przez Evana. Może Trish? Ona miała najwyraźniej w zwyczaju rządzić się jak u siebie w obcych domach.

Zgasła nocną lampkę. Pokój wypełniła muzyka nocy - odgłosy zderzeń ciem i czerwcowych owadów z siatką w oknie, stłumiony ryk przyływu i szum zrywającego się wiatru w koronach drzew. Ułożyła się wygodnie i wróciła myślami do wydarzeń dzisiejszego popołudnia - wspominała słońce, niebo, a przede wszystkim pocałunek.

RS

- Dziadku?

Leigh zapukała w ramę siatkowych drzwi. Odczekała chwilę, a potem nacisnęła łokciem klamkę, pchnęła drzwi biodrem i z talerzem potrawy w jednej ręce oraz z torbą z zakupami w drugiej wsunęła się do środka. Weszła na palcach do kuchni i położyła swój bagaż na stole. Dopiero teraz zauważyła, że ktoś tu posprzątał.

- Sam? Nie śpisz?

Ciche stęknienie dobiegające z sypialni Sama sprawiło, że serce podeszło jej do gardła. Podbiegła do drzwi.

Ale Sam siedział na łóżku podparty stosem poduszek. Uśmiechał się blado, niemal przepaszajaco, jakby skrepowany tym, że wyleguje się chory w pościeli.

- Jest moja dziewczynka! - zachrypiał i oczy mu się zaśmiały. Leigh nachyliła się i objęła go ostrożnie. – Nie pokruszę się - zażartował. - Zrzuć gdzieś te gazety z fotela i przysuń się z nim bliżej, żebym mógł cieszyć oczy twoim widokiem.

- Przyniosłam ci kolację i trochę sprawunków.

- A nikomu nie wpadło jakoś do głowy, żeby mi przynieść cygaro i butelkę porto?

Leigh uśmiechnęła się.

- Dzięki Bogu, są jeszcze na tym świecie rozsądni ludzie.

- Nie przypominam sobie tej cechy charakteru u ciebie, kiedy byłeś młodsza - oświadczył poważnie, ale w jego oczach skrzyły się isierki radości.

Leigh pochyliła się i pogłaskała go po dłoni.

- Jak się czujesz, Sam? Ale już na poważnie.

- Gdyby te tłumy przestały mnie nachodzić i wypytywać o zdrowie, to pewnie nie leżałbym już w łóżku, tylko łowił ryby. A tak...

- A więc wyspiarska poczta pantoflowa funkcjonuje?

- Na to wygląda. - Znowu westchnął. - Nawet ta starucha Waverly do mnie zajrzała.

- I pytała pewnie, czy zdecydowałeś się w końcu sprzedać dom?

Sam pociągnął nosem.

- Nie. Powiedziała, że ma nadzieję, że pociągnę jeszcze co najmniej dziesięć lat i oboje zaprotestujemy przeciwko tym nowym pomysłom Parku Narodowego.

- Jakim pomysłem?

- Przeciwno całemu temu szumowi wokół ochrony środowiska naturalnego. Ha! Za moich czasów ludzie nie musieli mieć wyrzutów sumienia w związku ze swoją pracą zarobkową. Łowiliśmy dokładnie tyle, ile nam było trzeba, żeby przeżyć zimę. Utrzymywaliśmy silniki łodzi w czystości i nigdy nie braliśmy od morza więcej, niż mogliśmy zjeść albo sprzedać. - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu, i dostał ataku kaszlu.

Leigh podała mu szklanekę wody. Sam opadł na poduszki, oddychając ciężko przez otwarte usta.

Wiedziała już, że jest bardziej chory, niż myślała. Wyglądał tak źle, jak każde z jej rodziców kilka tygodni przed śmiercią. Ogarnął ją smutek. Nie wyobrażała sobie Ocracoke bez Sama Logana.

- Słyszałem, że organizujesz dziś wieczorem przyjęcie. Ach, ta poczta pantoflowa!

- Tak - mruknęła. - Spencer i Jamie przychodzą do mnie na kolację. Ciebie też bym zaprosiła, gdybyś lepiej się czuł.

Sam znowu się rozkaszał. Popił wody.

- Dobrze, że Spencer zaczął wychodzić z domu. Za długo już żyje jak pustelnik.

- Trudno mi w to uwierzyć. Przecież na Ocracoke nie ma zbyt wielu kawalerów do wzięcia.

Ochryply chichot Sama przeszedł w następny atak kaszlu. Leigh poprawiła mu poduszki i przyniosła świeżą wodę z kuchni.

- Coś mi się wydaje, że próbujesz ciągnąć mnie za język, moja dziewczynko.

Leigh zarumieniła się.

- Ty zawsze potrafiłeś przejrzeć ludzi na wylot.

- Nie wszystkich. Niestety, przeoczyłem pewne ostrzegawcze sygnały u mojej własnej wnuczki. - Urwał. - Kiedy Jen odeszła - podjął po chwili - Spencer szalał. Zjeździł w tę i z powrotem całe wybrzeże, szukając jej i Jamiego u każdego znajomego i krewnego. Nawet nie wiedziałem, że tylu ich ma. - Urwał znowu i chrapliwie zaczerpnął powietrza.

- Może odpoczniesz, Sam?

Machnął ręką.

- Muszę to z siebie wyrzucić, zanim będzie za późno. Po paru miesiącach Spencer dostał od Jen list, w którym zawiadamiała go, że występuje o rozwód.

- Musiał się załamać.

- Tak. Ale wątpię, że z jej powodu. On kochał chłopca.

- To dlaczego nie starał się o opiekę nad nim?

- Wziął prawnika. Wydał na niego wszystko, co miał, i dowiedział się tylko, że nie ma wielkich szans, jeśli nie udowodni, że Jen jest wyrodną matką. - Sam zawiesił głos, żeby zaczerpnąć tchu. - Nawet nie próbował. I nie zrozum mnie źle, Jen też kocha Jamiego. Te kłopoty z chłopcem zaczęły się dopiero, gdy drugi raz wyszła za mąż. Jamie miał już wtedy kilkanaście lat i przyzwyczyił się, że ma ją tylko dla siebie. Biedny chłopiec. Najpierw stracił ojca, potem matkę. Nic dziwnego, że jest taki zagubiony.

Sam zamilkł. Leigh wyobraziła sobie Spencera jeżdżącego po wybrzeżu Karoliny Północnej w poszukiwaniu

Jen i Jamiego. Nigdy łatwo nie rezygnował. Po tamtym tragicznym wypadku w dniu rozdania świadectw i po przesłuchaniach wydzwaniał i przychodził do niej do domu tak często, że matka nie miała już serca go w jej imieniu okłamywać. Kiedy Leigh wyjechała z Ocracoke, by podjąć studia w Chapel Hill, telefon na jej stacji dzwonił tak często, że gospodyni zagroziła podniesieniem czynszu.

Nieustępliwość była drugą naturą Spencera - aż do ostatniej próby kontaktu z nią. Pewnego burzliwego wieczoru pod koniec

października przyjechał z Ocracoke do Chapel Hill. Leigh nakłoniła współlokatorkę, by mu powiedziała, że jest w bibliotece. Ale on, nie zważając na ulewę, kulił się w samej wiatrówce pod płaczącą wierzbą, czekając na nią. Blisko godzinę obserwowała go przez szparę między zasłonami.

Przed oczami stał jej obraz Spencera i Jen objętych na uroczystości rozdania świadectw oraz późniejsza scena w toalecie dla dziewcząt, gdzie doszło do konfrontacji z Jen.

- Miałaś swoją szansę, Randall, i zmarnowałaś ją. Spencer ma po dziurki w nosie ciebie i twojego gadania o wyjeździe z wyspy i nauce w college'u. Chce być teraz ze mną. - Jen uśmiechnęła się triumfująco. - Płyn sobie z tamtymi na Portsmouth. Ja mam lepsze rzeczy do roboty. - I wyszła na korytarz, trzaskając drzwiami.

I tak, zamiast wybiec do niego tamtego wieczoru w Chapel Hill, Leigh zamknęła się w łazience i płakała. Później napisała do niego długi list z wyjaśnieniem, dlaczego nie chce go widzieć. Nie odpisał ani już więcej nie zadzwonił. Kilka tygodni potem pobrali się z Jen.

- Jak to się dziwnie w życiu plecie - mruknął Sam. Leigh podniosła głowę. Z wyrazu twarzy Sama wynikało, że on również wspominał.

Spojrzał na Leigh.

- Byłem się gotów założyć, że to ty, a nie Jen, wyjedziesz za Spencera i wyjedziesz z nim z Ocracoke. Znaczy się, Jen też zawsze chciała stąd wyjechać, spodziewałem się więc, że zrobi to zaraz po ukończeniu szkoły. Nawet ze swoimi stopniami mogła iść do jakiegoś

college'u, ale nie złożyła nawet w żadnym papierów. W ogóle nie chciała ze mną rozmawiać o swoich planach. Byłem zaskoczony, że to ona wyjechała stąd ze Spencerem.

Ja też. Chociaż czy naprawdę? Czy po tamtym wieczorze nie domyślałaś się, że Spencer wrócił prosto na wyspę i do Jen?

- Tak czy siak, co się stało, to się nie odstanie. - Sam westchnął ciężko. - Wydaje mi się, że każdemu na dobre to wyszło. A ty jak myślisz?

Leigh spuściła głowę i zaczęła skubać koc, którym przykryty był Sam.

- Mnie się też tak wydaje - mruknęła po chwili.

- Ale chyba najlepiej skończyło się dla Jen. Ona zawsze potrafiła lądować na cztery łapy.

Leigh chwyciła Sama za rękę.

- Wszyscy jesteśmy już dorośli, Sam, i potrafimy planować przyszłość. Nie martw się o nas.

- Ja nie o was się martwię, tylko o Jamiego.

- Niepotrzebnie. Jamie ma rodziców, którzy bardzo go kochają. Mnóstwo dzieci nie ma ani ojca, ani matki.

- Tak - pociągnął nosem - chyba masz rację. No więc co zamierzasz?

- Sprzedać dom i wracać do Nowego Jorku.

- Nie kusi cię, żeby posiedzieć tu dłużej?

- Tu? Na wyspie? Samowi twarz się ściągnęła.

- A co, źle ci tutaj? Miałaś tu cudowne dzieciństwo i w ogóle.

- Nie twierdę, że nie kocham Ocracoke, Sam. Chodzi o to... -
szukała przez chwilę właściwych słów - że z niej wyrosłam.
- Zajmujesz się teraz czymś większym i ważniejszym?
- W każdym razie czymś innym.
- A masz tam kogoś? Leigh uśmiechnęła się.
- Mam kilku dobrych przyjaciół, ale to wszystko. Chwileczkę, i
kto tu mówi o pociąganiu za język?

Sam uśmiechnął się szelmowsko.

- Z tego wychodzi, że nie masz nikogo, tylko nie rozumiem
dlaczego.

- Wspaniale było przyjechać tu i znów was wszystkich zobaczyć,
ale szczerze mówiąc, Sam, nie wydaje mi się, żeby można było cofnąć
wskazówki zegara. Powrót po latach do rodzinnych stron to...
stanowczo nie to samo. Wszystko się zmieniło.

- Pewnie, że się zmieniło! Ale dlaczego nie miałabyś spróbować
jeszcze raz? Masz teraz okazję.

Pora zmienić temat, pomyślała.

- Być może. Posłuchaj, Sam, przynieść ci coś, zanim wyjdę?
Wodę? Sok?

Sam skrzywił się.

- Nie. Nic mi nie potrzeba, chyba że chowasz tam w torbie
butelczynę porto.

- Nic z tego. - Pochyliła się nad staruszką i cmoknęła go w
policzek. - No to będę już leciała. Muszę przygotować kolację.
Słyszałam, że Spencer nauczył się nieźle gotować.

- O tak, jest w tym cholernie dobry. Może posiedzisz tu jeszcze trochę, a on tymczasem przygotuje kolację dla ciebie u siebie?

Leigh roześmiała się.

- Przestań się bawić w swata! - Wstała. - Spencer zajrzy do ciebie później w drodze do domu.

Sam pokręcił głową.

- Niech Jamie zajrzy. Będziecie mieli trochę czasu dla siebie.

- Sam!

- To żadne swatanie - zaprotestował. - Na pewno macie sobie dużo do powiedzenia. Dużo spraw do wyjaśnienia. No wiesz... - zająknął się, widząc wyraz jej oczu -z przeszłości.

- Było, minęło, Sam. Co tu wyjaśniać?

- Trudno żyć, jeśli przeszłość się za człowiekiem wlecze. Ja ci to mówię.

Leigh przewiesiła torebkę przez ramię.

- A z czego wnioskujeś, że za mną wlecze się przeszłość?

- Czytam to z twojej twarzy, Leigh. Słyszę w twoim głosie, ilekroć wymawiasz imię Spencera... albo Jen.

- Chyba za dużo widzisz, Sam. No, to do zobaczenia.

Odpuść. - Wstała i ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj.

Zatrzymała się z ociąganiem. Sam, niczego mu nie ujmując, zaczął się zapuszczać na niebezpieczne terytorium. Czyż tego nie widzi?

- Wysłuchaj mnie. Weź sobie do serca słowa starego człowieka, który zna cię od dziecka. Musisz się uwolnić od zmor przeszłości, i to szybko. Z czasem nie ma żartów! Musisz się przestać obwiniać o ten wypadek. Piętnaście lat temu byliście wszyscy niesfornymi dzieciakami.

- Ja nigdy nie byłam niesfornym dzieciakiem. Byłam tylko słaba.

- Nikt cię o tę tragedię nie obwinia. Nikt prócz jednej pogrążonej w żałobie kobiety, którą najprawdopodobniej z jakiegoś innego powodu sumienie gryzie.

Miał na myśli matkę Laury Marshall. Leigh pamiętała, jak Laura narzekała na nadopiekuńczość matki. W rodzinie Marshallów dochodziło na tym tle do wielu sprzeczek i Leigh była świadkiem kilku. Sugestia Sama nabierała sensu, jeśli się wiedziało, że pani Marshall nie miała z córką wspólnego języka.

- Być może, Sam. Ale jestem na wyspie dopiero od tygodnia, a na każdym kroku odnoszę wrażenie, że nikt tutaj nie zapomniał, co się wtedy stało, choć to już piętnaście lat.

Sam z wyraźnym trudem uniósł się z poduszek. Poczzerwieniał z wysiłku.

- Sam, nie wstawaj!

- Nie wstaję - wysapał, podpierając się na łokciach. - Za dużo o całej tej sprawie myślisz. Ludzie chcąc nie chcąc będą sobie przypominali, widząc twój strach, ilekroć ktoś o niej wspomni.

Leigh była już nie na żarty wzburzona. Gdyby to nie Sam... I nagle przypomniała sobie ten moment sprzed kilku dni, kiedy

atmosferę lunchu popsuło napomknienie o latarni morskiej. Udało jej się wtedy zapanować nad głosem, ale emocje miała wypisane na twarzy. Sam ma rację. Może rzeczywiście wszyscy zapomnieli już o tragedii i tylko ona wciąż ją rozpamiętuje.

- Wiesz co, Sam - powiedziała, patrząc z góry na jego pomarszczoną wiekiem twarz - lepiej odpocznij. I nie martw się o mnie. Dam sobie radę.

Opadł z powrotem na poduszki.

- Chciałbym w to wierzyć, Leigh. No, idź już. Przyślijcie do mnie potem Jamiego. Niech da ojcu trochę wytchnąć.

Leigh zamknęła cicho drzwi sypialni i oparła się o nie. Długo nie czuła się na siłach od nich oderwać.

- Naprawdę nie potrzebujesz pomocy?

- Nigdy podczas pierwszej wizyty. Taka obowiązuje w tym domu zasada.

Leigh wstawiła czyste kieliszki do wina do kredensu. Kiedy się odwróciła, Spencer nadal stał w drzwiach prowadzących na taras. W beżowych spodniach i szmaragdowej koszulce polo, która podkreślała jasność włosów i opaleniznę, wyglądał wspaniale. Był jeszcze przystojniejszy niż kiedyś.

Zerknęła na niego z ukosa. Jego atrakcyjność nie wynikała tylko z wieku, lecz również z doświadczeń życiowych, które przydały charakteru twarzy. Wyzwanie w spojrzeniu zastąpiło... co? Nie potrafiła tego nazwać.

- Nic nie mówisz - zauważył. Wzruszyła ramionami.

- Martwię się o Sama. Wydał mi się dzisiaj bardzo osłabiony, a jeszcze tydzień temu był taki żywotny.

- Masz na myśli ten wieczór, kiedy o mało cię nie rozjechałem na drodze?

Roześmiała się.

- Tak. Mój pierwszy wieczór na wyspie.

- O mało nie dostałem wtedy zawału. Chyba nie masz w zwyczaju wałęsać się po nocy?

- Nawet gdybym miała taki zwyczaj, to nie jesteśmy w Nowym Jorku. - Leigh napełniła filiżanki kawą. - Wyjdziemy na taras?

- Chętnie. Jamie jest pod wrażeniem twojej kuchni. Powiedział, że kolacja była „super”, co w jego słowniku oznacza pięć gwiazdek.

- Przyjmuję komplement, chociaż to chyba lekka przesada.

Spencer uśmiechnął się.

- Nie dla dzieciaka wychowanego na hamburgerach i frytkach.

- Mleko?

- Poproszę. Ale bez cukru.

Leigh podała mu filiżankę. Wziął ją razem z jej dłonią.

Podniosła na niego oczy.

- Ja też martwię się o Sama - powiedział. - Ale nie chcę spędzać reszty wieczoru na myśleniu i rozmowie o nim. Poza tym Jamie już tam chyba dotarł, i Sam jest teraz w siódmym niebie. Uwielbia tego chłopaka.

Leigh uśmiechnęła się.

- Zauważyłam. Zresztą Sam nie życzyłby sobie, żebyśmy się o niego martwili.

- Masz rację - przytaknął Spencer. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą na taras.

Słońce chyliło się już ku zachodowi i białe plastikowe krzesła nabrały różowawego odcienia. Usiedli obok siebie. Leigh czuła wciąż na sobie wzrok Spencera śledzącego każdy jej ruch znad filiżanki z kawą. W powietrzu czuło się wyczekiwanie.

- Mówiłam ci, że Evan miał wczoraj kilku zainteresowanych moim domem? - spytała, usiłując nadać głosowi obojętny ton.

Spencer odstawił filiżankę na metalowy stolik.

- Nie - odezwał się po dłuższej chwili. - Nie mówiłaś.

Odniosła wrażenie, że atmosfera się zagęściła. Upiła łyżeczek kawy i ta wydała się jej jakaś cierpka. Też odstawiła filiżankę. Spencer chwycił ją za rękę.

- Posłuchaj. - Oczy błyszczały mu z emocji, której wolała nie analizować. - Chciałbym ci coś pokazać. Chodź. O nic nie pytaj.

Poprowadził ją do swojego pikapu, zaparkowanego przed domem. Zatrzymała się niezdecydowanie przy samochodzie i obejrzała na dom.

- Wszystko w porządku. Niedługo wrócimy. Odzyskała głos, gdy pędzili już drogą.

- Spencer, dokąd ty mnie wiesziesz? Położył sobie palec na ustach.

- Sza. Zaufaj mi, dobrze?

Wspomniała dawnego, impulsywnego Spencera. Może jednak wcale się tak nie zmienił? Jechali krętą drogą w kierunku portu - do Creek, jak go tu każdy nazywał. Domyśliła się celu tej podróży, kiedy zobaczyła przed sobą przystań jachtową. Zacisnęła dłoń na klamce.

- Spencer... - ostrzegła.

- Sza. Ani słowa. Obiecuj.

Nie była to prośba, lecz rozkaz. Kropelki potu wystąpiły Leigh na czoło. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Kiedy pikap zatrzymywał się z piskiem opon pośród szeregu samochodów zaparkowanych przed przystanią, czuła bolesne pulsowanie w skroniach.

- Spencer! Proszę cię! - Chwyliła go za przedramię, kiedy wyciągał kluczyki ze stacyjki. - Dlaczego mi to robisz?

Przykrył jej rękę dłonią i uściśnął. - Bo ktoś musi, Leigh, i równie dobrze mogę to być ja.

- To śmieszne. Na miłość boską! Przestań się bawić w psychologa amatora! Odwieź mnie w tej chwili do domu!

W tym ostatnim okrzyku pobrzmiwało takie przerażenie, że omal jej nie posłuchał. Za późno, uświadomił sobie. Trzeba brnąć dalej. Pogłaskał ją grzbietem dłoni po policzku.

- Spokojnie, Leigh - wyszeptał.

Wyskoczył z kabiny i niemal natychmiast pojawił się przy drzwiczkach od strony Leigh, pomógł jej wysiąść i pociągnął chodnikiem w stronę rzędu łodzi kołyszących się na lekkim wietrze.

Zatrzymali się przed starą, ale dobrze utrzymaną, biało-niebieską motorówką. Spencer zaczął odwiązywać cumę dziobową.

- Wchodź na pokład - rzucił rozkazująco, ale Leigh stała rozdygotana na pomoście, dopóki nie podszedł do niej od tyłu i ujmując pod łokcie, nie pomógł wejść na łódź. Odwiązał resztę lin i sam też wskoczył na pokład. Uruchomił silnik i odbił na wstecznym biegu od pomostu. Skierowawszy łódź dziobem w stronę wyjścia z portu, obejrzał się na Leigh i gestem poprosił ją, by podeszła.

Zajęła ostrożnie miejsce obok niego na ławeczce obitej wytartą skórą. Zachybotła się pod jej ciężarem. Chwyliła się półki pod przednią szybą, żeby odzyskać równowagę. Bała się pytać, dokąd płyną. Zresztą wiedziała. Rozpoznawała tę suchość w ustach, to walenie serca, ten bezdech spowodowany napadem paniki. Przed jej oczami, zupełnie jak tamtego wieczoru przed piętnastoma laty, materializowały się charakterystyczne punkty portu Creek. I wieczór był wtedy podobny, uświadomiła sobie. Żółty zachód słońca i gładka jak stół tafla wody. A później, kiedy zerwał się wiatr i wyzwolił w morzu bestię... Oblizła usta.

- Spencer? - wykrztusiła.

- Wszystko w porządku, Leigh. Popatrzymy na zachód słońca i wrócimy. Zaufaj mi.

- Ja tylko... ja nie byłam...

- Przez piętnaście lat na łodzi.

Kiwnęła głową.

Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- No to najwyższy już czas - mruknął, cofając rękę z powrotem na koło sterowe.

Leigh, trzymając się koniuszkami palców półki, patrzyła, jak dziób łodzi, mknącej pod zachodzące słońce w kierunku wyspy Portsmouth, tnie wody cieśniny Ocracoke. Po dwudziestu minutach wyspa pojawiła się przed nimi podświetlona zorzą zachodu. Spencer zwolnił, wpłynął do zatoczki i zgasił silnik.

Nie spoglądając na Leigh, przeszedł na rufę i rzucił kotwicę. Potem wrócił i otoczył ją ramieniem.

- Jeśli szczęście nam dopisze, zobaczymy może zieloną poświatę - powiedział.

Leigh oddychała płytko. Puściła się półki.

- Naprawdę ją kiedyś widziałeś? - spytała. Uniósł brwi, udając, że jest urażony.

- Co ty sugerujesz? Że zmyśliłem sobie coś, co na całym świecie mogą potwierdzić świadkowie? Zieloną poświatę podczas zachodu słońca na morzu?

Leigh uśmiechnęła się mimowolnie.

- Czy aby nie obserwuje się jej tylko w tropikach? Poniżej równika, czy gdzie tam?

- Obserwują ją ludzie, którzy wierzą. Parsknęła śmiechem. Przytulił ją mocniej.

- Oto Leigh, którą pamiętam - powiedział.

Doprawdy? A jaka właściwie jest ta Leigh, którą pamiętasz? Tak pomyślała, nie zadała jednak tego pytania głośno.

- Tak - westchnął Spencer, patrząc przed siebie na zarys bezludnej Portsmouth. - Wiesz, że rząd zamierza znowu zasiedlić wyspę? Chyba chcą tchnąć nowe życie w ten rejon.

Leigh rozejrzała się po zatoczce. Portsmouth, odległa od Ocracoke o dwadzieścia minut drogi, przyciągała nie tylko rybaków i żeglarzy, ale również młodzież szukającą przygody.

- Dostyc niewinnie wygląda, prawda?

- Co masz na myśli? - Spojrzała na Spencera, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak blisko niej siedzi.

Wzruszył ramionami.

- To tylko ładna wysepka z kilkoma starymi budynkami. Jak to możliwe, żeby miała taki wpływ na twoje życie?

Leigh oniemiała. Ogarnął ją gniew. Odczekała chwilę, żeby ochłonać, a potem wyrzuciła z siebie:

- Jak możesz pytać? - Zatoczyła ręką szeroki łuk, ogarniając tym gestem całą wyspę i zatokę. - Tu aż gęsto od wspomnień. Niemal... niemal słyszę szcęk łańcuchów wszystkich duchów, jakie tu pokutują.

- I nawiedzają cię?

Kiwnęła głową.

- Tak - wyszeptała. - Co ty tam wiesz. Nie było cię tutaj! - krzyknęła ze złością.

- A powinienem być?

Leigh spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak. Powinieneś. Chciałam, żebyś tu był. Dzień przed rozdaniem świadectw poprosiłam Mary Ann, żeby przekazała ci list, w którym pisałam, że czekam na ciebie przy latarni. Chciałam naprawić to, co się między nami popsulo, poprosić cię, żebyś mimo wszystko poszedł ze mną na uroczystość.

- Nie dostałem żadnego listu od Mary Ann - zachnął się. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

Leigh westchnęła.

- To i tak nie ma teraz znaczenia. Gdyby tylko...

- Nie mogłaś zapobiec temu, co się stało, Leigh.

- Nie, oczywiście że nie. Ale...

- Ale co?

- Gdyby oni zgodzili się przeczekać sztorm...

- Nie ty go rozpętałaś, a oni nie chcieli czekać. Sami podjęli taką decyzję. Nie posłuchali cię.

- Powinnaś była ich przekonać!

- Jak?

Leigh pokręciła głową. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Oddychaj głęboko, Leigh. Powoli.

Biorąc od niego chusteczkę higieniczną, przypomniała sobie o czerwono-czarnej bandanie.

- Mam w domu twoją chustę - mruknęła nie na temat. - Leży na stoliku w holu.

- Lepiej? - spytał, puszczając tę uwagę mimo uszu. Kiwnęła głową i wytarła nos.

- Tak. Dzięki. - Spojrzała ponad wodą na wyspę. - Tyle szczegółów pamiętam.

- Opowiedz mi.

- Nie mówiłam o tym od lat... od przesłuchania. A rozpamiętywałam to tyle razy, że myślałam, że zwariuję.

- Piętnaście lat.

- Długo. - Leigh znowu westchnęła. - Nie wiem, skąd wziął się pomysł tego nocnego wypadu. Nie pamiętam nawet, kto podsunął myśl, żeby po tańcach popłynąć na Portsmouth. Z początku, kiedy ludzie zaczęli mówić, że to był mój pomysł i tylko ja przeżyłam, byłam wściekła. Przez jakiś czas próbowałam walczyć z tą plotką, ale później dałam za wygraną. To nie miało sensu.

- A może upieranie się przy prawdzie nie pasowało do twojego scenariusza?

- Co przez to rozumiesz?

- Może podświadomie chciałaś wziąć winę na siebie - wyjaśnił.

- Strasznie patetycznie mi to brzmi.

- Wcale nie - mruknął, wodząc palcem po zmarszczkach na jej czole. - Świadczy o twojej odwadze, o idealizmie. Może biorąc na siebie całą odpowiedzialność, próbowałaś uszlachetnić ich śmierć. Byłem na przesłuchaniu, wszystko słyszałem. Dałaś im wolną rękę w odtwarzaniu wypadków tamtej nocy. Dlaczego nie wprowadziłaś sprostowań do protokołu?

- A jaka w ogóle jest prawda?

Spencer ujął ją palcem pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- Ty mi to powiedz - wyszeptał.

I powiedziała, zaczynając od kłótni, do jakiej doszło między nimi na tydzień przed rozdaniem świadectw.

- Kiedy teraz wracam pamięcią do tamtych dni - mówiła - widzę, że chciałam robić wszystko po swojemu. Nie uśmiechaj się tak, bo nigdy nie skończę! Wydawało mi się, że ty wcale się nie przejmujesz tym, że pod koniec lata opuszczam wyspę. Kiedy chciałam z tobą porozmawiać o naszej przyszłości, zawsze odchodziłeś albo zbywałeś mnie byle czym.

- Bo myślałem, że twój wyjazd złamie mi serce.

- Przecież wyjeżdżałam tylko do college'u. Mnóstwo jest takich chwilowych rozstań. - Zniżyła głos do szeptu. - To wcale nie oznacza zerwania.

- Miałem swoje obawy, Leigh. Wierz mi, moje zachowanie było zupełnym zaprzeczeniem tego, co czułem. Wyobrażałem sobie, że poznasz w Chapel Hill jakiegoś mądrego, bogatego faceta, i zapomnisz o mnie. Owszem, wiedziałem, że będziesz przyjeżdżała do domu na weekendy i że będę mógł cię odwiedzać w Chapel Hill, ale nie ulegało dla mnie wątpliwości, że po paru miesiącach poznasz... kogoś. W moim mniemaniu było to nieuchronne.

- Ale nie dałeś mi żadnej szansy. Zachowywałeś się tak, jakby wcale ci na mnie nie zależało.

Dotknął delikatnie czubkiem palca jej wargę.

- Zależało, Leigh, i to tak, że przez wiele miesięcy nie mogłem dojść do siebie. Bałem się o tym rozmawiać -uśmiechnął się - żeby się nie rozplakać.

- Gdybyś się rozplakał - odetchnęła powoli - wszystko może inaczej by się ułożyło. - Rozśmieszył ją wyraz jego twarzy. - Poważnie, Spencer. Ależ z nas idioci. Z ciebie i ze mnie. A potem, kiedy powiedziałeś, że nie płyniesz z nami na Portsmouth, straciłam nad sobą panowanie.

- Pamiętam. Takich wyzwisk w życiu nie słyszałem.

Spoważniała.

- Przeszłam samą siebie, prawda?

Pokręcił głową.

- Czulaś się zraniona.

- I bałam się.

- Czego?

- Że cię tracę - wyznała. - A więc w pierwszym odruchu odepchnęłam cię - prosto w ramiona Jen, jak się potem okazało.

Spencer odwrócił wzrok.

- I tu właśnie przegrałem - mruknął.

- Nie rozumiem?

- Od początku wiedziałem, że ona na mnie leci. Pod koniec nawet nie próbowała tego maskować.

- A ja dowiedziałam się o tym jako ostatnia.

- Byłaś zbyt zaaferowana...

- ...wyjazdem do college'u?

- Tak. Kiedy oznajmiłaś, że nie pójdziesz na rozdanie świadectw ze mną, wziąłem samochód ojca i pojechałem prosto przed siebie, aż do Nag's Head i z powrotem. Pod domem czekała na mnie Jen. Pewnie powiedziałaś jej, że się pokłóciliśmy. Była... była bardzo słodka.

- Wyobrażam sobie. Jak mogłeś jej nie przejrzeć?

- Sam nie wiem. Chyba nie chciałem. Kiedy usłyszałem, że idziesz na uroczystość z Tonym, poprosiłem Jen, żeby poszła ze mną. Później, po wypadku, próbowałem ci wszystko wyjaśnić, ale ty nie słuchałaś.

- Byłam zapatrzoną w siebie idiotką - wymruczała Leigh. - A ty dałeś mi nawet drugą szansę. W Chapel Hill - wyjaśniła, widząc pytanie w jego oczach. - Tamtego wieczoru, kiedy do mnie przyjechałeś, byłam w domu. Ukrywałam się w swoim pokoju.

Spencer pokręcił głową.

- Jesteśmy parą idiotów, to fakt.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił z całych sił. Szloch Leigh mącił ciszę nocy.

Leigh przekręciła się na bok, otworzyła oczy i natychmiast zamrugła powiekami, oślepiona promieniami słońca wlewającymi się do sypialni. Jeszcze przez chwilę błąkała się po ziemi niczyjej pomiędzy snem a jawą. Gdzie ja jestem? W domu. Gdy sobie to uprzytomniła, zrobiło jej się dziwnie lekko na duszy.

Nie wiedzieć czemu, swojego mieszkania w Nowym Jorku nigdy nie uważała za dom. Wyciągnęła się na łóżku i przez chwilę przebierała palcami u nóg. Firanki w oknie falowały lekko w słabiutkich powiewach porannej bryzy. Kolejny idealny dzień w raju, pomyślała. I po co tak się śpieszyć z wyjazdem? A może wcale już mi się tak z nim nie śpieszy? Zwłaszcza po wczorajszej nocy.

Powrót o zmierzchu na Ocracoke był długi i przebiegał jak we śnie. Siedziała na miejscu Spencera, a on stał za nią i sterował. Jego bliskość napawała ją takim poczuciem bezpieczeństwa i komfortu, jakiego nie zaznała od dzieciństwa.

Odezwali się do siebie dopiero wtedy, kiedy Spencer zatrzymał samochód pod jej domem.

- Wejdiesz? - spytała, zerkając na niego.
- A chcesz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Chcę - odparła i dotknęła jego policzka. Wiedzieli oboje, że nie jest to zaproszenie na kawę.

Objęli się już w holu i razem wstąpili na schody. Jak stare małżeństwo, pomyślała.

- Chodźmy do twojego pokoju - zaproponował, kiedy stanęli na podeście. - Przez dwa lata wyobrażałem sobie, że zakradam się do twojej sypialni i kocham z tobą.

- A za ścianą śpią spokojnie moi rodzice? - Leigh udała oburzenie.

- Cóż mogę rzec na swoje usprawiedliwienie? Byłem młody, miałem gorącą krew i rozsadzały mnie chucie.

- A mimo to czekaliśmy dwa lata, zanim...

- Tak - szepnął. - Pamiętam nasz pierwszy raz, jakby to było wczoraj.

- Nie byliśmy zbyt oryginalni. Tylne siedzenie samochodu mojego ojca.

- A gdzie można było to tutaj zrobić? Motel odpadał.

- Na wydmach - oznajmiła.

- Nie lubiłaś wydm. Trawa cię łaskotała.

Leigh roześmiała się z zażenowaniem i odepchnęła go od siebie. Stanęli w progu jej sypialni i spojrzeli na pojedyncze, wąskie łóżko.

- Hm - mruknął Spencer. - Są tu jakieś pokoje gościnne?

- Nie, ale jest łóżko moich rodziców.

- Poważnie?

Spuściła wzrok i zaczęła się bawić guzikiem bluzki.

- Przydaje domowej atmosfery. Wiesz, o co mi chodzi? Tak jakby byli oboje na dole.

Spencer przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach.

- Jesteś taka...

- Tylko nie mów, że „słodka” - ostrzegła. Cofnął się i spojrzał jej w oczy.

- Cudowna. Niezwykła. Zachwycająca; - Pochylił się i obsypał pocałunkami jej czoło. - Pociągająca. - Przesunął wargami po grzbiecie jej nosa, na czubku zawahał się, a potem wpił się w jej usta. - Wspaniała - mruknął po dłuższej chwili.

- Chodź - powiedziała, wyzwalając się z jego objęć, by pociągnąć go korytarzem do głównej sypialni.

- Poważnie?

- Moi staruszkowie chyba nie mieliby nic przeciwko - odparła. Zaraz za progiem sypialni zaczęła rozpinać bluzkę.

- Zaczekaj - powstrzymał ją. - Ja to zrobię. - Rozebrał ją powoli i kiedy stała już przed nim naga, zaczął wodzić delikatnie dłońmi po każdej części jej ciała.

- Można by pomyśleć, że kupujesz nowy samochód albo coś w tym rodzaju - zażartowała, lecz uwielbienie malujące się na jego twarzy zamknęło jej usta.

- Przypominam sobie... jaka byłaś w dotyku, jak wyglądałaś. Ta skóra, te piękne piersi...

Wzięła go za rękę, podeszła do łóżka i zdecydowanym ruchem odrzuciła narzutę. Odwróciła się do niego.

- Ty jesteś w dotyku taki sam jak dawniej - wyszeptała mu do ucha, pociągając za sobą na łóżko.

Przeszedł ją dreszcz rozkoszy, gdy przypomniała sobie pieszczoty Spencera. Dawno już nie czuła się taka szczęśliwa i tak

pożądana. Był teraz innym kochankiem niż w wieku dziewiętnastu lat. Nie tak popędliwym, bardziej pewnym siebie, mniej egoistycznym. Kiedy wychodził od niej kilka godzin później, była przekonana, że cała jarzy się w ciemnościach.

Uśmiechnęła się i odrzuciła koc. Miała przeczucie, że ten dzień będzie inny niż wszystkie dotychczasowe od jej powrotu na wyspę.

Kiedy pół godziny później, odświeżona kąpielą, szukała filtrów do kawy, zadzwonił telefon. Zabrała do kuchni telefon komórkowy, bo Spencer obiecał zadzwonić z samego rana. Z trudem ukryła zawód, kiedy w słuchawce rozległ się głos Evana.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie - zaczął - ale zależało mi, żeby zastać panią w domu.

Leigh mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Mamy kogoś zainteresowanego kupnem? - spytała, zaciskając kciuki i modląc się w duchu, żeby tak nie było.

- No... nie tyle zainteresowanego, co zdecydowanego. To kobieta. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Bardzo jej się spodobał pani dom.

- Czy to ta sama, która go wcześniej oglądała?

- Tego nie wiem. Nie przedstawialiśmy się sobie w sobotę.

- Nie spytał pan jej, jak się nazywa?

- Pytałem tylko, czy była w sobotę na prezentacji domu, a ona powiedziała mi, że go widziała.

- No to chyba oczywiste, że była. Bo jak inaczej mogła go widzieć?

- Tak też sobie pomyślałem. W każdym razie zadała mi chyba z milion pytań.

- Mimo że obejrzała dom?

- Dziwna sprawa, ale większość tych pytań dotyczyło pani.

- Mnie?

- I powodów, dla których sprzedaje pani dom.

- Rzeczywiście dziwne.

- Nie tak znowu. Czasami ludzie podejrzewają, że właściciel może sprzedawać nieruchomość ze względu na jakieś ukryte wady konstrukcyjne.

- Ten dom nie ma żadnych wad.

- Tak też jej mówiłem. Ale ona bardzo się interesowała pani rodziną - jak długo tu mieszkacie, kiedy zmarli pani rodzice, i tak dalej.

- Co jej pan powiedział?

- Pani Randall, nawet gdybym chciał, to niewiele mogłem jej o pani powiedzieć. Tyle tylko, że pani rodzice nie żyją, a pani mieszka na stałe w Nowym Jorku i przyjechała tutaj jedynie po to, żeby sprzedać dom. To wszystko.

- Dobrze - mruknęła Leigh. - Dziwna sprawa, nie sądzi pan? Tak się o kogoś wypytywać?

- Owszem, ale może ona ma po prostu taki sposób prowadzenia rozmowy.

- Prowadzenia rozmowy? Przecież nie uczestniczy w przyjęciu koktajlowym, tylko kupuje dom.

Evan roześmiał się.

- Racja. Spodobało mi się. Tak czy inaczej, proszę się nie martwić. Dzwonię do pani tylko dlatego, że ona chce jeszcze raz obejrzeć ze mną dom. Będzie pani dzisiaj u siebie?

- Tak. - Leigh przypomniała sobie o Spencerze. -Gdybym musiała gdzieś wyjść, zostawię klucz u sąsiadów. Tych Jensenów, kawałek drogą ode mnie w stronę wioski.

- Dobrze. To tyle. Zdecydowała już pani, kiedy wraca do Nowego Jorku?

- Na razie nie. Może zostanę tu jeszcze trochę. Mam zaległy urlop - wyjaśniła szybko.

Idiotko. Dlaczego się tłumaczysz przed jakimś agentem od nieruchomości!

- A więc będzie pani przez jakiś czas osiągalna. To dobrze. Ustaliliśmy datę następnej prezentacji domu zainteresowanym?

- Proponował pan ten tydzień.

- W porządku. To może w piątek? Doszliby nam wtedy weekendowicze. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, roześlę ulotki do pensjonatów.

- Oczywiście, że nie mam.

- Świetnie. Jeśli ta kobieta się odezwie, zadzwonię. Ma pani automatyczną sekretarkę?

- Nie. Nie mam nawet stacjonarnego telefonu. Tu, na Ocracoke, zostawiamy zwykle wiadomości w drzwiach i u sąsiadów.

- Trochę to niewygodne dla kogoś, kto dzwoni spoza wyspy.

- Taka już jest Ocracoke. W tym między innymi jej urok.

- Skoro tak pani twierdzi... Hm, no cóż, jeśli pani nie zastanę, a ona się uprze, że chce obejrzeć dom, to czy mogę ją przywieźć?

- Naturalnie. Jak już powiedziałam, zostawię klucz u Jensenów.

Leigh rozłączyła się i zaczęła szukać w torebce zapasowego klucza, żeby położyć go za pamięci na stoliczku w holu. Jeśli Spencer zadzwoni i zaproponuje wspólne spędzenie czasu, będzie gotowa. Nagle znieruchomiła.

A jeśli Spencer nie zadzwoni?

Głupia. Oczywiście, że zadzwoni. A jeśli coś mu dzisiaj wypadnie? Mało prawdopodobne, ale możliwe, przecież nie jest, tak jak ona, na urlopie. Tak czy inaczej, lepiej być gotową. Na co? Na królewskie wezwanie? Leigh jęknęła i zakryła ręką oczy. Zachowuje się jak nastolatka. Nawet gorzej.

Znalazła klucz i wyszła z nim do holu. Kawa może poczekać. Położyła go pośrodku stoliczka i zawahała się. Coś tu się zmieniło. Co? Na stoliku stał kupiony dawno temu przez matkę mały talerzyk z brązu na drobne monety i inne drobiazgi. Był też brązowy przycisk do papieru, który ojciec podarował kiedyś matce na gwiazdkę, leżały jej kluczyki do samochodu.

I nagle przypomniała sobie chustę Spencera w czerwono-czarną kratę. Nie było jej. Gdzie się podziała? Leigh zajrzała pod stół, wysunęła szufladę, przeszukała metodycznie cały hol i w końcu doszła do wniosku, że Spencer musiał ją zauważyć i zabrać. Wróciła do kuchni zaparzyć sobie kawę i poczekać na telefon od Spencera.

Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy odebrała. Słyszając jej przyśpieszony oddech, uśmiechnął się. A więc nie trzeba było tych trzech podejść, zanim wreszcie odważył się wystukać do końca numer. Kto wie, czy nie czekała na jego telefon przez cały ranek.

Zaraz. A może tylko biegła do telefonu...

- Spencer?

- Zadzwońbym wcześniej - wyjaśnił - ale po przyjsciu do biura miałem kilka ważnych spraw.

- Nic się nie stało.

Głos miała jakiś stłumiony, odległy. Te telefony komórkowe! Instynktownie również zniżył głos.

- Posłuchaj, mam... mam nadzieję, że nie żałujesz tego, co się stało.

Cisza w słuchawce trwała wystarczająco długo, by zje-żyły mu się włoski na karku.

- Niczego nie żałuję - odezwała się w końcu. Najchętniej porwałby ją teraz w ramiona. Na chwilę zaniemówił. Głowę miał pełną wspomnień zapachów, pieszczot, szeptów tej nocy.

- Jesteś tam?

- Co? - Spencer wzdrygnął się. Weź się w garść, stary.

Jej gardłowy śmiech sprawił, że znowu dreszcz przemknął mu po plecach. Otarł wolną ręką twarz. Rany, to będzie długi dzień.

- Tak, przepraszam. Posłuchaj, wyszła jedna sprawa. .. Nic złego... ale ważnego. - Bełkotał bez ładu i składu, nie mógł zebrać myśli. - Dzwonił ten specjalista, u którego leczy się Sam. Chce go

natychmiast widzieć. Problem w tym, że nie mogę go tam zawieźć pikapem, a więc klinika przysyła po niego karetkę. Jamie przy nim teraz siedzi. Lekarz chce Samowi zrobić kilka badań w Raleigh...

Przepraszam, co mówiłaś?

Cholera. Dom.

- I kiedy ma przyjechać ta kobieta w sprawie domu? Aha, to jeszcze nic pewnego? - Poczul ulgę. Czas, przemknęło mu przez myśl. Potrzebował tylko więcej czasu, żeby sobie to wszystko jakoś poukładać. - Leigh, rzecz w tym... że mogę nie wrócić dzisiaj na Ocracoke. Na wszelki wypadek odwołałem wszystkie rejsy wycarterowane na dzisiaj i jutro rano. Ale zaraz po powrocie zadzwonię do ciebie. Nie, wykluczone. Teraz moja kolej zaprosić cię na kolację. Jutro wieczorem? Wspaniale.

Zawahał się, poszukując odpowiednich słów, lecz wyobraźnia zawodziła go, kiedy jej najbardziej potrzebował.

- Posłuchaj, będę o tobie myślał przez całą drogę do Raleigh i z powrotem. Uważaj na siebie. Cześć.

Odłożył słuchawkę, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego czuje się jak kretyn.

Leigh wpatrywała się przez chwilę w telefon leżący na kuchennym stole. Potem wylała resztę kawy do zlewu. Spencer nie wpadnie, nie ma jej dla kogo trzymać. Dzień zapowiada się beznadziejnie pusty. Trzeba się czymś zająć. Czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o ostatniej nocy.

Wyszła do holu, zatrzymała się przed stolikiem i spojrzała w lustro, żeby sprawdzić, czy aby nie zmieniła się od wczoraj. Bo czuła się jakoś inaczej. Patrzyła na swoje odbicie. Te same czarne włosy upięte w tej chwili w prowizoryczny kok; ten sam nos, brwi gęste i łukowate. Długie rzęsy nad ciemnymi oczami - Pete nazywał je węgielkami. Nie ma się czym zachwycać ani za czym oglądać. Co innego Jen... Leigh uśmiechnęła się.

A co mi tam Jen? Po tej nocy, po tym, co mówił? Co robił? Leigh przymknęła oczy i zaraz je otworzyła. Dobra. Znajdź sobie coś do roboty. Starczy tego rozpamiętywania miłosnych uniesień. Spojrzała na siebie jeszcze raz i doszła do wniosku, że bladość wywołana nocnymi wyczynami wymaga retuszu. Odwróciła się, by ruszyć ku schodom, i nagle zatrzymała się jak wryta, dostrzegając coś kąciakiem oka. Gwałtownie odwróciła głowę. Za siatkowymi drzwiami ktoś stał. Obserwował ją.

Wzdrygnęła się i ruszyła powoli ku drzwiom. Osoba za nimi była kobietą.

- Pani w sprawie domu? - spytała Leigh przez siatkę.

- Domu? - Nieznajoma obejrzała się i chyba dopiero teraz zauważyła tabliczkę „Na sprzedaż”. - Ach, tak.

Leigh pchnęła drzwi. Kobieta była mniej więcej jej wzrostu. Kasztanowe włosy miała ściągnięte w coś w rodzaju koka, i wlepiła w Leigh orzechowe oczy. Miała około pięćdziesięciu lat i mogłaby być kobietą jeszcze atrakcyjną, gdyby ubierała się mniej poważnie i nie stroniła od makijażu. Nie odwzajemniła uśmiechu Leigh.

Wpatrywała się w nią, jakby próbowała wbić sobie w pamięć szczegóły jej twarzy.

- Evan powiedział, że uprzedzi mnie telefonicznie o waszej wizycie. Jest z panią?

- Jaki Evan?

Leigh zaczynała żałować, że otworzyła drzwi. Może tej kobiecie wcale nie chodzi o obejrzenie domu, może to jakaś domokrażczyni?

- Pracownik agencji obrotu nieruchomościami - wyjaśniła. - Bo pani w sprawie domu, prawda?

Kobieta kiwnęła powoli głową.

- Tak, ten dom wpadł mi w oko. Jest piękny. Szkoda go sprzedawać.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Widzę, że jest pani sama - przerwała jej Leigh. Znowu kiwnięcie głową. I te oczy wlepione wciąż w jej twarz. Leigh zaczynała czuć się nieswojo.

- Pewnie wypadałoby wpuścić panią do środka i oprowadzić. Evan wspominał, że ma pani kilka pytań na temat domu. I jego właścicielki.

- Tak, chciałabym wejść. Mam za sobą długą drogę, a bardzo dziś gorąco.

Leigh otworzyła drzwi szerzej i wpuściła kobietę do holu.

- Może szklanek zimnej wody, zanim zaczniemy obchód? - zaproponowała.

- Chętnie. Bardzo dziękuję.

Leigh zawahała się, a potem wyciągnęła rękę.

- Jestem Leigh Randall. To dom moich rodziców, ale... -
zająknęła się, zbita z tropu spojrzeniem kobiety - teraz należy do
mnie.

- Wiem. - Kobieta znowu kiwnęła głową i chyba przypomniwała
sobie wreszcie o dobrych manierach. - Nazywam się Janet Bradley -
rzekła, wyciągając rękę.

Dłoń miała wilgotną, ale uścisk silny i zdecydowany. Leigh
cofnęła rękę i wytarła ją ukradkiem o szorty.

- To może przejdziemy do kuchni i stamtąd zaczniemy? Ruszyła
przodem krótkim korytarzykiem, mijając po drodze drzwi do jadalni i
salonu.

- Jak pani widzi, schody dzielą dom na dwie części. Kuchnia
znajduje się za jadalnią i ma wyjście na taras.

- Uroczo i chłodno tutaj - mruknęła kobieta.

- Dom się raczej nie nagrzewa. A to dzięki dobrej wentylacji i
wysokim pomieszczeniom. Rzadko byliśmy zmuszani włączać
wentylator, nawet w najgorętszym okresie lata. Chłodzi go od tyłu
wiatr od oceanu i cieśniny.

- A więc mieszkała tu pani od urodzenia?

- Tutaj dorastałam, ale potem wyjechałam do college' u. Po jego
ukończeniu dostałam pracę w Nowym Jorku. Mieszkam tam od
siedmiu lat.

- A więc tam pani teraz mieszka?

- Tak. Proszę, oto kuchnia - oznajmiła Leigh, przepuszczając kobietę przodem. - Jak pani widzi, nie jest zbyt nowoczesna. Przyznaję, że urządzana była przed dwudziestu laty, ale wszystko jest tu w dobrym stanie. Ojciec był złotą rączką.

- Był?

Nacisk położony na to słowo zabrzmiał tak, jakby pani Bradley miała inne informacje. Leigh, korzystając z tego, że kobieta rozgląda się po kuchni, przyjrzała się jej uważnie. Nie wyglądała wcale na zainteresowaną stanem pomieszczenia. Kiedy jej wzrok spoczął znowu na twarzy Leigh, ta odwróciła się do zlewu.

- Dam pani szklanek wody. Na wyspie jest teraz zakład odsalania wody morskiej, ale kiedy byłam mała, korzystaliśmy z wody ze zbiornika za domem.

Kobieta wypiła maleńki łyżeczek i uśmiechnęła się. Był to chyba szczerzy, choć trochę niepewny uśmiech.

- Dobra - przyznała, odstawiając szklanek na stół.

- No to co? - Leigh klepnęła się dłońmi po udach. Trochę za wylewnie, przemknęło jej przez myśl. - Może chce pani teraz obejrzeć resztę domu?

Janet Bradley pokręciła głową.

- Za chwilę. Nie przeszkodzi pani, jeśli chwilę odpocznę?

Wysunęła sobie krzesło i usiadła, zanim Leigh zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Może szła tu pieszo z promu i doznała udaru słonecznego? To by tłumaczyło jej dziwne zachowanie.

- Jest pani samochodem czy przyszła pani pieszo? Kobieta uniosła brew.

- Uchowaj Boże! Mam samochód. Wypożyczony. Zechciałaby pani też usiąść?

Zachowanie kobiety zaczynało działać Leigh na nerwy. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy zbeszta Evana przez telefon.

Dlaczego z nią nie przyjechał?

Usiadła naprzeciwko kobiety i miała już skomentować nieobecność agenta, kiedy Janet nachyliła się do niej nad stołem i konspiracyjnym szeptem oznajmiła:

- Prawdę mówiąc, to nie przyszedłam tu w sprawie domu.

Leigh wyprostowała się; gęsia skórka obsypała jej ramiona. Kobieta postawiła na stole beżową torebkę i otworzyła ją. Pogrzebawszy chwilę w zawartości, wyciągnęła starannie złożony wycinek z gazety, który rozpostarła na stole. Był to napisany przez Mary Ann artykuł o powrocie Leigh na Ocracoke. Leigh widziała go po raz pierwszy. Podniosła pytający wzrok na Janet Bradley.

- Nie rozumiem - przyznała.

- Tak cię właśnie odnalazłam - wyjaśniła kobieta. -Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Bo widzisz, tak długo cię szukałam, a tu nagle - jesteś. Patrzysz na mnie z gazety, którą czytuję co miesiąc.

Leigh zjeżyły się włosy. Rozejrzała się po kuchni. Gdzie zostawiła ten cholerny telefon?

- Widzę, że za mną nie nadążasz - zauważyła Janet. - To chyba moja wina. Zakładam zawsze, że rozmówca potrafi czytać w moich myślach - dodała z uśmiechem.

Tym razem był to jaśniejszy, cieplejszy uśmiech. Uśmiech rozbijający, który uspokoił Leigh. Dziwna, ale nie pomyłona, zdecydowała.

- Przyznam, że nie bardzo rozumiem, w czym rzecz.

- Przez telefon powiedziałam, że dzwonię w sprawie domu, ale tak naprawdę nie jestem zainteresowana jego nabyciem.

- Och?

- Powinnam była wcześniej napisać albo zatelefonować, ale takie sprawy lepiej chyba załatwiać osobiście, nie sądzisz?

- Jakie sprawy?

Na twarzy Janet odmalowało się zdziwienie.

- No jak to, spotkania po latach.

- Nadal nie rozumiem. Kto się spotyka po latach? Janet odchyliła się na oparcie krzesła.

- Szukam cię od dawna, od bardzo dawna, Leigh -podjęła po chwili milczenia. - Nie było to łatwe, skromnie mówiąc. Kiedy więc wpadła mi w ręce ta czerwcową „Island Breeze” i upewniłam się ostatecznie, że to ty, postanowiłam działać bardzo ostrożnie. Bo tego rodzaju sprawy tak właśnie należy załatwiać. Ostrożnie, żeby nie zrazić do siebie zainteresowanych stron.

Leigh wstała z krzesła, podeszła do zlewu i nalała szklanek wody. Najchętniej wylałaby ją sobie na głowę, żeby rozjaśnić umysł.

Pociągnęła długi łyk i policzyła do dziesięciu. Ochłonawszy trochę, wróciła do stołu, ale nie usiadła. Może jeśli będzie stała, kobieta zrozumie aluzję i przejdzie wreszcie do rzeczy.

- No dobrze - powiedziała. - Przeczytała pani artykuł Mary Ann. To moja stara znajoma - wyjaśniła, widząc pytanie w oczach Janet. - Dziennikarka, która napisała ten artykuł. I czytając go, rozpoznała mnie pani.

- Właśnie!

- Skąd my się znamy? Tego właśnie nie rozumiem. Janet pokręciła energicznie głową.

- Nie znamy się. Widzimy się po raz pierwszy! Podniecenie w jej głosie stropiło Leigh. Nie pokpij sprawy, ostrzegła samą siebie. Ta kobieta sprawia wrażenie naprawdę zafascynowanej spotkaniem ze mną. Chociaż Bóg jeden wie dlaczego.

Odstawiła pustą szklankę na stół i założyła ręce na piersi.

- Znowu nie nadażam - powiedziała, nie usiłując nawet maskować zniecierpliwienia.

- Pytałam w agencji obrotu nieruchomościami o ten dom, żeby dowiedzieć się, gdzie go szukać. I żeby się upewnić, czy to naprawdę ty. Bo widzisz... - zniżyła głos do szeptu - ustaliłam, że mieszkasz gdzieś na Outer Banks i że adoptowała cię rodzina Randallów, ale nigdy nie udało mi się doprowadzić mojego śledztwa do końca.

- Śledztwa?

- Moich poszukiwań. Poszukiwań mojej córki. Ciebie.

Kuchnia zakołysała się. Leigh przysunęła sobie krzesło i opadła na nie ciężko. Zaczęła pocierać palcami skronie, by stłumić pulsowanie. Sięgnęła po szklanę, ale ta była pusta. Zresztą to nie woda była jej teraz potrzebna.

Janet Bradley uśmiechała się współczująco.

- Przepraszam. Wiem, że to trochę szokujące. Ale innego sposobu chyba nie ma.

Leigh spojrzała na nią ponad stołem. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Sądzi pani, że jestem pani córką. Tak?

- Ja wiem, że jesteś moją córką. Prawie trzydzieści trzy lata temu wydałam cię na świat. Sama byłam wtedy praktycznie dzieckiem. Osobą zbyt młodą, by wziąć na siebie taką odpowiedzialność. - Twarz jej pociemniała. - Twój ojciec odszedł, zanim się urodziłaś, a moi rodzice nie chcieli mieć ze mną nic do czynienia. Tak to kiedyś było.

Leigh słuchała tych słów, ale ich sens wciąż jej umykał.

- Co każe pani sądzić, że jestem jej córką?

- Adoptowali cię Peter i Ellen Randallowie.

Ich imiona i nazwisko mógł jej podać każdy mieszkaniec Ocracoke. Spokojnie, Leigh.

- Ma pani... jakieś dokumenty?

- Jakie dokumenty? Leigh wzruszyła ramionami.

- Poświadczające, że jest pani moją matką. Janet uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie dostaje się takich dokumentów, moja droga. Podpisuje się je tylko. Dokumenty dostają rodzice adoptujący dziecko. Na pewno je masz.

Leigh przebiegła szybko w myślach wydarzenia ostatniego tygodnia. Świadectwo adopcji cisnęła na stos papierów do wyrzucenia. Jęknęła.

- Dobrze się czujesz? - spytała Janet. - Wiem, że to dla ciebie szok.

Leigh przymrużyła oczy. To za mało, żebym uznała cię za matkę.

- Co sobie pani pomyślała, kiedy nie dostała odpowiedzi na swój list?

- Jaki list?

- Ten, który wysłała pani wiele lat temu do Ośrodka Adopcyjnego. Z prośbą o umożliwienie kontaktu ze mną.

Janet opuściła głowę, sięgnęła po torebkę i postawiła ją sobie na kolanach. Pogrzebała w niej i wyciągnęła chusteczkę higieniczną. Kiedy wytarła nos i znowu podniosła wzrok na Leigh, czubek nosa i oczy miała zaczerwienione.

Po raz pierwszy w Leigh obudziło się współczucie. Kimkolwiek jest ta kobieta, najwyraźniej pragnie wierzyć, że jestem jej córką.

- A co pomyślałaś sobie ty, kiedy zobaczyłaś ten list? - zapytała Janet.

Leigh z trudem przełknęła ślinę. To niespodziewane pytanie zbiło ją z tropu.

- Nie widziałam go. Rodzice mi go nie pokazali. Znalazłam go dopiero wczoraj.

Janet wyciągnęła rękę i poklepała Leigh po przedramieniu.

- Kiedy nadszedł... - podjęła Leigh - na wiosnę tuż przed moimi czternastymi urodzinami... ojciec był w pierwszym stadium choroby Alzheimera. Nie wiedziałyśmy jeszcze, że na nią cierpi, ale matka zauważyła, że dzieje się z nim coś niedobrego. Jestem przekonana, że nie mogła sobie pozwolić na komplikacje... - Zawiesiła głos.

- ...jakię pociągnęłyby za sobą zgoda na spotkanie z twoją biologiczną matką - dokończyła Janet.

Leigh popatrzyła na nią. Na chwilę spotkały się ich oczy.

- Tak - szepnęła.

- Mogłabym zobaczyć ten list?

- Jest na górze, w sypialni rodziców. - Leigh podniosła się z krzesła i na uginających się nogach ruszyła przodem. Na szczycie schodów zatrzymała się, by zaczekać na Janet, która została trochę z tyłu. Janet dogoniła ją i nie zatrzymując się, szła dalej korytarzem w kierunku dużej sypialni.

- Była pani na prezentacji domu? - zapytała Leigh, drepcząc za nią.

Kobieta zatrzymała się, zawahała, a potem odwróciła do Leigh.

- Nie - odparła - ale wszystkie stare domy mają podobny rozkład. Główna sypialnia jest zawsze od frontu.

Leigh przekrzywiła głowę.

- Hm. Chyba ma pani rację. Nigdy o tym nie pomyślałam. Tak czy inaczej... - prześliznęła się obok Janet, która stała w progu, i podszedłszy do łóżka opadła na czworaki -.. .moja matka przechowywała ważne rzeczy tutaj.

To mówiąc, wyciągnęła spod łóżka skórzaną walizkę. Janet przysiadła na krawędzi łóżka i przyglądała się, jak Leigh unosi wieko i grzebie w zawartości walizki.

- Kocyk też tu przechowywała? Leigh opuściła powoli wieko.

- Jaki kocyk? - zapytała ogłuszona.

- Ten, w którym wydano cię przybranym rodzicom ze szpitala. W który byłaś owinięta, zanim... zrzekłam się ciebie, podpisując dokumenty adopcyjne. - Janet opuściła głowę i wyciągnęła z torebki kolejną chusteczkę higieniczną.

Leigh nie mogła oderwać oczu od kobiety siedzącej na łóżku jej rodziców. Co tu się wyprawia? Czuła się jak w letargu.

- Jak wyglądał ten kocyk?

Janet wepchnęła chusteczkę do kieszeni sukienki i uśmiechnęła się. Był to rozmarzony uśmiech kogoś, kto wspomina minioną epokę.

- Był bladobłękitny z żółtymi kacuzkami podążającymi za mamą kaczką. - Zmarszczyła czoło. - Ta mama kaczką też była żółta, a może brązowa? No bo chyba powinna być brązowa.

Leigh kiwała potakująco głową. Czuła coraz silniejsze dławienie w gardle.

- I zachowała pani kawałek? Janet spojrzała na nią z góry.

- Jaki kawałek?

- Róg. Kocyk nie miał jednego rogu i Ellen mówiła mi zawsze, że obcięła go sobie na pamiątkę moja biologiczna matka.

Janet zakryła rękami twarz. Leigh czekała cierpliwie.

- Został w domu - padła stłumiona odpowiedź. - Chyba w głębi duszy obawiałam się, że prawdopodobnie znowu doznam rozczarowania.

- Chce go pani zobaczyć? - spytała Leigh, unosząc znowu wieko walizki.

- Tak.

Leigh wyciągnęła kocyk z dna.

- To ten! - krzyknęła Janet. - Twój kocyk z kaczuszkami. - I wybuchnęła płaczem.

Leigh odsunęła na bok walizkę i podpełzła na czworakach do łóżka. Podniosła się i otoczyła Janet Bradley ramionami.

Zamknęła za Janet drzwi i patrzyła, jak ta wsiada do samochodu i wyjeżdża tyłem z podjazdu. Potem odwróciła się i oparła o framugę. Wypuściła powietrze z płuc, odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Czuła się wykończona. Skonana, jak powiedziałyby mama.

Mama. Brakowało jej matki. Tęskniła za nią. Tylko matka zrozumiałaby jej obecne rozdarcie, ten natłok zalewających ją teraz emocji.

Chociaż było jeszcze stosunkowo jasno, zapaliła światło na werandzie. Nagle wydało jej się, że musi koniecznie dać znać światu i ludziom, że w Wichrowym Dworku ktoś jest. Dom... Zaczęła snuć się bez celu po pokojach na parterze niemal tak samo, jak zaraz po przyjeździe. Tydzień temu. Aż trudno uwierzyć, że przez te siedem dni tyle się wydarzyło.

Przegadały z Janet cały dzień, wypiły dwa dzbanki kawy, potem zjadły na spółkę zamówioną w wiosce pizzę. Zaproponowała Janet, żeby została na noc, ale ta uparła się, że wróci do motelu do Matteras i da Leigh więcej czasu na „oswojenie się z sytuacją”.

Leigh pogasiła światła na parterze, wyszła na taras i usiadła tam w ciemnościach. Z kieliszkiem wina w ręku zaczęła dumać nad przebiegiem tego popołudnia.

Janet, rozkręciwszy się, zgubiła gdzieś swój drażniący, manieryczny sposób bycia. Mówiła ze swadą i interesująco, może tylko z niewielką tendencją do dygresji. Ze szczególnym ożywieniem

opowiadała o ciąży - pierwszej i ostatniej w życiu, wyznała - i powodach, dla których oddała Leigh do adopcji. Randallów nie znała osobiście. Zobaczyła ich tylko na fotografii i spodobali jej się.

Leigh huczało w głowie od nowych nazwisk i rodzinnych koneksji. Kończąc drugi kawałek pizzy, była już całkowicie zobojętniała, niezdolna do przyswojenia sobie żadnej dalszej informacji. Na odchodnym Janet wymogła na niej obietnicę, że wcześniej położy się spać. Leigh przyrzekła jej to, chociaż z góry wiedziała, że nie dotrzyma słowa.

Dopiła wino. Szkoda, że nie ma tu Spencera. Pomógłby jej może dojść z sobą do ładu po spotkaniu z biologiczną matką. Albo jeszcze bardziej wytrącił z równowagi? Ciekawe, jaka będzie jego pierwsza reakcja, kiedy mu o tym opowie. Pewnie sceptyczna, tak jak jej.

Nie, pomyślała, po raz któryś z rzędu analizując w pamięci przebieg wizyty. Janet mogła się dowiedzieć z dokumentów albo od ludzi o wszystkim, ale nie o kocyku. No bo kto mógł o nim wiedzieć? Tylko rodzice i Jen. Spencerowi nigdy o nim nie wspominała. W rozmowach młodej dziewczyny z chłopcem nie porusza się raczej tematu niemowlęcych kocyków.

Wprost przeciwnie - temat dzieci jest tabu. Sama myśl o nich wzbudzała w niej wtedy zimny dreszcz paniki. Uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszego z trzech zbliżeń, do jakich doszło przed laty między nią a Spencerem. Sprowadzało się ono w zasadzie do niezdarnej kotłowania na tylnej kanapie buicka Pete'a Randalla. Była wiosna. Ona chodziła do ostatniej klasy szkoły średniej, Spencer

rozpoczął właśnie dziewiętnasty rok życia. Potem przez kilka tygodni, dopóki nie okazało się, że Leigh nie jest jednak w ciąży, żyli nerwami. Wspominając teraz tamten okres, dziwiła się, że po takim stresie miała odwagę zaryzykować jeszcze dwa razy. Ale Spencer zawsze miał na nią magiczny wpływ. Wystarczyło, że się uśmiechnął, a puszczały wszelkie hamulce.

Leigh wstała. Pora spać, a przynajmniej spróbować zasnąć. Zamknęła drzwi prowadzące na taras i posprzątała po kolacji. Potem przeszła do salonu i zgasiła lampę. Okno widokowe upstrzone było ćmami, których nie zniechęcał fakt, że w pokoju nagle zgasło światło. Postukała w szybę, żeby je spłoszyć.

- Przenieście się na werandę, koleżanki. Tam się jeszcze świeci.

Gdy wychodziła na korytarz, nagle ktoś zapukał do drzwi.

Spencer? Serce zabiło jej żywiej. Podbiegła, żeby otworzyć.

- Jamie?

- Tak. Przepraszam, że tak późno i w ogóle. Zobaczyłem światło i pomyślałem sobie, że wpadnę. Wszystko w porządku. Widzę, że się przestraszyłaś.

- Nie zaprzeczę. Wejdz. - Wpuściła chłopca do holu. - Tata nie wrócił jeszcze z Raleigh?

- Nie.

Jamie był w bawełnianej koszulce w paski wypuszczonej na dżinsy. Chociaż noc była parna, pocierał sobie dłońmi przedramiona, jakby zmarzł. Włosy miał mokre od potu. Rozejrzał się błędnym wzrokiem po holu.

- Dobrze się czujesz? - spytała Leigh.

Kiwnął tylko głową. Zamknęła drzwi i zgasiła światło na werandzie. Zaległa cisza, którą mącił jedynie nierówny oddech chłopca i gęsty grad pacnięć, z jakimi nocne insekty uderzały o siatkę w drzwiach.

- Głodny? Zostało mi trochę pizzy.

Znowu kiwnięcie głową. Leigh, skinąwszy na Jamie-go, weszła do kuchni. Kiedy wreszcie skończy się ten szczególny dzień?

- Coli?

- Poproszę.

O, lepsze maniery. Dobry znak.

- Podgrzać ci tę pizzę?

- Wolę zimną.

- Ja też. Zresztą leży tu już jakiś czas, a gorąco dzisiaj jak w kuchence mikrofalowej.

- Pizza z mikrofali jest do kitu.

- Fakt! Najlepsza jest prosto z lodówki, z serem twardym i sprężystym jak guma.

Jamie uśmiechnął się. Wybrał to samo krzesło, na którym niedawno siedziała Janet, i otworzył puszkę z colą. Pił tak długo, iż Leigh zaczynała już podejrzewać, że nigdy nie skończy.

- Ćwiczyłeś? - spytała, wskazując na jego przepoconą koszulkę.

Spuścił głowę i wbił wzrok w puszkę. Leigh przemknęło przez myśl, że powiedziała coś nie tak. Przerzuciła resztę pizzy na talerz i postawiła go przed chłopcem na stole. Zegnaj, moje śniadanko.

Podniósł na nią wzrok.

- A ty nie jesz?

Machnęła tylko ręką. Jamie pochłonął jeden kawałek pizzy, zaczerpnął tchu, pociągnął kolejny sążnisty łyk coli, i wreszcie zaczął przypominać sobie. Ach, mieć tak znowu czternaście lat, pomyślała Leigh.

- Dobrze - wymamrotał pomiędzy jednym a drugim kęsem. - Niezła ta pizza jak na naszą pocziwą, zapyziała Ocracoke.

- I to z dostawą do domu.

Jamie kiwnął poważnie głową. Chyba nie wychwycił w jej komentarzu ironii.

- Zostałem na lodzie - wyrzucił z siebie.

Leigh zamrugła powiekami.

- Na lodzie? Jamie skrzywił się.

- Tata kazał mi dzisiaj rano zabrać klucz, kiedy będę wychodził do dziadka posiedzieć przy nim do przyjazdu karetki, ale zapomniałem. Jak przyjechała karetka, zrobił się straszny kocioł. Dziadek nie chciał jechać... Znasz dziadka.

- Uhm. - Leigh pokiwała głową. Jamie wzruszył ramionami.

- No i zapomniałem powiedzieć tacie, że nie mam klucza. Tata zamknął dom dziadka i pojechał za karetką razem ze swoim kluczem.

- I nie możesz się dostać nawet do domu Sama. Pokiwał głową.

- A koledzy?

- Odpada - mruknął po chwili milczenia.

- No nic, znajdzie się tu jakiś kąt.

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu - mruknął.

- Jaki tam kłopot.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem i z mniejszym już animuszem zabrał się do pizzy. W końcu zostawił jeden kawałek na talerzu. - Zmęczony jestem - westchnął.

- Ja też. Prześpisz się w łóżku na górze czy na kanapie tutaj?
Zmarszczył czoło.

- Może być kanapa. Będziesz miała ze mną mniej zachodu.

- Świetnie. Wchodź pierwszy pod prysznic.

Nie jest zbyt rozmowny, pomyślała, prowadząc go do łazienki na piętrze. Zwłaszcza w porównaniu z Janet, której buzia się nie zamykała.

Dała mu ręczniki, wróciła na dół i posłała kanapę. Potem zamknęła drzwi wejściowe, po raz drugi posprzątała w kuchni i weszła na górę. Wpadli na siebie na podeście schodów.

Jamie był jeszcze mokry i rozplątywał się w przeprosinach, że tak niespodziewanie zwałił się jej na głowę. Zbiegł po schodach na dół, biorąc po dwa stopnie naraz. Leigh, kręcąc głową, weszła do łazienki i zakłęła pod nosem. Na posadzce leżały ręczniki i otwarta butelka szamponu. W wannie stała woda, bo strącony z półki korek zatkał odpływ.

Kiedy schyliła się, by posprzątać, przyszło jej do głowy, że Jen robi to od czternastu lat. Była taka młoda, kiedy urodził się Jamie. Nie było jej łatwo, nawet ze Spencerem.

A co powiedzieć o Janet zmuszonej oddać swoje dziecko w kilka dni po narodzinach? Leigh wzdrygnęła się. Doświadczenia obu tych kobiet były różne, ale obie w młodym wieku otrzymały wyzywający cios od życia. Czy na ich miejscu dałaby sobie radę? Co by było, gdybyśmy Spencer i ja...?

Nie ma co gdybać, ofuknęła się. Zgasiła światło w łazience i zostawiła jedno zapalone w holu, tak jak obiecała Jamiemu. Była zbyt zmęczona, by czytać. Wpełzła do łóżka i zgasiła lampę. Jakie to przecucie naszło ją dzisiaj rano?

Ach tak. Że ten dzień będzie inny aniżeli wszystkie dotychczasowe od jej powrotu na wyspę. Nie da się ukryć, że taki był, pomyślała i zaraz potem zasnęła.

Telefon...

Nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę i namacała telefon komórkowy, leżący na nocnym stoliku. Jakie to szczęście, że zabrała go wczoraj na górę.

- Leigh? Przepraszam, że cię budzę. Spencer z tej strony.

Mówił urywanymi zdaniami, był jakiś podminowany.

- To chyba głupie pytanie - podjął, zanim zdążyła cokolwiek wybąkać - ale nie wiesz przypadkiem, co z Ja-miem?

Leigh poruszyła kilka razy szczęką, żeby rozruszać sklezione usta, i uniosła się na łokciu.

- Spencer, przepraszam. Jeszcze się nie obudziłam. Jamie jest u mnie.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie.

- Uff, co za ulga! - rozległo się po chwili. - Jezu, ja uduszę tego chłopaka.

- Nie miał klucza.

- Zapomniał klucza. I głowy by zapomniał, gdyby z upodobaniem nie podziwiał w lustrze swojej fizjonomii.

- Przyszedł wczoraj wieczorem około dziewiątej - wyjaśniła Leigh. - Wyglądał na porządnie wystraszonego. Ta przygoda była chyba dla niego dostateczną karą.

- Hm! - parsknął Spencer. - Ciekawe, jak długo będzie pamiętał tę nauzkę. W każdym razie dziękuję ci, że go przenocowałeś. Od godziny go szukam. Coś mnie w końcu tknęło, że jest u ciebie.

- Spencer...

- Zresztą... - zaczął równocześnie z nią.

- Mów, mów - zachęciła go.

- Zresztą, i tak miałem do ciebie dzwonić. No, żeby... spytać, co słychać. Powiedzieć ci, co z Samem.

- Jak on się czuje?

- Dobrze. Zrzędzi, jak zwykle. Twierdzi, że już nic mu nie jest i żąda, żeby puścili go do domu. Ale lekarze chcą mu zrobić trochę badań i ustawić na nowo leki. Wróci za kilka dni.

- Przynajmniej przytrzymają go tam w łóżku.

- To samo powiedziałem. - Urwał. - Wzywają mnie dzisiaj po południu do Charlotte w sprawie Jamiego. Wynikła pewna sprawa.

Nie wiedziała, co oznacza wahanie w jego głosie. Może nie chce o tym rozmawiać?

- Mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Nie. Trzymaj tylko kciuki. Widzisz, chłopcu nic jeszcze o tym nie mówiłem, ale... wygląda na to, że nowy mąż Jen zadeklarował wolę legalnego przysposobienia Jamiego.

- Co? Ma do tego prawo?

- Nie wiem. Mój prawnik twierdzi, że tylko w przypadku, gdyby uznano, że ja nie wywiązuję się należycie z obowiązków ojca. Mąż Jen - Rob ma na imię - umyślił sobie pewnie, że jeśli przysposobi Jamiego, to kiedy na świat przyjdzie jego dziecko, staną się jedną wielką, szczęśliwą rodziną.

- To bez sensu!

- To samo myślę. No bo czy jemu i Jen nie przyszło dotąd do głowy, że Jamie sprawia im tyle kłopotu, bo nie jest z nimi szczęśliwy?

Leigh odsunęła słuchawkę od ucha. Wzburzony Spencer podniósł o kilka tonów głos.

- Tak czy inaczej, dziś po południu mam spotkanie z sędzią, a on chyba będzie chciał w końcu porozmawiać również z Jamiem.

- Biedne dziecko - westchnęła.

- Tak, jakby nie dość mu było stresów. Posłuchaj, ani słowa o tym. Wracam wieczorem. Czy zechciałabyś...

- Chętnie się nim zajmę.

- Właściwie to nie potrzeba mu specjalnej opieki, ale skoro został bez dachu nad głową i pieniędzy...

- Jedzenia mam w bród.

Spencer roześmiał się, ale usłyszała w jego głosie ulgę.

- Nie znasz możliwości dorastającego młodzieńca. -Zawiesił na chwilę głos, a potem dorzucił: - Nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę, Leigh.

- Ja też - mruknęła. - Może kolacją?

- Dobrze. Dziś wieczorem?

Leigh roześmiała się.

- Żartowałam sobie, Spencer. Dostyc masz chyba teraz na głowie.

Poza tym nie wiadomo, kiedy wrócisz. Przy okazji.

- Skoro tak mówisz...

- No to do zobaczenia.

- Tak, do zobaczenia. Dzięki.

Leigh odłożyła telefon na stolik. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie wspomniała mu słowem, co ją dzisiaj spotkało. Mniejsza z tym, przyjdzie jeszcze na to pora.

Jamie wychodził z siebie, żeby odwdzięczyć się jakoś za gościnę. Po najobfitszym śniadaniu, jakie Leigh kiedykolwiek przyrządzała - nie zdawała sobie dotąd sprawy, że ktoś może tyle zjeść - resztę poranka sprzątał z nią strych i pomagał porządkować pudła z rzeczami, których Leigh nie miała serca wyrzucić.

- Wygląda na to, że będę jednak musiała zlecić przetransportowanie tego wszystkiego do Nowego Jorku jakiejś dużej firmie przewozowej. Sęk w tym, że...

- Nie wiesz, gdzie to tam upchasz?

- Właśnie!

Jamie cofnął się i objął wzrokiem stos kartonów.

- Szkoda, że nie możesz zostawić wszystkiego tutaj. No wiesz, zatrzymać dom i przyjeżdżać tu na lato. Miałabyś kłopot z głową.

- Dobrze by było - powiedziała. - Problem w tym, że nie mogę należycie dbać o ten dom, mieszkając w Nowym Jorku. Za dużo przy nim pracy i za drogo to kosztuje.

- Ja bym mógł się nim zająć! Poważnie, Leigh, tato namawia mnie, żebym podjął jakąś pracę, a to by było w sam raz dla mnie.

Leigh uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci za dobre chęci, Jamie, ale chyba nie dałbyś rady. Przecież we wrześniu zaczyna się szkoła.

Skrzywił się.

- Nie cierpię szkoły. Tak się cieszę, że wreszcie zaczęły się wakacje.

Coś w jego głosie kazało jej przełknąć banalny frazes, który miała już na końcu języka.

- Mam pomysł - powiedziała. - Może byśmy tak wzięli sobie coś do jedzenia i wybrali się na moczary, gdzie żyją dzikie kuce? Tyle lat ich nie widziałam. Od powrotu nie byłam jeszcze po tamtej stronie wyspy. No, co ty na to?

Dostrzegła iskierki podniecenia w jego zielonych oczach.

- Dobrze!

- I Leigh znalazła dziurę w ogrodzeniu i podeszliśmy bliżej.

Spencer rzucił jej rozbawione spojrzenie. Leigh? Jamie tymczasem paplał dalej:

- Widzieliśmy z dziesięć klaczy i ogierów, i dwa źrebięta. Chodziły sobie i skubały tę dziką trawę. Dwa wbiegły do morza, pewnie żeby się ochłodzić. Były takie... takie...

- Fajne? - podsunął Spencer.

- Nie, co tam fajne; piękne.

Spencer odstawił piwo na stolik w patio.

- Kiedy byłem w twoim wieku, biegały jeszcze wolno, ale potem ukończono szosę i zaczęły wpadać pod samochody i ciężarówki. Do tego na wyspę zwała się chmara turystów.

Jamie skinął głową.

- Wiem, Leigh mi opowiadała. Niby głupio tak je trzymać za ogrodzeniem, ale na siedemdziesięciu hektarach nie jest im chyba za ciasno. W każdym razie... - dopił resztę wody sodowej - było super. Prawda, Leigh? - Uśmiechnął się nad stołem do siedzącej obok Spencera Leigh.

Spencerowi podobał się entuzjizm Jamiego. Była to pierwsza szczerza emocja - nie licząc złości - jaką od miesięcy u niego zaobserwował.

Rzucił zmiętą serwetkę na pusty talerz. Wrócił tuż przed kolacją z hamburgerami i frytkami, i zastał Jamiego i Leigh odpoczywających po popołudniowej włóczędze po moczarach i lasach nad cieśniną Pamlico.

Leigh spojrzała na niego z uśmiechem. Nie słyszała jeszcze, żeby Jamie tyle mówił. Przez większość wycieczki był taki milczący,

że oglądała się co chwila, by sprawdzić, czy wciąż za nią idzie. Kiedy go jednak spytała, czy chce wracać do domu, stanowczo zaprzeczył.

Jamie wstał, podziękował jej za wspaniały dzień i nocleg, a potem wyciągnął rękę, którą mocno uścisnęła. Wybierał się z kolegą do kina w Hatteras; uprzedził Spencera, że spędzi u tego kolegi noc. Ciekawe, gdzie był ten kolega zeszłej nocy, pomyślała Leigh, lecz nie odezwała się słowem. Kiedy zostali sami, podniosła się, by posprzątać po kolacji.

Ale Spencer chwycił ją za rękę.

- Siadaj - powiedział łagodnie, a gdy posłuchała, podjął: - Zrobiłaś na nim niewąskie wrażenie. Nie widziałem go takim od... Przykro to mówić, ale od lat.

- Tylko dlatego, że jestem w tym układzie stroną neutralną. No wiesz, nie związaną z rodzinnymi sprawami i...

- Problemami? - dokończył z goryczą.

- Nie to miałam na myśli, Spencer. Jestem kimś nowym i wprowadzam w jego życie jakieś urozmaicenie. Jego stosunek do mnie po dłuższej znajomości mógłby ulec zmianie.

Spencer przeczesał palcami włosy.

- Tak, masz rację. Może zazdrość przeze mnie przemawia. W każdym razie to jest właśnie Jamie, jakim go chciałem widzieć, od kiedy ze mną zamieszkał.

- Pamiętaj, że jest teraz w trudnym wieku. Prawdopodobnie byłby mniej więcej taki sam, nawet gdybyście mieszkali osobno.

Spencer machnął niecierpliwie ręką.

- Wiem, wiem. Wmawiam to sobie od miesięcy. Gorsza sprawa z tym przysposobieniem.

- Boisz się?

- Cholernie. Za wielu bliskich już w życiu straciłem. - Patrzył na podwórko. - Najpierw mamę, kiedy miałem dziesięć lat...

- Nie znałam jej.

- Nie. Dostyc miała opilstwa ojca i odeszła. Szkoda, że mnie nie zabrała. - Przekrzywił głowę i spojrzał z bladym uśmiechem na Leigh. - Ale wtedy nie poznałbym ciebie.

Zapadło długie milczenie, które Leigh rozpaczliwie pragnęła czymś wypełnić, ale nie znajdowała słów. Nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, zgarnęła ze stołu kilka okruszków.

- Potem straciłem ciebie - podjął w końcu - a kilka lat później syna.

- I Jen - wtrąciła.

- Nie. Jen nigdy nie była mi bliska. Po para miesiącach małżeństwa nie potrafiłem dłużej udawać. Gnębiło mnie to. Staralem się... jej tego nie okazywać, ale - roześmiał się cynicznie - odpłaciła mi z nawiązką. Chyba jesteśmy teraz kwita.

- Nie da się naprawić błędów przeszłości - wyszeptała Leigh, nie podnosząc wzroku.

- Nie. I teraz nawet nie zamierzam próbować. Teraz... mam nadzieję zacząć coś od nowa. - Ujął Leigh pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała. - Przez całą drogę do Raleigh, a potem do Charlotte, myślałem tylko o tobie. Chciałem ci powiedzieć... Może nie potrafię

tego w pełni okazać, ale... ale moje uczucie do ciebie... nic się nie zmieniło. I bardzo chciałbym wiedzieć, co myślisz o tym wszystkim.

- Sama nie wiem, Spencer. - Urwała, widząc rozczarowanie malujące się na jego twarzy. Wyraźnie oczekiwał czegoś więcej. - Za dużo się ostatnio dzieje i za szybko. Trudno za tym wszystkim nadążyć, a tym bardziej to ogarnąć.

- Nigdy nie przestałem cię kochać, Leigh. Nawet nie wiesz, co czułem, wracając na wyspę tamtego wieczoru, kiedy widziałas mnie pod twoją stacją. Byłem przekonany, że nie mam po co żyć. Że nie spełni się to, o czym marzyłem przez dwa lata naszej znajomości.

Krew napłynęła Leigh do twarzy. Splotła z całych sił dłonie pod stolikiem. Spencer wstał, podniósł ją z krzesła, objął i wymruczał do ucha:

- Odmieńmy nasze życie. Teraz. - Otarł się policzkiem o jej włosy, wdychając woń soli morskiej i jaśminowego szamponu, a potem spojrzał jej w oczy.

Leigh ujęła w dłonie jego twarz.

- Tysiące razy torturowałam się tą fantazją - szepnęła i ich usta złączyły się w długim pocałunku.

Późno w noc, kiedy odpoczywali po którymś z kolei zbliżeniu, opowiedziała Spencerowi o niespodziewanej wizycie Janet Bradley.

Spencer leżał obok, wtulony w nią, oparty policzkiem o jej nagie ramię. Kiedy skończyła, odwrócił ją do siebie.

Twarz miała bladą w księżycowej poświacie sączącej się przez otwarte okno.

- Myślisz, że to naprawdę twoja matka? - spytał. Leigh westchnęła.

- Nie wiem, Spencer. Wie o mnie rzeczy, których inaczej wyjaśnić się nie da.

- Na przykład jakie?

- Po pierwsze, kocyk. Wie również sporo o rodzinie taty - że osiedlili się tutaj na początku dziewiętnastego wieku. Wiedziała, że rodzice mojej mamy pochodzili z kontynentu...

- A nie mogła się tego dowiedzieć od kogoś z miejscowych?

- Trudno powiedzieć. Nie potrafię tego wyjaśnić. Tak przekonująco opowiadała o adopcji...

- Może ma bujną wyobraźnię.

- Ale po co miałyby to wszystko zmyślać? Co by jej przyszło z podawania się za moją matkę? Przecież nie jestem bogata, ani nic z tych rzeczy.

- Masz ten dom.

- Domem wcale się nie interesowałam.

- Dlaczego skontaktowała się z tobą dopiero teraz? Jak to tłumaczyła?

- Powiedziała, że ten artykuł wzbudził w niej na nowo nadzieję, którą dawno utraciła. Dała za wygraną, kiedy nie dostała odpowiedzi na swój list.

- Jaki list?

- Napisała do Ośrodka Adopcyjnego tuż przed moimi czternastymi urodzinami, że chce nawiązać kontakt z moimi

przybranymi rodzicami, a Ośrodek Adopcyjny zwrócił się do rodziców z pytaniem, czy wyrażają na to zgodę. Znalazłam to pismo w sypialni mamy. Nie mówiłam ci?

- Nie.

- Gdyby Mary Ann o mnie nie napisała, Janet by się tu nie pojawiła.

- Masz rację. Ale nadal wydaje mi się to bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności. I właściwie nie masz żadnego dowodu.

- Dowodem jest to, co mi podpowiada serce, Spencer. Gdybyś widział wyraz jej twarzy, kiedy zobaczyła ten kocyk...

Spencer musnął ustami jej kark.

- Uhm - zamruczał. - Chciałbym zobaczyć wyraz twojej twarzy, kiedy zacznę robić to, co mi właśnie przyszło do głowy...

Połąskotał ją czubkami palców po szyi i zaczął sunąć nimi w dół. Śmiech Leigh przeszedł szybko w zdyszany szept rozkoszy.

- Pobudka!

Jęknęła i przekręciła się na plecy. Uchyliwszy jedną powiekę, ujrzała nad sobą twarz Spencera.

- Litości! - wymamrotała błagalnie. - Już nie mogę. Uśmiechnął się szeroko.

- Ja też. Nie mam już dziewiętnastu lat.

- Dzięki Bogu.

- Co to miało znaczyć? Leigh rzuciła w niego poduszką.

- Bo inaczej spędzilibyśmy tu cały dzień, a ja mam robotę.

Wyprostował się, zapiał dzinsy i schylił się po leżącą na podłodze koszulę.

- Nie da się ukryć? - Wskazał ruchem głowy na drzwi.

Leigh uniosła się na łokciach.

- O czym ty mówisz? Spencer zapinał już koszulę.

- Chyba twoja koleżanka dobija się do frontowych drzwi.

Zerknąłem zza firanki.

- Jaka koleżanka? - Leigh przesunęła językiem po spierzchniętych wargach.

Spencer podszedł do łóżka.

- Na pewno dobrze się czujesz? Co z tobą? Kaca chyba nie masz. Po dwóch piwach?

Usiadła na łóżku po turecku.

- Trzymaj. - Rzucił jej bluzkę. - Ubierz się, bo ta Janet jak-jej-tam prędzej drzwi ci rozwali, niż zrezygnuje i odejdzie.

- O, nie! - jęknęła Leigh. - Co ona tu robi o tej porze? Miała najpierw zadzwonić. - Włożyła bluzkę i zaczęła ją zapinać.

Spencer wciągał skarpetki.

- Widocznie stęskniła się za twoim widokiem. Jeśli mamy szczęście, to przyniosła z sobą śniadanie.

Leigh wstała z łóżka i podeszła na palcach do drzwi.

- Ona raczej nie z tych, co przynoszą śniadania.

- No nie, żeby tak budzić ludzi! - warknął Spencer. - To kto otwiera?

- Ja. Ciebie nie zna. - Leigh włożyła szlafrok i przewiązała się paskiem. - Zatrzymam ją przy drzwiach frontowych, a ty przemknij się do kuchni i nastaw wodę na kawę.

Spencer pokręcił głową.

- Aż wierzyć mi się nie chce. Nie masz już siedemnastu lat.

- I masz szczęście, że nie mam - odparowała, wychodząc na korytarz.

Rozczarowanie, które odmalowało się na twarzy kobiety, kiedy zobaczyła go za plecami Leigh, podziałało Spencerowi na nerwy. Jeśli chciała mieć Leigh tylko dla siebie, to powinna wcześniej zadzwonić, tak jak się umawiały. Ucisnął jednak wilgotną dłoń kobiety i czym prędzej cofnął rękę.

Leigh miała rację, pomyślał, nie dostrzegając w rękach gościa papierowej torby z paczkami na śniadanie. Za to na werandzie stała sfatygowana czarna walizka.

- Nastawię wodę na kawę - oznajmił, zwracając się do Leigh i unosząc pytająco brwi.

Zignorowała to. Kiedy wchodziły później do kuchni, on pił już swoją pierwszą tego dnia kawę.

Leigh sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Wyłamując sobie palce, wskazywała jednocześnie na krzesło.

- Wiesz co? - powiedziała nienaturalnie głośno. Spencer odstawił kubek i spojrzał na nią. Nie czekając na odpowiedź, Leigh ciągnęła:

- Janet może pomieszkać ze mną kilka dni. Może nawet tydzień.

Spencer spojrzał na Janet, która obdarzyła go przymilnym uśmiechem. Kiwnął bez słowa głową. Wolał się nie odzywać, bo nie był pewien, jak zabrzmiał jego głos. Oto waliły się w gruzy jego plany i ani trochę mu się to nie podobało.

Odsunął się z krzesłem od stołu i wstał.

- Pojadę po Jamiego. - Spojrzał znacząco na Leigh. Twarz miała nienaturalnie nieruchomą. - Zobaczymy się później? - spytał, ruszając do drzwi.

- Zaczekaj! Odprowadzę cię. - Dogoniła go przy drzwiach frontowych i chwyciła za rękę. - Spencer! Co cię ugryzło?

- Radzę ci uważać z tą niby-matką, Leigh. Co o niej wiesz?

- Proszę, zaufaj mi. Chodzi o to, że nie stać jej na dłuższy pobyt w motelu. Chciała wracać do domu, do Elizabeth City, a ja nie chcę,

żeby tak szybko wyjeżdżała. Zrozum, Spencer. Chcę ją lepiej poznać, zanim zniknie z mojego życia.

- Leigh, jeśli ona naprawdę jest twoją matką, to nie zniknie z twojego życia. Może dobrze by było, gdyby na jakiś czas wróciła do domu. Dała ci czas na...

- Na co?

Wzruszył ramionami.

- Przeprowadzenie jakiegoś wywiadu. Sprawdzenie, czy rzeczywiście jest osobą, za którą się podaje.

Leigh cofnęła się o krok.

- Ja chcę, żeby została. Chcę, żeby poznała bliżej ciebie i Jamiego. I Sama, kiedy wróci. Sprawdzić mogę ją później.

Spencer sięgnął do klamki.

- Ale uważaj, dobrze? Trochę dziwnie mi wygląda.

- Co masz na myśli?

- Nie jestem pewien. Ale źle jej z oczu patrzy. Leigh trąciła go w ramię.

- A myślałam, że to ja jestem grymaśna. Uśmiechnął się i przesunął palcem po brodzie.

- Powtarzam, uważaj. Zadzwoń później. - Pchnął drzwi i nie korzystając ze schodków, zeskoczył z werandy.

Janet Bradley, ściskając walizkę w rękę, stała niepewnie pośrodku sypialni.

- Tutaj?- zapytała.

- Jeśli ci się nie podoba...

- Ależ podoba. Czuję się zaszczycona, że oddajesz mi sypialnię rodziców.

Leigh uśmiechnęła się.

- Myślę, że oni też by tego chcieli. Rozpakuj się teraz, a ja wezmę prysznic. Potem wybierzemy się na wycieczkę po wyspie.

- Dobrze. Ale na pewno nie robię ci kłopotu, kochanie? No bo ten twój przyjaciel i w ogóle...

Leigh zatrzymała się w progu.

- Znamy się ze Spencerem nie od dziś. Janet wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Wiem, że to dla ciebie tak samo trudne jak dla mnie - dodała Leigh.

- Tak, masz rację. Bo widzisz, jestem bardzo nieśmiała. Rzadko ruszam się z domu. - Podeszła do Leigh i przyłożyła jej dłoń do policzka. - Taka jestem szczęśliwa, że wreszcie cię odnalazłam.

Leigh zamknęła za sobą drzwi sypialni i oparła się o nie. Przecież ja jej wcale nie znam, pomyślała, zachodząc w głowę, co, u licha, kazało jej zaprosić obcą osobę do domu. No nie, zupełnie obca to mi nie jest, a z czasem dowiem się o niej wszystkiego.

Do lunchu objechały całą, mierzącą sobie dwadzieścia kilometrów długości wyspę Ocracoke, zatrzymując się po drodze dwa razy - raz na mrożoną herbatę, i drugi, żeby obejrzeć z bliska latarnię morską, która tak zafascynowała Janet

- To najstarsza czynna latarnia morska w całej Karolinie Północnej - wyjaśniła z dumą Leigh. Nie wiedzieć czemu cieszyło ją, że Janet podoba się wyspa.

- Musiałś tu mieć wspaniałe dzieciństwo - powiedziała Janet, kiedy wysiadały z samochodu przed Wichrowym Dworkiem.

- Tak. To wymarzone miejsce dla dzieci. Mieliśmy tu tyle swobody, co te dzikie kuce.

- A więc słusznie postąpiłam.

Leigh zerknęła na nią spod oka. Janet bawiła się zatrzaskiem torebki. Podniosła na Leigh zażawione oczy.

- Oddając cię - dorzuciła. - W Elizabeth City nie mogłabym ci zapewnić takiego dzieciństwa.

Ona jest moją matką, pomyślała Leigh. Na pewno.

- Sam wraca do domu za dwa dni - oznajmił Spencer, ledwie Leigh zdążyła unieść słuchawkę do ucha.

- Jak się czuje? Długa pauza.

- Nie za bardzo, ale właściwie wszystko w porządku. Lekarz powiedział, że w jego wieku mogą mu tylko regulować leki, jakie zażywa. Musi dużo wypoczywać, i tak dalej.

- A więc nie może mieszkać sam. Spencer westchnął ciężko.

- Tak, wiem. Cały ranek o tym myślę i planuję, ale wszystko to na nic, jeśli ten stary uparciuch się zaprze.

- Będziesz go musiał jakoś przekonać.

- Aha. Łatwo powiedzieć.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Dzięki za dobre chęci, ale niewiele. Mam nadzieję, że Jamie zgodzi się pomieszkać u Sama przez lato - to znaczy, jeśli Sam nie będzie się chciał teraz przeprowadzić do mnie. Z nadejściem jesieni prędzej przemówię mu do rozsądku.

- A może bym u niego posprzątała? Zanim wróci.

- Dobry pomysł. Ja też na to wpadłem. Tylko że najbliższe dwa dni mam zajęte od rana do wieczora i miałem zamiar zlecić to zadanie Jamiemu.

- Wątpię, czy jest lepszym gospodarzem od Sama. Spencer roześmiał się.

- No i co...? - Zawiesił na chwilę głos, zmieniając temat. - Ona jeszcze tam jest?

Leigh spojrzała na Janet bujającą się na werandzie w wiklinowym fotelu.

- Tak.

- Jak myślisz, do kiedy?

- Nie wiem. Co najmniej do końca tygodnia. Odniosła wrażenie, że po drugiej stronie linii padło stłumione przekleństwo.

- Czyli do końca twojego urlopu?

- Byłabym zapomniała. Dziś rano dzwoniłam do szefa. Dał mi jeszcze kilka dni.

- Wspaniale. To załatwia... wszystko. Odkładając słuchawkę, Leigh zastanawiała się, co miał na myśli. Chociaż wydawało jej się, że wie.

Przy kolacji dowiedziała się sporo o swej biologicznej matce. Butelka wina, którą na spółkę opróżniły, rozwiązała Janet język.

Kiedy Leigh powróciła na taras z kawą, Janet powiedziała:

- Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa. Od lat tak dobrze się nie czułam.

Leigh pogłaskała ją po dłoni.

- A czy wiesz, skąd wzięło się twoje imię? - spytała Janet.

Leigh poprawiła się w fotelu. Wiedziała, ale nie wspomniała o tym dotąd Janet.

- No, słucham? Janet uśmiechnęła się.

- To jakiś test?

- Powiedzmy - mruknęła Leigh.

- W młodości moim ulubionym filmem było „Przeminęło z wiatrem”.

Leigh wstrzymała oddech. Wiedziała, do czego Janet zmierza.

- A moją ulubioną aktorką Vivien Leigh z tego filmu - ciągnęła Janet. - Po urodzeniu byłaś taka śliczna z tymi czarnymi włoskami i ślepkami, że nazwałam cię Leigh.

- I co dalej? - wykrztusiła Leigh.

Przez usta Janet przemknął przelotny uśmiezek.

- Żeby mieć pewność, że Randallowie będą wiedzieli, jakie imię dla ciebie wybrałam, napisałam je na karteczce, którą przypięłam do twoich śpioszków.

Leigh wypuściła powietrze z płuc. Ellen opowiadała jej o karteczce z imieniem „Leigh” przypiętej do śpioszków. Opowieść

Janet przeważała szalę. Leigh dłuższą chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Pamiętasz, jak wyglądały te śpioszki? - wykrztusiła w końcu.

Janet pobladła.

- Masz je jeszcze?

- Mama je zachowała.

- Ellen?

- Tak. Moja mama. Janet spuściła wzrok.

- Mam nadzieję, że przyjdzie taki czas... Nie, chyba za wcześnie o tym mówić.

Żebyś wiedziała. Zaległo napięte milczenie, które w końcu pierwsza przerwała Leigh, dochodząc do wniosku, że Janet mówi to, co jej leży na sercu.

- Chcesz zobaczyć te śpioszki? - spytała.

- Może innym razem, kochanie. Jestem bardzo zmęczona. To był długi, pełen wrażeń dzień. Krzyż mi dokucza. Stara pamiątka po ciąży. - Janet wstała i zaczęła zbierać talerzyki ze stolika.

- Zostaw. Idź się położyć. Na zmywanie będzie mnóstwo czasu jutro.

- Tak, czasu mamy mnóstwo, prawda? A zatem, dobranoc. - Zawahała się. - Czy wiesz, że sama zrobiłam te śpioszki na drutach? Kupiłam za zaoszczędzone pieniądze motek wełny i robiłam je pod osłoną ciemności, w tajemnicy przed rodzicami. Byli tacy surowi - wyjaśniła, wzdychając. - Robiłam je dla ciebie z wielkiej miłości, Leigh. - Z tymi słowami odwróciła się i weszła do domu.

Leigh siedziała nieruchomo tak długo, że ścierpły jej nogi. Kiedy z zadumy wyrwało ją walenie do drzwi, ledwie do nich dokuśtykała.

Na frontowej werandzie stał z ponurą miną Spencer.

- Sam? - spytała, podrywając rękę do ust.

- Nie. - Zachęcony zapraszającym gestem Leigh wszedł do środka. - Jamie. Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest?

- Nie widziałam go od wczoraj. Co się stało? Spencer zaklął.

- Kiedy półtorej godziny temu wróciłem z morza, przed domem czekał na mnie szeryf. - Odetchnął głęboko, żeby się trochę uspokoić i widząc zaniepokojone spojrzenie Leigh, pokręcił głową. - Nie, żaden wypadek ani nic w tym rodzaju. Wszystko wskazuje na to, że dziś wieczorem ktoś celowo podpalił tę starą chatę na skraju wioski, wiesz, niedaleko stajni przy Pond Road.

- Chyba nie podejrzewają...

- Właśnie że podejrzewają. - Spuścił głowę i bawił się przez chwilę kluczykami do samochodu. Potem podniósł na nią wzrok i wyrzucił z siebie: - Jeśli mam być szczery, to ja też.

Leigh chciała zaoponować, lecz uciszył ją podniesieniem ręki.

- Cholera, wszystkie poszlaki wskazują na Jamiego.

Przedwczoraj wieczorem właściciel chaty zauważył dwóch chłopców, którzy z niej wybiegali. Zachowywali się podejrzanie, puścił się więc za nimi w pogoń, ale mu uciekli. Jednym z tych chłopców był Jamie, drugim jego kolega Shane. Po powrocie do chaty facet znalazł tam pudełko zapalek.

- Może palili papierosy? No wiesz, jak to chłopcy. Spojrzenie, jakim obrzucił ją Spencer, sprawiło, że natychmiast zawstydzila się swej naiwności.

- Papierosy mogli palić wszędzie, Leigh. Dlaczego mieliby to robić akurat w chacie na odludziu? Zresztą, gość znalazł tam jeszcze pojemnik z benzyną do zapalniczek i trochę starych szmat.

Najwyraźniej przyszli podłożyć ogień.

- Ale po co mieliby to robić?

- Dla draki! Kto ich tam, u diabła, wie? Jestem tak wściekły na tego szczeniaka, że...

- Zaraz, Spencer, przecież Jamie spędził tamtą noc u mnie.

Przyszedł wieczorem i powiedział, że nie ma klucza od domu. Spał na kanapie!

- Tak właśnie powiedziałem. Ale szeryf twierdzi, że całe zdarzenie miało miejsce wcześniej, około ósmej piętnaście wieczorem. O której Jamie zjawił się u ciebie?

Leigh wróciła pamięcią do poniedziałkowego wieczoru. Janet wyszła o zmierzchu, czyli około godziny dziewiętej.

- Nie jestem pewna. O dziewiętej, może parę minut po. Ale zachowywał się zupełnie normalnie. Gdyby się dopuścił czegoś podejrzanego, byłoby coś po nim widać.

Spencer wyraził swój sceptycyzm wzruszeniem ramion.

- Może tak, może nie.

I nagle Leigh stanął przed oczami Jamie taki, jakim go zobaczyła po otwarciu drzwi: zlany potem, w przepoconej koszulce.

Najwyraźniej biegł. Postanowiła zachować to na razie dla siebie.

- Co zamierzasz?

- Obiecałem szeryfowi, że przyprowadzę Jamiego na posterunek, jak tylko go znajdę. Rzecz w tym, Leigh, że ten dzisiejszy pożar mógł się przenieść na stajnie. Przecież właściciel chaty mógł nie zareagować w porę. Albo doznać jakichś obrażeń podczas próby gaszenia. Facet walczył już z ogniem, kiedy przyjechała ochotnicza straż pożarna. Boże, aż strach pomyśleć, co by to było!

- Może wejdiesz na chwilę? Wypijemy kawę, a potem razem poszukamy Jamiego. Może znajdziemy go w chacie Sama?

- Jest zamknięta, ale można tam się bez trudu włamać. To dobra myśl. Ale za kawę dziękuję, Leigh. Jadę tam od razu.

- Jadę z tobą.

- A co z... no wiesz?

- Z Janet? Śpi.

- A nie przestraszy się, jeśli się obudzi i stwierdzi, że cię nie ma?

- Przecież niedługo wrócę. Zostawię jej karteczkę w kuchni.

Zaczekaj moment.

Ledwie Leigh zniknęła w ciemnościach w głębi domu, dało się słyszeć skrzypnięcie deski podłogowej na górze. Spencer wstrzymał oddech. Po chwili wyłowił uchem cichutkie stuknięcie zamykanych drzwi. Czyżby Janet podsłuchiwała ich z podestu? Ale dlaczego nie zawołała, nie zeszła sprawdzić, skąd to całe zamieszanie?

Zaklął pod nosem. Jakże żałował, że nie może cofnąć wskazówek zegara i przeżyć jeszcze raz wczorajszej nocy. Nie miał wtedy zgryzoty z Jamiem i nie było żadnej Janet.

Pędzili z taką szybkością, że Leigh, dziękując w duchu wynalazcy pasów bezpieczeństwa, na wszelki wypadek trzymała się jeszcze kurczowo klamki. Zerknęła na profil Spencera, podświetlany poświatą padającą od deski rozdzielczej. Twarz miał zaciętą i zdecydowaną. Nie chciałyby być teraz w skórze Jamiego.

Spencer odezwał się dopiero wtedy, gdy skręcili w piaszczystą dróżkę prowadzącą do domu Sama.

- Ty idź do chaty, a ja rozejrzę się po plaży i sprawdzę na wydmach.

Powiedział to rozkazującym tonem, wciskając jej klucz w dłoń. Leigh przemknęło przez myśl, że gdyby nie powaga sytuacji, chyba by zasalutowała. Wyskoczyła posłusznie z kabiny pikapu i pobiegła w stronę chaty. Weszła ostrożnie po niewidocznych w ciemności schodkach na werandę i tam potknęła się o konewkę, która przewróciła się ze stukotem i spadła na piasek. Leigh namacała barierkę i sunąc dłonią po poręczy, noga za nogą dotarła do drzwi. Usiłowała właśnie zlokalizować dziurkę od klucza, kiedy usłyszała za sobą jakiś szmer.

Zamarła.

- Leigh? To ty?

Odwróciła się na pięcie. W mroku majaczyła sylwetka chłopca.

- Aleś mnie przestraszył, Jamie. Wszystko u ciebie w porządku?

Odpowiedział jej jakiś bliżej nieokreślony, stłumiony dźwięk, ni to szloch, ni śmiech.

Natrafiała wreszcie na dziurkę, przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi.

- Wejdźmy, Jamie. Ojciec zaraz tu będzie i... musimy pogadać. Chłopiec ani drgnął.

- Ja tego nie zrobiłem - wyszeptał.

- Wiem, że nie - zapewniła go.

- On mi nie uwierzy.

Gorycz w jego głosie kazała jej działać z rozwagą.

- Może spróbujesz go przekonać?

Jamie milczał. Oddychał szybko, urywanie. W końcu ruszył z miejsca i zbliżył się do niej. Wzięła go za rękę i wprowadziła do środka. Zapaliła światło i jej oczom ukazała się zapłakana twarz chłopca.

- Jadłeś coś? Chcesz pić?

Jamie pokręcił głową i stał dalej nieruchomo pośrodku pokoju.

- Gdzie tata?

- Szuka cię na plaży i na wydmach. Zaraz powinien tu się zjawić.

Jamie spojrzał niespokojnie na drzwi i Leigh gardło się ścisnęło. Jak go zatrzyma, jeśli próbuje wyjść?

- Jamie, nie wiem, co się właściwie stało dziś i przedwczoraj wieczorem, kiedy do mnie przyszedłeś.

Milczał.

- Ale wiem, że przed trudnymi sytuacjami nie uciekniesz. Będą się za tobą wlokły, kto wie, czy nie przez całe życie. Wierz mi. Mówię to z doświadczenia.

Usiadła na brzeżku sfatygowanej kanapy Sama.

- Pewnego wieczoru, miałam wtedy niecałe osiemnaście lat, popłynęliśmy z paczką kolegów i koleżanek na Portsmouth. Niby normalka, prawda? - roześmiała się sarkastycznie. - Tak, tylko że my zabraliśmy z sobą piwo i nie zawracaliśmy sobie głowy zakładaniem kamizelek ratunkowych ani sprawdzeniem, ile paliwa zostało jeszcze w baku.

Jamie siedział na poręczy fotela przy drzwiach i milczał.

- Świątowaliśmy koniec roku szkolnego, rozdanie dyplomów ukończenia szkoły. Portsmouth była już od jakiegoś czasu opuszczona. Stoi tam sporo zrujnowanych, pustych domów i w ogóle trochę tam straszno.

Z miny Jamiego wynikało, że on by tego nie powiedział.

- Tak przynajmniej orzekła jedna z dziewcząt, Laura, kiedy zaproponowałam, żebyśmy przenocowali na wyspie. Bo widzisz, zajęci piciem piwa i rozmową nie zwróciliśmy z początku uwagi, że zrywa się wiatr. Wiesz, jak potrafi być przy silnym wietrze w cieśninie?

Kiwnął ponuro głową.

- Zaskoczył cię kiedyś sztorm na morzu? Wiesz, co to szkwał?

Tym razem Jamie pokręcił głową.

- Dziadek Sam powiedział mi potem, że nawet on nie wie, czy dałby sobie w takich warunkach radę. Chyba chciał mnie w ten sposób podnieść na duchu.

- I co się stało? - spytał Jamie.

- Byliśmy dwoma łodziami. Ja chciałam przeczekać sztorm na wyspie, siedzieć tam choćby do rana. Reszta myślała, że się boję. I wiesz co, Jamie? Mieli rację. Strasznie się bałam. Bałam się tak, że w końcu popłynęłam z nimi w drogę powrotną. Spory kawał od brzegu stwierdziliśmy, że na wyspie została większość naszych kamizelek ratunkowych.

- I co?

- I nagle spadł na nas szkwał. Jeden z tych potwornych porywów wiatru, które spiętrzają wodę w niebotyczną, długą falę. Byliśmy w połowie drogi przez cieśninę, kiedy ta fala zwała się na naszą łódź i zatopiła ją. Tylko ja... tylko ja przeżyłam. Niewiele z tego pamiętam. Drugiej łodzi udało się jakoś dotrzeć do Ocracoke. Ale trójka moich kolegów utonęła.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Przerwał ją Jamie.

- Czy moi rodzice też tam byli?

Leigh pokręciła głową.

- Nie.

- I co było potem?

- Wszczęto dochodzenie w sprawie tych utonięć. Musiałam składać zeznania.

- Przecież nie zginęli przez ciebie! Sami byli sobie winni!

- Oficjalnie o nic mnie, oczywiście, nie oskarżono. Ale...
- Ale niektórzy ludzie byli innego zdania. Spojrzała mu w oczy.

Bystry był.

- Tak. I ja też siebie obwiniałam, Jamie. Długo. Naprawdę myślałam, że mogłam zapobiec tej tragedii.

- Bzdura. W jaki sposób? Kurczę, a to ci się przytrafiła historia.

- Przez wiele lat sądziłam, że najlepszym sposobem na pozbycie się poczucia winy jest udawanie, że nic się nie stało. Ale wspomnienie tamtej nocy ani na chwilę mnie nie odstępowało. Ta sprawa wciąż się za mną wlokła. - Zawiesiła głos, a potem dodała: - Dopiero wczoraj twój ojciec pomógł mi zrozumieć, na czym polegał mój błąd.

- Ojciec? - spytał z niedowierzaniem.

W tym momencie otworzyły się siatkowe drzwi i w progu stanął Spencer. Nie uśmiechał się. Nie podniósł nawet głosu, kiedy spoglądając na syna, powiedział:

- No, idziemy.

Leigh wysiadła z pikapu przed swoim domem. Spencer odprowadził ją do drzwi.

- Dzięki, Leigh. Zadzwoń jutro.

- Zaczekaj, Spencer! Nie wydaje mi się, żeby Jamie to zrobił.

Sardoniczny uśmiezek przemknął mu przez usta.

- Zanim zaczniesz wyciągać jakiegokolwiek wnioski, wysłuchaj go najpierw. Zrób to dla mnie, proszę.

- Jasne. Szeryfa też o to poproszę - rzucił przez ramię, odwracając się, by odejść.

- To dobra rada, Spencer.

Zatrzymał się i odwrócił. Twarz miał zmęczoną, ale w jego oczach płonął gniew.

- Być może. Ciekawi mnie tylko, co cię upoważnia do jej udzielania. Może i nie spędzałem z Jamiem tyle czasu, ile bym chciał, ale to mój syn. Na dobre i na złe.

Leigh zaczerwieniła się. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Może przyda ci się opinia kogoś trzeciego, neutralnego, kogoś, kto nie jest...

- Zaangażowany emocjonalnie?

Zabolał ją sarkazm tej uwagi.

- Przekręcasz moje słowa - zaprotestowała.

Twarz mu złagodniała. Pokręcił głową, dając za wygraną.

- Dobrze, Leigh, posłucham, co ma do powiedzenia.

Leigh spoglądała na dwie patrzące tępo przed siebie, blade twarze za przednią szybą wycofującego się z podjazdu samochodu.

Kładła się do łóżka wyczerpana zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Przez całą noc leżała w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami i rozmyślała.

- Dasz się wyciągnąć na lunch? Leigh zawahała się.

- No nie wiem, Trish. Widzisz, mam gościa...

- Nie żartuj. To ktoś, kogo znam?

Jeszcze nie pora, zdecydowała Leigh. Poza tym powiedzieć coś Trish to tak, jakby powiedzieć całej wyspie. Nie byłoby to w porządku wobec Janet. Bąknęła coś wymijająco, obiecała, że zadzwoni i szybko odłożyła słuchawkę.

Z ulgi, jaka odmalowała się na twarzy Janet, kiedy powtórzyła jej tę rozmowę, wynikało, że postąpiła słusznie. Potem zatelefonowała do biura Spencera, ale go nie zastała. Nagrała wiadomość na automatycznej sekretarce. Miała nadzieję, że Jamie oczyścił się poprzedniego wieczoru z zarzutów.

O jedenastej dosyć miała siedzenia w domu. Spytała Janet, czy nie przejechałaby się z nią do wioski.

- Chętnie - odparła Janet. - Kupię sobie gazetę.

- O ile mi wiadomo, „Island Breeze” wychodzi tylko raz w miesiącu.

- Owszem. U nas, w Elizabeth City, też można ją kupić.

- Naprawdę? - spytała, zajęta pisaniem kartki do Spencera.

- Oczywiście. Właśnie z niej się o tobie dowiedziałam.

Zapomniałaś?

Leigh zerknęła na Janet, zaskoczona ostrą nutą w jej głosie.

- No, gotowa? - spytała, siląc się na swobodny ton. - Zostawiam Spencerowi karteczkę na wypadek, gdyby zajrzał pod naszą nieobecność. Wczoraj wieczorem miał mały problem. Z synem - dorzuciła, widząc pytanie na twarzy Janet,

- Chodzisz z tym Spencerem?

- Niezupełnie.

- Odnoszę wrażenie, że jesteście z sobą od dawna. Leigh, odwracając twarz, ruszyła do drzwi.

- Pewnie dlatego, że znamy się wiele lat.

Kiedy dojechały do Ocracoke, Leigh skrzyła na parking przed sklepem wielobranżowym.

- Zrobię tu zakupy - oznajmiła. - Co byś zjadła dzisiaj na kolację?

- Nie rób sobie kłopotu, Leigh. Może sama coś ugotuję.

- Jeśli masz ochotę. Chciałam też zaprosić Spencera z Jamiem.

- Aha.

- Masz coś przeciwko temu? Janet uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak miło było wczoraj wieczorem. Tylko my dwie. A za kilka dni wyjeżdżam.

- Naprawdę?

- Mam przecież swój dom, swoje sprawy.

- Ale nie pracujesz, prawda? Wspominałaś wczoraj wieczorem, że jesteś na rencie z powodu kręgosłupa.

- Och, tak. Ale muszę odbierać pocztę i w ogóle.

- A któryś z sąsiadów nie mógłby tej poczty odbierać i przesyłać tutaj?

- Może i tak. Czemu pytasz?

- Pomyślałam sobie, że skoro wzięłam jeszcze trochę urlopu, mogłybyśmy pobyć z sobą dłużej.

- Naprawdę byś tego chciała?

Leigh, słysząc entuzjazm w głosie Janet, uśmiechnęła się szeroko.

- Tak - powiedziała. - Chciałabym. Wiesz co? Kupmy steki. Zrobimy sobie ucztę. Tylko we dwie.

- Cudownie. Od lat nie miałam w ustach steku. Wiesz, przy mojej rencie...

Leigh posłała Janet do stoiska z winami, a sama ruszyła do działu mięsnego. W kolejce stała Trish Butterfield. Leigh zazgrzytała zębami i udając, że jej nie zauważa, stanęła na końcu. Ale Trish szybko ją wypatrzyła.

- Leigh! - zawołała i przepchnęła się do niej. - Co za zbieg okoliczności!

- Przecież to Ocracoke - mruknęła Leigh. Trish trąciła ją łokciem pod żebra.

- Sama jesteś czy w towarzystwie?

- Kręci się tu gdzieś moja znajoma.

- Aha. A jak tam sprzedaż domu?

- W piątek znowu udostępniamy go zainteresowanym.

- Jutro?

- To jutro piątek? Ależ ten czas leci.

- Im człowiek starszy, tym szybciej. Nawet na Ocracoke! - Trish roześmiała się piskliwie, ale zaraz spoważniała i zniżyła głos do szeptu: - Słyszałaś o Jamiem? Podejrzany o podpalenie.

Leigh drgnęła.

- Co ty powiesz? - Nic dziwnego, że Spencer nie zadzwonił. Pewnie przez cały rano konsultował się z adwokatem. Ścisnęło ją w dołku.

- On i Shane Robertson. Podobno to oni podłożyli ogień pod chatę Sy Haygooda. Są duże straty, nie mówiąc już o przestraszonych koniach w pobliskiej stajni.

Leigh nie mogła tego dłużej słuchać.

- Na pewno wkrótce się okaże, jak z tym było naprawdę - rzekła drewnianym głosem. Ale to nie zamknęło Trish ust.

- Na pewno. Ty chyba pierwsza się tego dowiesz, co? - Znowu kuksaniec pod żebra. - A może to plotka, że zeszliście się znowu ze Spencerem?

Leigh udawała zainteresowanie porcjami mięsa wystawionymi w oszklonej gablocie.

- Dobrze, dobrze, nie będę cię ciągnęła za język. Ale wszyscy tu uważamy, że wspaniale się stało.

Oto negatywna strona życia na wyspie, przemknęło przez myśl Leigh. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

- Kupiłam butelkę czerwonego wina i butelkę białego - rozległo się za szerokimi plecami Trish.

Trish odwróciła się na pięcie. Stała za nią Janet z dwoma butelkami wina w koszyku. Janet spojrzała na Leigh, potem na Trish, i dopiero teraz zorientowała się, że przerwała rozmowę. A to sobie wybrała moment, pomyślała Leigh.

- Trish, pozwól, że ci przedstawię moją... znajomą, Janet Bradley. Janet, to jest Trish Butterfield. Ona i jej siostra opiekowały się mną pod nieobecność rodziców, kiedy byłam mała.

Trish uśmiechnęła się promiennie.

- Miło mi cię poznać. Jesteś znajomą Leigh z Nowego Jorku?

Janet zerknęła niepewnie na Leigh.

- Nie, mieszkam w Elizabeth City. Trish ściągnęła brwi.

- To pewnie jesteś krewną Ellen? - Spojrzała na Leigh.

- Twoja matka pochodziła, zdaje się, z Elizabeth City?

Leigh kiwnęła głową.

- Tak. Eeee... Janet jest starą przyjaciółką rodziny - dorzuciła z nadzieją, że to zaspokoi ciekawość Trish.

- Tak, przyjemnie mieć gości. Zwłaszcza że sprzedajesz tu dom i znowu wyjeżdżasz, prawda? Chyba że zmieniłaś plany.

Towarzyszyły temu porozumiewawczy uśmiezek i kolejna sójka w bok.

Leigh przesunęła się bliżej czoła kolejki. Może machnąć ręką na te steki? Rzut oka na Janet wystarczył, by wiedziała, że jej również nie bawi ta rozmowa.

Kiedy składała zamówienie u sprzedawcy, dobiegł ją głos Trish:

- Moja siostra Faye mieszka pod Elizabeth City. Przyjeżdża w ten weekend. Może się spotkamy? Ona tyle lat nie widziała Leigh. Na pewno bardzo się ucieszy.

Leigh odebrała od sprzedawcy zawinięte w papier mięso i odwróciła się. Trish paplała dalej, nie zwracając uwagi na skwaszoną minę Janet.

- Mówiłaś coś o Faye? - spytała Leigh.

- Tak, chyba przyjedzie w sobotę. Mam nadzieję, że da się zaaranżować spotkanie.

Leigh uśmiechnęła się. Perspektywa rychłego opuszczenia sklepu poprawiła jej humor.

- Ja na pewno jeszcze tu będę. Ale nie wiem, jak Janet.

Spojrzała na Janet zajętą strzepywaniem jakiegoś pa-proszka z przodu bluzki.

- Ja? - Janet drgnęła i podniosła wzrok. Sklepowy neon przydawał jej twarzy zielonkawego odcienia. - Jeszcze nie wiem. Może...

Leigh spojrzała na Trish.

- Zadzwoń do mnie, kiedy Faye przyjedzie. - Wycofała się do drzwi i pomachała Trish ręką.

- Zadzwonię! - zawołała Trish. - Ty też do mnie zadzwoń, jak będziesz coś wiedziała o Samie.

Leigh kiwnęła głową. Trish była zdecydowanie na bieżąco ze wszystkim, co działo się na wyspie.

Przez całą drogę powrotną do domu Janet była jakaś przygaszona. Kiedy Leigh zgasła silnik, mruknęła:

- Dlaczego przedstawiłaś mnie jako swoją znajomą? Pytanie zaskoczyło Leigh.

- Chyba się zorientowałaś, że Trish Butterfield to pierwsza plotkarka na wyspie. Myślałam, że nie chcesz, żeby wzięli cię na języki.

- Dziękuję ci, moja droga - rzekła wyniośle Janet, otwierając drzwiczki. - Ale wiedz, że ja się nie wstydzę, że jestem twoją biologiczną matką. - Z tymi słowami wysiadła i nie oglądając się za siebie, skierowała do drzwi frontowych.

Patrząc za nią, Leigh pokręciła głową. Wychodzi na to, że nie potrafi już zrobić niczego jak trzeba.

Czas włókł się niemiłosiernie. Leigh snuła się z kąta w kąt zatopiona w myślach o Spencerze, Jamiem i Samie. Rozmowa z Janet nie kleiła się. Wypełniły już wszystkie czarne luki przeszłości i wychodziło na to, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia.

Monotonię przerwał świergot telefonu komórkowego.

Dzwonił Evans; chciał się umówić na następny dzień. Leigh zapewniła go, że będzie w domu i poinformowała, że gości teraz u siebie kobietę, która tak bardzo zainteresowała się posesją.

- Zatkąło mnie - przyznał po chwili milczenia.

- Mnie z początku też - odparła ze śmiechem - ale to długa historia. Może opowiem ją panu jutro, jeśli czas na to pozwoli.

Wieczorem odezwał się wreszcie Spencer.

- Pewnie już słyszałaś - powiedział bez wstępów, kiedy Leigh podniosła słuchawkę.

- Od Trish Butterfield.

- Jasne. No więc Jamie jest teraz w domu. Sędzia łaskawie przyspieszył procedurę wyznaczania kaucji, chociaż, zważywszy na przeszłość Jamiego, mógł tego nie zrobić.

Leigh przymknęła oczy. Nie wiedziała, komu bardziej współczuć - chłopcu czy Spencerowi.

- Mogę w czymś pomóc?

- Posprzątałaś u Sama? - spytał zdawkowo.

- O Boże! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Już tam jadę.

- Nie, poczekaj do rana. Przywiozą go najwcześniej po południu.

- Dobrze. A... jak tam Jamie?

Wydało jej się, że widzi, jak Spencer wzrusza ramionami.

- Przestraszony. Niewiele się odzywa, powtarza tylko, że tego nie zrobił.

- Wierzysz mu?

Głośnie westchnienie.

- Chciałbym, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chce powiedzieć, jak naprawdę było.

- Miejmy nadzieję, że teraz, kiedy jest w domu, język mu się rozwiąże. Przesłuchanie na posterunku to straszne przeżycie dla takiego dziecka.

- Ty to wiesz najlepiej.

- Masz rację. Nie do wiary, dopiero teraz mi się przypomniało. Czy to nie ty zawiozłeś mnie wtedy na posterunek?

- Ja. Kiedy zerwał się wiatr, pojechałem do Creek. Wiedziałem, że nie wróciłaś jeszcze z Portsmouth, bo po odwiezieniu Jen do domu warowałem pod Wichrowym Dworkiem. Wróciła pierwsza łódź, ale ciebie na niej nie było. Chciałem już wskakiwać na swoją i płynąć po ciebie, kiedy usłyszałem wołanie. Było ciemno, wiatr ryczał, zagłuszał wszystko.

- Poszliśmy na dno niedaleko South Point - wyszeptala, przeżywając to na nowo w pamięci.

- Miałaś szczęście, że zniosło cię do nabrzeża w miejscu, w którym akurat stałem. Wskoczyłem po prostu do wody i wyciągnąłem cię.

- Ocaliłeś mi życie - wyszeptala.

- Przesada. Byłaś już w porcie. Ja tylko...

- Wyciągnąłeś mnie, zrobiłeś sztuczne oddychanie, ogrzałeś, zawiozłeś na posterunek. A ja po tym wszystkim nie chciałam z tobą nawet rozmawiać. Musiałeś mnie znienawidzić.

- Nic z tych rzeczy. I przestań nienawidzić siebie.

Ta rada chodziła jej po głowie przez cały wieczór. Chcąc uspokoić Janet, która wyczuwała chyba, że coś jest nie tak, powiedziała, że denerwuje się przed jutrzejszym dniem otwartym.

- A więc twoja decyzja o sprzedaży domu i pozostaniu w Nowym Jorku jest ostateczna? - spytała Janet.

Leigh spojrzała na nią zaskoczona.

- Oczywiście. A co?

- Pomyślałam sobie, że odnowiona przyjaźń ze Spencerem i to, że się pojawiłam, mogłoby...

- Janet! - Leigh klasnęła w ręce. - Mam w Nowym Jorku dobrze płatną pracę i mieszkanie. Nie obawiaj się, nadal będziemy w kontakcie.

- Tak, ale to już nie będzie to samo. - Janet rozejrzała się po salonie. - To taki piękny dom. Zawsze marzyłam, żeby zamieszkać w takim. A najlepiej z córką.

Leigh długo rozpamiętywała te słowa. Zasnęła dopiero nad ranem. Śniły jej się czarne spienione fale i słyszała niezapomniane echa odległych krzyków.

- Jestem pewien, że nie było jej na prezentacji domu - oświadczył Evan, gdy Janet wyszła z pokoju.

Leigh przewróciła oczami.

- Mniejsza z tym, Evan. Powiedział pan, że do pana dzwoniła.

- Powiedziałem, że to mogła być ona - sprostował.

- Wszystko jedno.

I Leigh opowiedziała Evanowi, jak doszło do tego, że Janet stała się gościem Wichrowego Dworku.

- Trochę dziwny zbieg okoliczności, nie uważa pani? - mruknął, kiedy skończyła.

- Być może, ale takie rzeczy się zdarzają. Muszę wyskoczyć na jakiś czas. Da pan sobie radę beze mnie? Mam coś do załatwienia.

- Zaczekam do pani powrotu i zdam relację. Na ile mogę zejść z ceną?

Leigh zastanowiła się.

- Zależy mi na czasie. Jestem skłonna spuścić z ceny trzy, może cztery tysiące, jeśli to przyspieszy transakcję.

- Rozumiem. - Kiwnął głową, wyjął z nesesera ołówek i zapisał coś w notesie.

Leigh zostawiła go w kuchni samego i pojechała posprzątać chatę Sama.

Kiedy wróciła, rozmawiał jeszcze z jakąś parą. Uznała, że jej obecność przy tych negocjacjach nie jest konieczna i weszła na górę wziąć prysznic.

Drzwi do głównej sypialni były zamknięte. Leigh ściągnęła zaskoczona brwi. Może Janet ucina sobie popołudniową drzemkę? Ale przecież Evan prosił o udostępnienie wszystkich pokoi...

Odświeżywszy się pod natryskiem, zeszła na dół. Evan pakował swoje rzeczy.

- I jak poszło? - spytała. - Mam nadzieję, że nie byłam potrzebna.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. - Evan jakby się zawahał.

- Ale? Zacisnął usta.

- Pani... matka? Prawie cały dzień przesiedziała w swoim pokoju. Powiedziała, że głowa ją boli i musiałem opowiadać ludziom, jak wygląda główna sypialnia. - W jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. - Najważniejsze, oprócz kuchni, pomieszczenie w

całym domu, a ja nie mogłem go pokazać. Klienci chcą oglądać sypialnię, a nie ją sobie wyobrażać.

Leigh przełknęła z trudem ślinę. O siostrze! I co teraz?

- Przepraszam za Janet, panie Evan. Widocznie musiał to być bardzo silny ból głowy, bo przecież umówiliśmy się, że zwolni pokój i przeczeka popołudnie na werandzie. Wystawiłam tam nawet jej ulubiony fotel i wyniosłam stos czasopism. - Głos łamał jej się ze zdenerwowania.

Evan przewrócił oczami i pociągnął nosem.

- To nie wszystko - powiedział.

Leigh potarła skronie. Ją też zaczynała boleć głowa.

- Tuż przed zjawieniem się tej ostatniej pary, a byli to poważni klienci, pani matka zeszła na dół - zupełnie jakby to ona była tu właścicielką, ale to inna sprawa - i zapytała mnie, ile pani żąda za dom.

Spojrzał na Leigh wyczekująco.

- No i?

- Kiedy wymieniłem cenę, spytała, ile byłaby pani skłonna opuścić.

- Poddaję się - jęknęła Leigh, kręcąc głową. - O czym pan mówi, Evan?

- Mówię, że złożyła mi ofertę kupna tego domu.

- Co takiego?

- Też ją o to spytałem - zachichotał.

- Boże, co tu się wyprawia?

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem. No ale - rozłożył ręce, a potem sięgnął po neseser - to już, że tak powiem, pani problem.

W progu odwrócił się jeszcze, by oznajmić:

- Aha, zgodziła się zapłacić cenę wywoławczą minus upust! - Pstryknął palcami. - Proszę o telefon, kiedy już pani ochłonie.

Leigh wyrwał z odrętwienia dopiero trzask zamykających się za nim drzwi. Wbiegła na górę poszukać Janet.

Zanim zapukała do sypialni, policzyła w myślach do dwudziestu, tak więc, kiedy drzwi się uchyliły, była już w miarę spokojna.

- Leigh! - wykrzyknęła rozpromieniona Janet. - Myślałam, że to ten agent. Był wobec mnie bardzo nieuprzejmy.

Leigh wzięła głęboki oddech.

- Denerwował się, że zajmujesz pokój. Uśmiech znikł z twarzy Janet.

- Przepraszam, kochanie. Wiem, że obiecałam, ale rozumiesz, migrena. Musiałam się położyć. Wejdz.

Otworzyła szerzej drzwi i podeszła z powrotem do łóżka. Pościel była skotłowana, poduszka wgnieciona. Najwyraźniej w nim leżała.

- Nic się nie stało - mruknęła Leigh. - Dać ci coś? Proszek? Butelkę z gorącą wodą? Woreczek z lodem?

Janet położyła się.

- Nie, kochanie, zażyłam już lekarstwo. Tylko patrzeć, jak zacznie działać.

- Może napijesz się mrożonej herbaty?

- Chętnie. Ale nie wnoś jej na górę. Jak mi przejdzie, to zejść na dół i posiedzimy razem na werandzie. Ten agent już sobie poszedł?

- Tak. - Leigh odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu. Że nie pomieszałam ci szyków ze sprzedażą domu.

Leigh zatrzymała się.

- Nie, ale Evan powiedział mi, że wyraziłaś chęć jego kupna.

Chyba coś mu się pomyliło.

Janet nie odpowiedziała od razu.

- Wyraziłam, kochanie - przyznała w końcu. - Ale może porozmawiamy o tym przy kolacji. Myślę, że jednak spełni się nasze marzenie! - wykrzyknęła.

- Nie rozumiem - wykrztusiła Leigh. Zdawała sobie sprawę, że otwiera szeroko oczy, ale nic na to nie mogła poradzić.

- Nasze marzenie, żeby razem zamieszkać. Leigh postąpiła krok do przodu.

- Janet - zaczęła i na widok spłoszonej miny kobiety w ostatniej chwili ugryzła się w język i zaczęła z innej beczki: - Nie sprzedaję tego domu dla pieniędzy. Mam ich dość. Po prostu nie jestem w stanie dbać o niego, mieszkając w Nowym Jorku.

Na twarzy Janet odmalowała się ulga.

- Wiem o tym, kochanie. I właśnie dlatego idealnie się składa. Ja zawsze marzyłam o takim miejscu, a ty na pewno nie chcesz pozbywać się domu swojego dzieciństwa ze wszystkimi

wspomnieniami, jakie mieszkają w jego ścianach. No i - dodała triumfująco - będziesz miała gdzie przyjeżdżać na urlop.

Leigh wycofała się do drzwi. W głowie miała pustkę.

- Porozmawiamy przy kolacji - wykrztusiła. Schodząc na dół, nie mogła się pozbyć uczucia, że wsysa ją jakiś wir. Dlaczego odnosi wrażenie, że wszystko wymyka się jej spod kontroli? Bo się wymyka, odpowiedziała sobie.

Weszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Wzięła telefon komórkowy, usiadła z nim na chłodnej posadzce i zadzwoniła do pierwszej osoby, jaka przyszła jej do skołatanej głowy. Do Spencera.

RS

- Jamie nie będzie mógł zamieszkać latem u Sama, tak jak planowałem - mówił Spencer, relacjonując przez telefon wydarzenia dnia. - Decyzją sądu ma mieszkać z ojcem i nie wolno mu opuszczać domu po zmierzchu. Trzeba będzie jednak wyperswadować jakoś Samowi, żeby przeprowadził się do mnie. Może ciebie posłucha? No a jak tam twoje sprawy?

Wbrew jej oczekiwaniom wiadomość, że Janet chce kupić dom, nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia.

- Nie bardzo rozumiem, skąd twoje wzburzenie - powiedział. - Oferta jak oferta. Zresztą, nie musisz jej przyjmować. - Ziewnął głośno. - Słuchaj, muszę kończyć. Już późno, a zeszłej nocy oka nie zmrużyłem. Zjem kolację i idę spać. Jutro skoro świt jedziemy z Jamiem do Raleigh po Sama. Zadzwoń do ciebie po powrocie?

- Koniecznie. Pozdrów ode mnie Sama i Jamiego. Leigh rozłączyła się, ale długo jeszcze siedziała na kuchennej posadzce, zastanawiając się, jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji.

- Nie chcę pani popędzać, ale dziś rano dostałem jeszcze jedną ofertę kupna domu.

- Która to godzina, Evan? Dopiero się obudziłam i nie wszystko jeszcze do mnie dociera.

- Och, przepraszam. Jest dziesiąta trzydzieści, a ta druga oferta wpłynęła przed godziną. - W słuchawce dało się słyszeć znaczące pociągnięcie nosem.

- Druga oferta?

Leigh była przekonana, że Evan wznosi teraz oczy do nieba.

- Pierwszą złożyła pani matka, pamięta pani?

- A musimy traktować ją poważnie? Wie pan co, niech ją pan zignoruje. Co z tą drugą ofertą?

- Nie mogę jej zignorować. Obowiązuje mnie kodeks etyczny, nie wspominając już o tym, że nie chciałbym stracić licencji.

Rozmawiała pani z matką na ten temat?

Leigh odnosiła wrażenie, że nie odrobiwszy pracy domowej, została wywołana do tablicy przez nauczyciela matematyki.

- Jeszcze nie - bąknęła.

- A więc nie mogę nic zrobić, jeśli pani sama nie odrzuci oferty albo ona jej dobrowolnie nie wycofa.

- Evan!

- Mam związane ręce.

- Porozmawiam z nią przy śniadaniu.

- Miała pani na to cały wczorajszy wieczór.

- Wiem, wiem. Ale jakoś się nie złożyło.

- To niech pani zrobi to teraz i oddzwoni do mnie. Ale nie później niż o trzeciej piętnaście - przykazał.

Leigh rozłączyła się i odłożyła telefon na nocny stolik. Tym razem przyprze Janet do muru. Inaczej nie będzie mogła spojrzeć Evanowi w oczy.

Godzinę później, po rozmowie przy kawie, kamień spadł Leigh z serca.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Janet. - Jeśli masz inny, lepszy pomysł na zorganizowanie naszych kontaktów w przyszłości, to jestem za tym. Chciałam jak najlepiej i kupno tego domu wydało mi się najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Leigh patrzyła na nią z niemym podziwem. Ze swoimi zdolnościami negocjacyjnymi i elastycznością Janet daleko by zaszła w świecie biznesu. Odczuła taką ulgę, że następne słowa Janet kompletnie ją zaskoczyły.

- Muszę załatwić u siebie parę spraw i obawiam się, że nie da się tego zrobić przez telefon. Bardzo się obrazisz, jeśli wyjadę na kilka dni?

Leigh uświadomiła sobie ze zdumieniem, że nie ma nic przeciwko wyjazdowi Janet. Perspektywa paru samotnych dni wydała jej się wielce kusząca. Przywołała na twarz wyraz będący mieszaniną rozczarowania i zachęty.

- A jak tam dotrzesz? - spytała, przypominając sobie, że zwróciły wynajęty samochód do agencji w dniu, w którym Janet zjawiała się z bagażem w Wichrowym Dworku.

- O, pojedę autobusem - odparła.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie na ściągnięte w ciup usta Janet, by Leigh poczuła się w obowiązku zaproponować Janet inne wyjście.

- To może weźmiesz mój samochód? Nie, naprawdę - dorzuciła, uprzedzając protest. - Nie potrzebuję go na Ocracoke.

I tak, wczesnym popołudniem, Janet wyjechała. Leigh zadzwoniła do Evana i zostawiła mu na automatycznej sekretarce wiadomość, że Janet wycofuje ofertę. Resztę popołudnia spędziła nad albumami z fotografiami. Dziwne, ale wydawało jej się, że oglądanie ich z Janet byłoby niemal świętokradztwem. Swoją drogą ciekawe, czy Ellen i Pete Randallowie tak ochoczo wpuściliby Janet Bradley do swojego domu?

Przed tym pytaniem Leigh nie mogła dłużej uciekać.

- Właśnie sobie myślałem - mówił Sam, rozglądając się z zadowoleniem po pokoju - jak to dobrze mieć rodzinę. Leżeć sobie we własnym łóżku i mieć was wszystkich przy sobie. Nic nie może się z tym równać, mówię wam.

Łzy nabiegły Leigh do oczu. Stała w nogach łóżka starego człowieka, Jamie przysiadł na krawędzi, a Spencer opierał się o framugę drzwi. Sam ładnie to ujął, ale mówił o swojej rodzinie, do której ona nie należała. Ona nie miała już żadnej rodziny.

Z wyjątkiem Janet - ale to jakoś jej nie pocieszało. Zazdrościła tej trójce.

Odczekała stosowną chwilę i powiedziała:

- Dobrze, że wróciłeś, Sam. No, ja muszę już lecieć. Mam coś do załatwienia.

- O, myślałem, że zostaniesz. Spencer postawiłby nam kolację. Słyszałem, że jego interes zaczął się kręcić. No to jak będzie? Małże z frytkami od Howarda?

- Super!

Sam uśmiechnął się.

- No widzisz. Jamie jest za tym. A ty, Spencer? Leigh wołała się nie oglądać. Od przyjazdu do chaty Sama unikała kontaktu wzrokowego ze Spencerem. Wcześniej zatelefonował, by powiadomić ją, że Sam jest już w domu. Głos miał oficjalny i mówił lakonicznie, toteż odnosiła wrażenie, że chce jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

Coś go na pewno gnębi.

- Jasne, chętnie przejadę się do Howarda po coś na kolację. Co ty na to, Leigh?

Nie potrafiła odmówić.

- No dobrze, zostanę - mruknęła.

Spencer z Jamiem pojechali do wioski, a ona dotrzymywała towarzystwa Samowi. Trudy podróży z Raleigh do domu dawały teraz o sobie znać. Sam zasypiał kilka razy, potem budził się, popijał sok owocowy i wypytywał Leigh, co się ostatnio wydarzyło. Nie mówiła mu wszystkiego, żeby nie denerwować staruszka.

- Powiadasz, że nie masz żadnego dokumentu na potwierdzenie, że ta kobieta jest twoją biologiczną matką? Ale to rzeczywiście możliwe, że nie dostała żadnego papierka, kiedy oddawała cię do adopcji. A co ci podpowiada serce, dziecko?

- Nie wiem. Chyba chcę w to wierzyć, bo jestem teraz zupełnie sama i... przyjemnie byłoby mieć rodzinę.

- Masz nas, Leigh. My jesteśmy twoją rodziną.

- Dzięki, Sam, miło mi to słyszeć. Ale wiesz, o co mi chodzi.

Jeśli ona naprawdę jest moją matką, to chcę ją bliżej poznać.

- Tak sobie myślę, że twoje rozterki mogą wynikać z poczucia lojalności wobec Pete'a i Ellen...

- Być może.

- I jeszcze jedno, Leigh. Zrób coś dla mnie. Pomóż mi naprawić to, co się popsuło pomiędzy Jamiem a Spencerem.

- Zrobię, co będę mogła. Wiesz, jaki uparty potrafi być Spencer. Samowi zabłyśły oczy.

- Dlatego właśnie zwracam się z tym do ciebie.

- Niczego nie obiecuję.

- Jedno możesz mi obiecać.

- Co?

- Nie uciekaj więcej.

Leigh przygryzła wargi.

- Postaram się.

Ulżyło jej, kiedy po kolacji Spencer oznajmił, że musi wrócić do biura, bo powinien zadzwonić w kilka miejsc. Miał przenocować z Jamiem u Sama.

- Mogę cię podwieźć - zaproponował, zwracając się do Leigh.

- Nie, dziękuję, zostanę tu jeszcze trochę i posprzątam -odparła.

Spencer wyszedł, lecz przecucie jej mówiło, że jeszcze go dzisiaj zobaczy. Wyczytała to z jego twarzy.

Pozmywawszy po kolacji, zajrzała do Sama. Spał już. Wyszła na werandę, cicho zamykając za sobą drzwi. Jamie siedział na ostatnim stopniu schodków i patrzył na ocean. Słońce skryło się już za horyzontem, ale było jeszcze stosunkowo jasno.

- Mogę się przyłączyć? - spytała i nie czekając na odpowiedź, usiadła obok niego.

Zerknął na nią przelotnie, a potem skoncentrował się na odcisku, który zrobił się mu na kciuku.

- Tak tu cicho i spokojnie - zaczęła. - Nie to, co w Nowym Jorku.

- Dla mnie aż za cicho - mruknął Jamie.

- Na starość człowiek zaczyna doceniać ciszę.

- Przecież ty nie jesteś stara - prychnął.

- Nie, ale ta tendencja zaczyna się objawiać już po trzydziestce.

- Moja mama też jest po trzydziestce, a jakoś tego u niej nie widzę. Podobno przyjaźniłyście się kiedyś, to prawda?

Leigh odwróciła wzrok.

- Ona ci to powiedziała?

- Tak, dużo o tobie mówiła. Że byłaś taka zdolna i popularna, i w ogóle.

- Nie, Jen była ode mnie popularniejsza. Wszyscy ją lubili za poczucie humoru i żywiołowość.

- Dziwnie pomyśleć, że dzisiejsi rodzice byli kiedyś nastolatkami - mruknął Jamie.

- Tak, i wcale tak bardzo się nie różnili od obecnej młodzieży. Ich rodzice też mieli z nimi czasami urwanie głowy. Moi ze mną również.

- Tak, ale założę się, że nie oskarżyli cię nigdy o coś, czego nie zrobiłaś.

- Oni nie, ale inni ludzie owszem.

- Masz na myśli ten wypadek, o którym mi wczoraj opowiadałaś?

Leigh westchnęła.

- Tak.

Siedzieli dłuższy czas w milczeniu. W końcu Jamie, głosem tak cichym, że Leigh musiała się nachylić, żeby go słyszeć, zaczął mówić:

- To nie był mój pomysł. Shane przyszedł do mnie i powiedział, że słyszał, że coś podпалиłem. Powiedziałem mu, że to było dawno i nieprawda, i żeby spadał. Parę dni później znalazłem przypadkiem ten list, który przyszedł do mojego ojca.

Urwał. Leigh milczała; domyślała się, co zaraz usłyszy.

- Jeden prawnik z Charlotte pisał w nim, że mój ojczym chce mnie przysposobić. Własnym oczom nie wierzyłem. - Jamie spojrzał na Leigh zaczerwienionymi od płaczu oczami. - Lubię ojczyma, jest w porządku, nawet się ze sobą zgadzamy... ale on nie jest moim ojcem!

- Twój ojciec do tego nie dopuści, Jamie - powiedziała Leigh.

- Czy ja wiem? - spytał przez łzy. - Prawie wcale ze mną nie rozmawia.

- Wiem, że on potrafi tak się zachowywać, ale to dlatego, że się boi.

- Boi?

- Tak, nie potrafi rozmawiać o tym, co czuje. Zawsze taki był.

Opowiadał ci może o swoim dzieciństwie?

Jamie zwiesił głowę.

- Tak - mruknął. - Jego matka odeszła, a ojciec był pijakiem.
- Wiesz to od niego?
- Nie, od mamy.
- A potem rozstali się z twoją mamą, kiedy ty byłeś malutki.

Bardzo to przeżył.

- Naprawdę?
- Naprawdę. Tak trudno w to uwierzyć?
- Sam nie wiem. Jakoś mi to do niego nie pasuje.
- Pozory mylą.
- A teraz chce, żebym mu opowiedział o tym pożarze.
- To zrozumiałe.
- Ale ja nie mogę. Bo musiałbym mu też powiedzieć, że

szperałem w jego korespondencji i czytałem ten list.

- To nic takiego, Jamie. On chce z tobą porozmawiać o tym przysposobieniu, ale się boi.

- Nie wierze.
- Boi się, że znowu cię straci.
- On ci to powiedział?
- Tak.

Jamie przetarł dłonią twarz. Potem wstał i oparł się o barierkę.

- Shane zjawił się u mnie zaraz po tym, jak znalazłem ten list. W najgorszym momencie. Czuję się... podle. Naprawdę podle. Shane zaciągnął mnie do chaty starego Haygooda. Nie wiem, dlaczego chciał ją puścić z dymem. Powiedział, że nie cierpi tego faceta. Shane jest chyba trochę świrnięty. - Jamie urwał i otarł przedramieniem nos. -

Facet musiał nas podsłuchać, bo wparował do środka jak rozjuszony byk. Daliśmy nogę, ale nas rozpoznał. Dwa dni później Shane znowu tam poszedł wieczorem, ale już sam. Nawet mi nie zdradził, że idzie, bo mu wcześniej powiedziałem, że nie chcę go więcej widzieć. I nie widziałem! - Jamie spojrzał Leigh w oczy. - Przysięgam!

- Wierzę ci, Jamie. Ale musisz to powiedzieć ojcu i szeryfowi.

Jamie wcisnął głowę w ramiona.

- Nie chcę donosić na Shane'a.

- Shane'owi trzeba pomóc. Nie wolno dopuścić, żeby znowu coś podpalił.

Jamie milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Tak, chyba masz rację.

Leigh wstała i objęła go.

W środku nocy Leigh obudziło głośnie pukanie do drzwi frontowych. Wiedziała, że to Spencer. Bez pośpiechu wstała z łóżka, włożyła szlafrok i poszła otworzyć.

- Chyba nie za późno? - spytał.

- Już po północy.

- Nie mówiłem ci, że wpadnę? Pokręciła głową.

- Byłem pewien, że mówiłem. - Zmarszczył czoło, ale zaraz się rozpromienił. - No ale jestem. Sam i Jamie śpią, przed chwilą sprawdzałem.

- Ja też spałam.

- Ojej, przepraszam. - Przystąpił z nogi na nogę, rozejrzał się po werandzie.

- Wejdz, Spencer. - Odwróciła się i nic już nie mówiąc, ruszyła do kuchni.

- Kawy? - spytała, kiedy wysuwał sobie krzesło spod stołu.

- Masz bezkofeinową?

- Chyba nie. Zafrasował się.

- Jeśli wypiję jeszcze jedną, nie zasnę do rana. Zignorowała znaczące spojrzenie, które jej posłał.

- To może herbatki ziołowej - zaproponowała i uśmiechnęła się w duchu, widząc zawód w jego oczach.

- Niech będzie.

Zakrzętnęła się przy parzeniu herbaty. Zrażona jego dzisiejszym zachowaniem odwlekała jak mogła chwilę, gdy usiadzie naprzeciw niego przy stole. Czekala, kiedy wreszcie powie, co go tu sprowadza.

- Wpadłem, bo muszę ci coś wyznać - zaczął w końcu.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia - oznajmiła.

- Tak?

- Może nie tyle ja, co Jamie. Ale musisz poczekać do rana.

- Rozmawiałas z nim?

- Tak.

- O pożarze?

- Tak, ale sam musi ci powiedzieć, jak z tym naprawdę było. -

Leigh postawiła na stole kubki z herbatą i usiadła.

Spencer westchnął.

- Dziękuję ci, Leigh. A ja chciałem ci powiedzieć... Nie wiem, jak zacząć. - Bawił się przez chwilę łyżeczką. - Widzisz, czekając w

Raleigh, aż wypiszą Sama, skorzystałem z okazji i zadzwoniłem do Elizabeth City. Mam tam kolegę w policji. Poprosiłem go, żeby przeprowadził mały wywiad środowiskowy. Żeby... eee... sprawdził Ja-net Bradley.

Leigh ściągnęła brwi. Siedziała nieruchomo.

- Zrobił to - podjął Spencer - ale nie natrafił na najmniejszy ślad żadnej Janet Bradley. Nikt o takim nazwisku tam nie mieszka.

Leigh nie spuszczała z niego wzroku. To spojrzenie mieszało go i rozgniewało.

- Zrobiłem to dla ciebie, Leigh. Pomyślałem sobie, że ktoś musi ją sprawdzić. No i okazuje się, że w Elizabeth City nie mieszka żadna Janet Bradley.

- Chcesz powiedzieć, że nie znalazłeś nikogo o tym nazwisku. Spencer wzruszył ramionami.

- Na jedno wychodzi.

- Nie, nie na jedno - zaprotestowała podniesionym głosem.

- Ten mój kolega radzi nam wynająć prywatnego detektywa, żeby sprawdził, czy ona naprawdę jest osobą, za którą się podaje.

- Czy jest Janet Bradley? Czy jest moją matką?

- A co to za różnica? Leigh trzasnęła dłonią w stół.

- Duża różnica. Może być mnóstwo powodów, dla których nazwisko Janet Bradley nie figuruje w książce telefonicznej Elizabeth City.

- Nie tylko w książce telefonicznej! - uniósł się Spencer. - On sprawdzał w urzędzie podatkowym i w spisie mieszkańców. Nigdzie nie ma żadnej Janet Bradley.

- Mogła zmienić nazwisko.

- Wtedy by się gdzieś pojawiło.

Leigh obróciła się bokiem do Spencera i założyła ręce na piersi. Nie chciała na niego patrzeć.

- Jestem oburzona, że zrobiłeś to bez konsultacji ze mną, Spencer. Co ty sobie wyobrażasz?

Nachylił się do niej i zniżył głos.

- Masz prawo być na mnie zła, Leigh. Działałem pod wpływem impulsu. Siedziałem beczynnie w szpitalnej poczekalni, nie wiedziałem, co z sobą zrobić, zobaczyłem telefon i...

- Ty zawsze działałeś pod wpływem impulsu - przerwała mu. - Bez oglądania się na innych.

- Chwileczkę! Rozmawiamy o Janet czy o mnie? Leigh wykonała ręką nieokreślony gest, nie patrząc na niego.

- Sama nie wiem, o czym rozmawiamy.

- Przepraszam, Leigh. Ale czy nie lepiej dowiedzieć się prawdy o Janet już teraz?

Spojrzała na niego podkrążonymi oczami.

- Nie wiem już, co jest prawdą, a co nie, Spencer - powiedziała.

Czy odnosi się to również do poprzedniej nocy...? Niedobrze mu się zrobiło. Poczul, że musi wyjść. Odsunął się z krzesłem od stołu i wstał. W progu odwrócił się jeszcze.

- Leigh?

Nawet na niego nie spojrzała. Czyżby historia się powtarzała? Potem pacnął otwartą dłonią we framugę i wyszedł.

- Kogo tam znowu niesie? - jęknęła.

Ktoś dobijał się do frontowych drzwi. Uniosła głowę i spojrzała na zegarek. Dziewiąta. Spencer wypłynął w morze. Czyżby Evan? Albo Janet? Jęknęła znowu i opadła na poduszkę. Po nocnej rozmowie ze Spencerem nie miała ochoty spotykać się z matką. Jednak pukanie nie ustawało. Leigh zwlokła się z łóżka, na które padła w szlafroku po wyjściu Spencera. Uchyliła drzwi. Jamie.

- Leigh! - zawołał. - Coś się stało dziadkowi. Nie mogę go obudzić. Pomóż.

Otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Wejdz, Jamie. Telefon leży na stole w kuchni. Ty dzwoń, a ja się tymczasem ubiorę. - Popędziła na górę.

Kiedy zbiegła z powrotem na dół, Jamie stał już przy drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Dopiero teraz zauważyła, że jest spocony. Biegł.

I nagle uświadomiła sobie, że ją też to czeka. Samochód zabrała Janet. Zaklęła pod nosem i wypadła za Jamie z domu. Kiedy skręcali w dróżkę prowadzącą do chaty Sama, dyszała już ciężko. Od strony wioski dolatywało stłumione wycie syreny.

- Straż pożarna - wysapał Jamie. Biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodkach na werandę i zniknął w środku. Kiedy Leigh wpadała do sypialni, stał już przy łóżku dziadka.

Sam leżał z otwartymi szeroko ustami, kąciki warg miał sine. Za późno. Za późno. Podeszła powoli do łóżka i poczuła pierwszy paroksyzm bólu chwytającego za serce i ściskającego krtani.

- Och, Sam - wykrztusiła i otoczyła ramionami chłopca, którego ciałem wstrząsnął szloch.

RS

Kiedy przybyła straż pożarna, Leigh nadal tuliła do siebie Jamiego. Odepchnięto ich na bok, dwóch mężczyzn podjęło akcję reanimacyjną. Po paru minutach mała chata Sama zarojła się ludźmi usiłującymi go ożywić. Był wśród nich również lekarz Sama z miejscowego szpitala.

O godzinie dziewiętej czterdzieści osiem stwierdzono zgon. Leigh wyprowadziła Jamiego z pełnej ludzi chaty na werandę. Wiedziała, że dopiero za parę godzin dotrze do niej w pełni, że Sama już nie ma. Teraz czuła tylko ziejącą pustkę.

- Mam dziwne wrażenie - wyszeptał chłopiec, siadając obok niej w wiklinowym fotelu. - Zupełnie jakbym pływał w wielkim czarnym stawie. Widzę wszystko, co się dookoła dzieje - słyszę przybój, tych facetów w środku i w ogóle - ale nic mnie to nie obchodzi.

- Pierwszy raz tracisz kogoś bliskiego?
- Tak. Nie wyobrażam sobie życia bez dziadka Sama!
- Mało jest na świecie takich ludzi jak Sam.
- Mało - westchnął Jamie.

Z chaty wyszedł lekarz. Wziął ją na stronę i poradził, by zostawić Sama w łóżku do czasu przyjazdu kogoś z domu pogrzebowego w Hatteras. Pozwolił już sobie tam zadzwonić i ma nadzieję, że rodzina nie ma mu tego za złe. Leigh kiwała tylko głową.

Kiedy odjechała straż pożarna, spytała Jamiego:

- Pójdziemy do mnie czy tu zaczekamy na samochód z domu pogrzebowego i na tatę?

- Zostańmy przy dziadku - odparł.

- Dobrze. Kiedy tata wraca z morza?

- Nie wiem. Czasami dopiero pod wieczór.

- A ma na łodzi krótkofalówkę?

- Chyba tak.

- Może uda nam się znaleźć kogoś, kto potrafi się z nim skontaktować.

Weszła do chaty i dopiero teraz przypomniała sobie, że Sam nie ma przecież telefonu, a ona swój zostawiła w domu. Zresztą, nie wiedziałyby nawet, do kogo zadzwonić. Nie знаła kolegów Spencera. Przytłoczona tymi przeszkodami usiadła na kanapie i rozplakała się. Jamie przysiadł się do niej i próbował pocieszać. Kiedy w chwilę potem do chaty wszedł Spencer, podnieśli na niego załzawione oczy.

- Gdzie on jest? - spytał przez ściśnięte gardło. Leigh wskazała bez słowa na sypialnię.

Spencer wyszedł stamtąd jakiś czas potem ze ściągniętą twarzą. Robił wrażenie spokojnego i opanowanego, tylko czubek nosa miał zaczerwieniony, a głos schrypnięty.

- Lekarz dał mi znać zaraz po tym, jak straż pożarna powiadomiła szpital. Miał numer do mojego kolegi, który dysponuje krótkofalówką. Na szczęście byłem blisko brzegu.

Odniosła wrażenie, że zabrakło mu słów.

- Zostawię was samych - rzekła, wstając. - Lekarz Sama dzwonił już do domu pogrzebowego w Hatteras. Niedługo tu będą. Możecie poczekać u mnie.

Spencer przetarł dłonią twarz.

- Ja poczekam tutaj. - Zerknął na Jamiego. - A ty?

- Zostanę z tobą. Leigh ruszyła do drzwi.

- Leigh! - zawołał za nią chłopiec. - Dziękuję ci za pomoc.

- Nie ma za co, Jamie. - Sięgnęła do klamki.

- Leigh?

Tym razem był to Spencer.

- Tak?

- Ja też ci dziękuję... - Chciał jeszcze coś dodać, ale w słowo wpadł mu Jamie:

- A mama? Musimy zadzwonić do mamy! Spencer potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę.

- Tak - mruknął. - Zadzwonię do twojej matki. Leigh wysliznęła się z chaty.

Spencer z Jamiem pojechali do Hatteras omówić szczegóły pogrzebu. Na prośbę Spencera Leigh przeniosła się na ten dzień do jego domu, żeby odbierać telefony i telegramy kondolencyjne oraz przyjmować ludzi przychodzących składać wyrazy ubolewania. Kiedy telefon zadzwonił około piątej, była pewna, że to Spencer, bo tak się umawiali.

Ale głos, który odezwał się w słuchawce, należał do kobiety.

- Spencer? - spytała kobieta. Leigh rozpoznała ją od razu.

- Nie... nie ma go w tej chwili - wyjąkała.

- Aha. A z kim rozmawiam?

- To ja, Jen. Leigh.

- Leigh Randall?

Leigh uśmiechnęła się mimowolnie. A znasz jakąś inną Leigh?

- Tak. Jestem od dwóch tygodni na wyspie.

- A więc wiesz o dziadku?

- Tak, Jen, wiem i bardzo mi przykro. Sam był niezwykłym człowiekiem.

- Niewątpliwie, chociaż niektórzy uważają, że go nie doceniałam. Ale nie pora teraz to roztrząsać. Powtórz Spencerowi, że mój samolot ląduje w Hatteras o siódmej, a więc na Ocracoke będę około dziewiątej. Sama. - Położyła nacisk na to ostatnie słowo, a po chwili wahania dorzuciła: - Mam nadzieję, że się spotkamy.

- Ja również. Będę na pogrzebie. A może chciałabyś urządzić u mnie poczęstunek dla uczestników?

Jen nie odpowiedziała od razu.

- Chętnie - odrzekła po chwili. - Dziękuję za ofertę, Leigh.

Telefon zadzwonił, kiedy Leigh zmierzała z tacą kanapek do jadalni. Postawiła tacę na stoliku i przepchnęła się przez tłum gości z powrotem do kuchni. Wichrowy Dworek zalało dzisiaj morze czerni przetykanej bielą koszul. Sam był wielce szanowanym mieszkańcem Ocracoke.

Trish Butterfield zwerbowała do pracy w kuchni zastęp kobiet z wioski i na Leigh spoczywał tylko obowiązek roznoszenia i zbierania talerzy.

Pojawienie się w kościele Jen wywołało poruszenie. Ludzie podchodzili do niej i witali się. Spencer z Jamiem nie odstępowali jej na krok, służąc ramieniem i pomocą przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodów oraz wchodzeniu i wychodzeniu z budynków. Leigh była trochę o to zazdrosna. Spencer zdawał się jej unikać.

Wzięła telefon z kuchni i zaszła się z nim w sypialni na górze.

- Pani Randall? Mówi Eleanor Irwin z Ośrodka Adopcyjnego Benningtona. Dzwonię w sprawie pani matki.

- Słucham?

- Pani matka telefonowała do nas wczoraj i podała ten numer.

- Nie rozumiem. Moja matka nie żyje. W słuchawce zatrzeszczało.

- Ojej. Strasznie mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Bo widzi pani, dzwoniła do nas wczoraj Ellen Randall. Przedstawiła się jako pani przybrana matka i powiedziała, że jesteście zainteresowane kontaktem z pani matką biologiczną.

Leigh usiadła na łóżku.

- Moja przybrana matka zmarła w zeszłym roku. Nie mam pojęcia, kto mógł do was dzwonić.

Nie mówiła prawdy. Domyślała się kto. Serce waliło jej tak mocno, że ledwie słyszała swoją rozmówczynię.

- Ta kobieta dużo o pani wie. Powiedziała, że przed laty dostała od nas pismo z informacją, że pani biologiczna matka chce nawiązać kontakt. Takie pismo rzeczywiście zostało wysłane. Zajrzałam do akt i znalazłam oryginał wpięty do nich przez moją poprzedniczkę.

- Co jeszcze mówiła?

- Że wówczas nie mogliście wyrazić na to zgody, bo u pani ojca wykryto właśnie chorobę Alzheimera.

Leigh przymknęła oczy. Janet, to jasne. Wyciągnęła to wszystko z Leigh, wykorzystując jej ślepe zaufanie.

- I co jeszcze?

- Potem powiedziała, że teraz jesteście takim kontaktem zainteresowane. Przyznaję, zdziwiło mnie, że to ona, a nie pani, dzwoni do nas w tej sprawie. Obudziło się we mnie podejrzenie, że coś tu jest... nie w porządku. Kiedy powiedziałam jej, że to pani musi się do nas zwrócić z taką inicjatywą, bardzo się zdenerwowała. I stała się opryskliwa. Kiedy jej wyjaśniłam, że możemy rozmawiać na ten temat tylko z panią, ponieważ jest już pani osobą dorosłą, uspokoiła się trochę i oznajmiła, że każe pani napisać do nas list.

Zasugerowałam, że lepszy byłby kontakt telefoniczny, ale ona powiedziała, że wraca pani do Nowego Jorku i będzie tam bardzo zajęta. To również wydało mi się dziwne. Leigh roześmiała się.

- Zapewniam panią, że kobieta, która do was dzwoniła, nie jest moją przybraną matką. Nie wiem, kim jest, ale podaje się za moją matkę biologiczną.

- Jakim nazwiskiem się pani przedstawiła?

- Powiedziała, że nazywa się Janet Bradley, ale... - Leigh przypomniała sobie wynik rozpoznania przeprowadzonego przez Spencera - wątpię, żeby to było jej prawdziwe nazwisko.

- Mogę pani zdradzić, że pani biologiczna matka nie nazywa się Janet Bradley.

- Dziękuję za telefon - rzekła Leigh. - Dobrze to wiedzieć.

- Skoro już mam panią na linii, to czy jest pani zainteresowana kontaktem z biologiczną matką?

Leigh, nie przygotowana na to pytanie, zaniemówiła.

- Pytam, bo widzę tutaj, że po naszym piśmie do państwa napłynęło jeszcze kilka jej wniosków o umożliwienie kontaktu - ciągnęła kobieta. - Nie wiem, dlaczego nie powiadomiono o tym pani albo przybranych rodziców.

- Tak - wyrzuciła z siebie Leigh - jestem zainteresowana.

A potem, nie zegnając się, wyłączyła telefon i pobiegła do głównej sypialni. Padła na czworaki, wyciągnęła spod łóżka skórzaną walizkę i dźwignęła ją na łóżko. Drżącymi palcami odpięła zamki.

Koczek w kaczuszki był, były śpioszki. Zniknęło jednak pismo z Ośrodka Adopcyjnego. Leigh zamknęła walizkę. Nie rozumiała, dlaczego Janet zabrała tylko ten list.

Chyba że zamierza wrócić, bo nie wie, że zatelefonowano do mnie z ośrodka.

Z przestрахem pomyślała, że Spencer miał rację. Jak Janet mogła być jej biologiczną matką? Czy prawdziwa matka tak by się zachowywała? Węszyła? Kłamała? Przycisnęła dłoń do czoła.

- Dobrze się czujesz?

Leigh poderwała głowę. W progu stała Jen.

Nawet w żałobie i z widoczną już ciążą była piękna. Długie jasne włosy, zgrabna sylwetka. Leigh musiała przyznać, że Jen wygląda dobrze. Bardzo dobrze.

- Wejdz - powiedziała.

Jen weszła niepewnie do pokoju, w którym spędziły razem tyle deszczowych dni, i usiadła w bujanym fotelu pod oknem.

- Cieszę się, że cię znowu widzę, Leigh.

- Naprawdę?

- Dziękuję ci za to, co zrobiłaś dla Jamiego. Leigh ściągnęła brwi. A co ja zrobiłam dla Jamiego?

- Wiem od Spencera, że pomogłaś wyświecić całą tę aferę z pożarem - wyjaśniła.

- Ach, to. Ale to nie moja zasługa, Jen. Jamie chciał się komuś zwierzyć, a tak się złożyło, że akurat ja byłam pod ręką.

Jen uśmiechnęła się.

- Wciąż ta skromnisia Leigh, co?

- Nie wiem, o czym mówisz - bąknęła Leigh, rumieniąc się.

Jen roześmiała się.

- Ludzie się nie zmieniają.

- Ja myślę, że jednak w jakimś stopniu się zmieniają. Jen spoważniała.

- Tak, chyba masz rację. W jakimś stopniu. Jedni mniej, inni bardziej. Czy twoim zdaniem Spencer się zmienił?

- Wszyscy się zmieniamy - mruknęła enigmatycznie Leigh.
Znowu śmiech.

- Tak, ta sama poczciwa Leigh. Jesteś chodzącym dowodem mojej tezy, że ludzie się nie zmieniają. Ty i Spencer. On też jest taki jak dawniej.

Leigh odsunęła od siebie walizkę. Ta rozmowa stawała się dziwna.

- Wiem, że uważasz mnie za zdrajczynię - podjęła Jen - i chyba masz powody. Ale miałaś okazję odzyskać Spencera i jej nie wykorzystałaś.

A więc tu cię boli. Leigh spojrzała tęsknie na drzwi.

- Dawne dzieje, Jen. Przeszłam już nad tym do porządku dziennego.

- Wątpię, Leigh. Bo jeśli nie zapomniała ta wielka egoistka Jen Logan, to tym bardziej nie mogła zapomnieć nieposzlakowana moralnie Leigh Randall.

Leigh twarz stężała. Jennifer zawsze potrafiła trafić w sedno.

- Mylisz się - mruknęła.

Jen machnęła lekceważąco ręką.

- Znam cię lepiej, niż myślisz, Randall. Nie jestem taka głupia.

- Nigdy cię nie miałam za głupią, Jen. Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć.

Przez chwilę panowało napięte milczenie.

- Tak, masz rację - podjęła Jen. - Wiem. Zawsze byłaś lojalna. O mnie nie można tego chyba powiedzieć, co?

Leigh milczała. Wyczuwała, że Jen wcale nie chce usłyszeć odpowiedzi na to pytanie.

- Ale wyznam ci coś. Ja też kochałam się na zabój w Spencerze. Serce mi pękało, kiedy na was patrzyłam, nigdy jednak nie próbowałam ci go odbić. Przysięgam! Dopiero kiedy zerwałaś z nim po tamtej awanturze o Chapel Hill, uznałam, że jest do wzięcia.

- Do wzięcia - powtórzyła za nią bezwiednie Leigh.

- Właśnie. Poprosiłam go, żeby poszedł ze mną na uroczystość rozdania świadectw, a on, wiedząc, że ty idziesz z Tonym, zgodził się. Dodam, że bez szczególnego entuzjazmu. Potem, na dzień przed uroczystością, Mary Ann Burnett pokazała mi twój liścik. Podobno prosiłaś ją, żeby przekazała go Spencerowi. Nie wiem, dlaczego sama mu go nie dałaś.

- Bo musiałam zawieźć ojca na wizytę u lekarza do Hatteras i nie miałam czasu szukać Spencera. - Łzy napłynęły jej do oczu. Musiała przerwać.

- A Mary Ann, zamiast oddać list Spencerowi, przyszła z nim do mnie.

- Dlaczego?

- Chyba wiedziała, jak mi zależy na Spencerze, i że póki on jest z tobą, nie mam szans. Zresztą i tak miałaś wyjechać we wrześniu do Chapel Hill.

- Urodzona swatka - mruknęła Leigh.

- Słucham?

- Nie, nic. A ty wzięłaś od niej ten list i wyrzuciłaś go.

- Coś w tym rodzaju - przyznała Jen po chwili milczenia. -
Najpierw go przeczytałam. Pisałaś, że będziesz czekała pod latarnią morską. Poszłam do Spencera, żeby go... czymś zająć, bo gdyby poszedł do wioski, mógłby się tam na ciebie przypadkowo nadziać. Kiedy wyjeżdżałaś we wrześniu z Ocracoke, ja byłam już w drugim miesiącu ciąży.

Leigh siedziała jak ogłuszona.

- Przepraszam cię za to. Postąpiłam podle.

Leigh odchrząknęła.

- I pewnie udało ci się wmówić Spencerowi, że mnie wcale na nim nie zależy.

- Chyba tak. Ale następnego wieczoru na tańcach wciąż wodził za tobą oczami. Wcześniej odprowadził mnie do domu i powiedział, że z samego rana wypływa z ojcem w morze na połów. Wiedziałam, że kłamie.

- A potem jeździł bez celu po wyspie.

- Tak, i przypadkowo znalazł się w Creek, kiedy na dno poszła wasza łódź. Co było dalej, wiesz.

- Tak, wiem. - Leigh masowała skronie. Głowa jej pękała. -
Dlaczego mi to wszystko opowiadasz, Jen? Nie sądzisz, że to trochę za późno?

- Owszem, za późno. Ale nie chcę dźwigać dłużej tego brzemienia, Leigh. Wyrządziłam ci przecież straszną krzywdę...

- Moja najlepsza przyjaciółka!

Jen spuściła oczy. Drżały jej wargi.

- Tak - wyszeptała ochryple - twoja najlepsza przyjaciółka. - Popatrzyła w okno. - Nie proszę cię o wybaczenie, Leigh. To nie byłoby fair. Chcę tylko powiedzieć, że żałuję tego, co się stało. Dostrzegłam szansę zdobycia Spencera i zaryzykowałam w nadziei, że się uda. Myliłam się. - Wstała z fotela. - No, chyba wrócę do swoich obowiązków. Kochałam Sama i on o tym wiedział. Często go rozczarowywałam, ale zawsze był najważniejszą osobą w moim życiu, zaraz po Ja-miem. Kiedy tułałam się z małym z miasta do miasta, regularnie posyłałam mu pieniądze, a nie było mi łatwo.

- Wyobrażam sobie. Często myślałam, co robisz i jak dajesz sobie radę.

Jen spojrzała na nią zimnymi, zielonymi oczami.

- Dzięki, Leigh. Wracam jutro do Charlotte. Odbyłam dzisiaj ze Spencerem długą rozmowę.

Leigh nastawiła ucha. Zastanawiała się właśnie, gdzie na cały ranek zniknął Spencer.

- On ci wszystko powtórzy, powiem tylko, że wyperswadowałam mojemu mężowi zamiar złożenia wniosku o przysposobienie. Kocham Jamiego i chcę, żeby mieszkał ze mną. Ale ojca też musi poznać.

- Tak - przyznała Leigh.

- Zobaczymy, co z tego wyjdzie. - Jen ruszyła do drzwi. Przechodząc obok Leigh, zatrzymała się. - Już na ślubie wiedziałam, że przegrałam. Miał takie puste oczy. Kiedy urodził się Jamie, nie mogłam dłużej znieść ich spojrzenia. Musiałam odejść, bo inaczej

skończyłabym... sama nie wiem. Spencer wciąż cię kocha, Leigh.
Mam nadzieję, że tym razem wam się uda. - Z tymi słowami wyszła z sypialni.

Leigh opadła na poduszkę, zamknęła oczy i rozplakała się rzewnie.

RS

Leigh zamknęła się w łazience, by doprowadzić się do porządku po rozmowie z Jen. Umyła twarz i nałożyła nowy makijaż. Kiedy malowała usta, do drzwi ktoś zapukał. Zamarła.

- Leigh? - rozległ się głos Spencera. - Jesteś tam?

Nie odpowiedziała, i w chwilę potem odszedł. Odczekała minutę, a później przemknęła się do swojej sypialni. Gdy w końcu zeszła na dół, nikogo już nie było. Zostały tylko kobiety w kuchni.

- Gdzieś ty się podziewała? - ofuknęła ją Trish. - Ludzie o ciebie pytali, chcieli się pożegnać. Spencer cię wszędzie szukał.

- Położyłam się. Byłam zmęczona. Trish popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- A przy okazji - zmieniła temat - jutro przyjeżdża moja siostra. Może wpadniesz do mnie na mrożoną herbatę i ciasteczka? Powiedzmy, po południu?

Leigh kiwnęła głową.

Zamknawszy drzwi za ostatnim gościem, pomaszerowała prosto do łóżka. Była dopiero ósma, ale dawały o sobie znać przeżycia ostatnich dwóch dni. Kiedy gasiła lampę, zaświergotał telefon, który zostawiła na dole, nie miała jednak siły, by zwlec się z łóżka.

Nazajutrz obudził ją aromat świeżo zaparzonej kawy. Przekonana, że to Spencer, zeszła na palcach na dół i policzywszy do pięciu, wkroczyła do kuchni.

Przy blacie, plecami do drzwi, stała jej rzekoma matka. Leigh zdębiała.

- Janet! - wykrztusiła.

Kobieta odwróciła się gwałtownie. Na widok Leigh odetchnęła z ulgą.

- Ale mnie przestraszyłaś! - powiedziała z uśmiechem.

- Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, że wracasz? - spytała Leigh.

- Próbowałam. Telefonowałam kilka razy, ale nikt nie odbierał.

- To ty dzwoniłaś wczoraj wieczorem?

- Wczoraj wieczorem? Tak, chyba tak. Dobrze się czujesz, kochanie? Żle mi wyglądasz. Urządzałaś przyjęcie? Zauważyłam te stosy talerzy na stole w jadalni.

Leigh usiadła i przetarła oczy.

- Stypę.

Janet poderwała dłonie do twarzy.

- Wielkie nieba! Chyba nie Spencer?

Dreszcz przebiegł Leigh po plecach. Dlaczego właśnie o nim pomyślała? Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Janet spytała:

- Napij się kawy?

- Poproszę - odrzekła Leigh i kiedy Janet stawiała przed nią parujący kubek, dodała: - Sam umarł.

- Sam Logan? - Janet ściągnęła brwi.

- Dziadek Sam. Opowiadałam ci o nim.

- Ojej! - Janet zrobiła smutną minę. - Tak mi przykro. To straszne. Pewnie jesteś przybita.

Leigh zamieszała kawę, upiła łyczek i natychmiast przeszła do rzeczy.

- Słuchaj, Janet, telefonowano do mnie wczoraj z Ośrodka Adopcyjnego w Raleigh. Wszystko wskazuje na to, że dzwoniłaś tam, podając się za Ellen.

Janet osunęła się na krzesło naprzeciwko Leigh i zakryła oczy dłońmi. Była wyraźnie wstrząśnięta. Po chwili sięgnęła po szklanekę wody stojącą pośrodku stołu.

- Nalałam sobie przed minutą - wyjaśniła. - Do popicia tabletki.

Leigh milczała.

Janet spojrzała na nią błyszczącymi oczami.

- Źle zrobiłam - zaczęła. - Powiem ci, że wyjeżdżałam stąd przed kilkoma dniami załamana. Wiedziałam, że zaczynasz podejrzewać, że nie jestem tą, za którą się podaje, i nie mogłam tego znieść. Widziałam, że się ode mnie oddalasz i z każdym dniem zbliżasz coraz bardziej do tego Spencera.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, co cię gnębi?

Janet odetchnęła głęboko.

- Próbowałam.

- A po co dzwoniłaś do ośrodka?

- Nie wiem, co mi wpadło do głowy. Czasami coś robię, i nie wiem, po co ani dlaczego. Przed wyjazdem do domu przypomniałam sobie o tym piśmie z Ośrodka Adopcyjnego, o którym mi wspominałaś. Mówiłaś, że leży w tej samej walizce co kocyk w kaczuszki. Postanowiłam wypożyczyć sobie na wszelki wypadek to

pismo. Pomyślałam. .. - urwała, żeby popić wody - że jeśli będę je miała, to w ośrodku prędzej mi uwierzą, że jestem Ellen Randall. Bo widzisz, chciałam od nich wydobyć fotokopię mojego listu sprzed lat i pokazać ci ją na dowód, że naprawdę jestem twoją matką.

Leigh pokręciła głową.

- To bez sensu.

- Wiem - zapewniła ją skwapliwie Janet. - Ale tak, niestety, pracuje mój umysł.

- Nadal nie rozumiem, co chciałaś osiągnąć, podszywając się pod Ellen.

- Wszystko przez tę biurokrację! - wykrzyknęła Janet, pochylając się nad stołem. - Ośrodek Adopcyjny nie wydałby mojego własnego listu mnie, ale wydałby go Ellen Randall. Chciałam tylko zdobyć jego kopię. Pokazałabym ci ją i w ten sposób udowodniła, że naprawdę... jestem twoją matką.

Janet zaczęła cicho szlochać, osuszając chusteczką kąciki warg i oczy.

Leigh musiała przyznać, że w tym tłumaczeniu jest jakaś logika. Zresztą dowody, jakie do tej pory przedstawiła jej Janet, też były bardzo przekonujące. Tylko garstka najbliższych z Ocracoke wiedziała o kocyku i jej imieniu. Jednak coś nadal jej tu nie grało.

- Dlaczego używasz przybranego nazwiska? - zapytała po chwili. Janet uniosła brwi.

- Nazwisko zmieniałam wiele lat temu, kochanie - odparła. - Po odejściu od męża. To był brutal. - Urwała. - Och, byłabym zapomniała. Przywiozłam ci coś.

Pogrzebała w torebce i podała Leigh zniszczoną kolorową fotografię. Zdjęcie przedstawiało bardzo młodą Janet, stojącą na półkolistym podjeździe przed wielkim domem w kolonialnym stylu. Na rękę trzymała niemowlę owinięte w bladobłękitny kocyk.

Kobietą była bez wątpienia Janet, ale dziecko... widać było tylko kępkę czarnych włosków i drobną, pomarszczoną, czerwonawą buzię.

- Kazałam je sobie zrobić w dniu, kiedy cię oddawałam. Ten dom to schronisko dla samotnych matek. Tam się urodziłaś. Widzisz sama, że nie wyglądam na szczęśliwą.

Leigh jeszcze raz przyjrzała się fotografii. Nie wiedziała już, w co ani komu wierzyć. Odłożyła zdjęcie i spojrzała na Janet.

- Zostałabyś u mnie jeszcze kilka dni? - spytała. Twarz Janet pojaśniała.

- Bardzo bym chciała. A tę fotografię zatrzymaj. Schowaj ją gdzieś dobrze.

- Tak zrobię. A przy okazji, Evan ma kupca na ten dom, a więc przez najbliższe dni może tu być spore zamieszanie. Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzało.

- Najważniejsze, że jestem z tobą. - Zawahała się. -A co tam ze Spencerem i z tym jego synem?

Leigh spuściła wzrok na pusty już kubek.

- Wszystko w porządku. Jamie zostanie prawdopodobnie oczyszczony z zarzutu podpalenia. W końcu opowiedział, jak było. Za parę dni idą ze Spencerem do sędziego złożyć wyjaśnienia. Gdyby nie śmierć Sama, już by to zrobili.

- A więc rzadko będziemy ich widywały? - spytała cicho Janet.

Leigh wstała i odstawiła kubek na blat.

- Na to wygląda - odparła, usiłując nadać głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie. - Gdzie twoja walizka?

- Na werandzie - odrzekła Janet z uśmiechem.

- To zabierz ją stamtąd i zanieś na górę. Ja tymczasem wezmę prysznic i ubiorę się. Później zastanowimy się, jak to uczcić.

Janet zabłysły oczy.

- Cudownie, kochanie. Po prostu cudownie. - Podeszła do Leigh i uścisnęła ją serdecznie.

Dopiero po lunchu Leigh przypomniała sobie, że Trish zapraszała ją na herbatę. Poranek upłynął spokojnie. Leigh zadzwoniła do Evana, ale go nie zastała. Kiedy wspomniała Janet o zaproszeniu na herbatę, ta odwróciła wzrok.

- Idź, kochanie. Ja zostanę. To twoje przyjaciółki, źle bym się czuła w ich towarzystwie.

Leigh zrobiło się jej żal, zadzwoniła więc do Trish, przeprosiła i powiedziała, że nie może przyjść, bo coś jej wypadło. Słyszając wyraźny zawód w głosie Trish, pod wpływem impulsu, bez konsultacji z Janet, umówiła się z nią i z Faye na lunch następnego

dnia. Po południu, gdy wiadomo już było, że nie zadzwoni ani Spencer, ani Evan, postanowiła wybrać się na spacer.

- Pójdiesz ze mną? - zwróciła się do Janet. Ta pokręciła głową.

- Dla mnie jest za gorąco, kochanie. Nie zapomnij kapelusza.

Leigh wyszła tylnymi drzwiami i ruszyła przez podwórko za domem w stronę wydm. Nogi same zaniósły ją do małej enklawy na skraju moczarów, gdzie stał dom Spencera. Spencer klęczał przy pikapie zajęty zmianą koła. Nie zauważył jej. Przystanęła za nim.

- Cześć, Spencer - powiedziała.

Musiał chwycić się zderzaka, żeby się nie przewrócić. Wstał i odwrócił się twarzą do niej.

- Co ty tu robisz? - wykrztusił. - Stało się coś?

- Nie, nic. Spacerowałam i pomyślałam sobie, że wpadnę.

- Chodźmy może do cienia. - Wziął ją za łokieć i poprowadził wąską ścieżką na tyły domu. - Zaczekaj tutaj, wyniosę jakieś krzesła.

- Chyba nie w porę przyszłam. Widzę, że jesteś zajęty. Może wpadnę kiedy indziej.

Przyciągnął ją do siebie i spojrzał w oczy.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał. - I wychodzisz z moczarów jak... jak...

- Potwór z bagien? Pokręcił głową.

- Jak bogini - wymruczał i pochylił głowę, żeby ją pocałować.

Odwróciła głowę w bok.

- Nie, Spencer. Proszę. Nie tutaj. Jamie... Odsunął się.

- Nie ma go tu - powiedział zduszonym głosem. - Pojutrze idziemy znowu do sądu. Puściłem go do kina do Hatteras. Ale masz rację. W środku będzie bezpieczniej.

- Nie, muszę już wracać - zaprotestowała. - Właściwie to przyszedłem z tobą porozmawiać, przeprosić za moje zachowanie na stypie. - Na twarzy Spencera odmalowało się zdziwienie. - Szukałeś mnie, a ja siedziałam w łazience-wyznała.

Opadł na ławeczkę przy drewnianym stole. Usiadła obok niego.

- Rozmawiałam z Jen i... źle się poczułam. Nie chciałam, żebyś mnie widział w takim stanie.

- Co ci powiedziała?

- Sporo. Głównie o wydarzeniach poprzedzających bezpośrednio dzień rozdania świadectw. Przeprosiła mnie.

- Przeprosiła?

- Za to, że wyrzuciła list.

- Ten, o którym mi niedawno mówiłaś? Który miała mi oddać Mary Ann?

Leigh kiwnęła głową.

- Mogłam się domyślić, że Jen maczała w tym palce. To do niej podobne. Powiedziała mi również, jak cię zatrzymała, kiedy ja czekałam pod latarnią morską.

Spencer spojrział na nią.

- Zapewniam cię, że to był jedyny raz, kiedy... Ty byłaś pierwsza, Leigh. Byłaś pierwszą kobietą, z którą się kochałem. Nie patrz tak na mnie. To prawda. Wiem, co mówią w wiosce. Zanim

ciebie poznałem, chodziłem z wieloma dziewczynami, ale z tobą kochałem się pierwszy raz w życiu.

- A potem z Jen.

Przetarł dłońmi twarz.

- Tak. Chyba powinienem się jakoś z tego wytłumaczyć, ale szczerze mówiąc, nie potrafię. Po prostu dałem się uwieść. Byłem przekonany, że ty już mnie nie chcesz.

- I jak spod ziemi zjawiała się Jen, żeby cię pocieszyć.

Spencer pokręcił powoli głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

Leigh położyła mu dłoń na ramieniu.

- Spencer, to było dawno temu. Oboje byliśmy głupi, dumni i uparci. Zamknijmy raz na zawsze ten rozdział.

Spencer chwycił ją za rękę i spojrzał z napięciem w oczy.

- Naprawdę tego chcesz, Leigh? Potrafisz? Uśmiechnęła się ubawiona jego wybuchem.

- Potrafię. Kiedy to powiedziałam, od razu lżej mi się zrobiło na duszy.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Nawet nie wiesz, jaki mi spada z serca kamień, kiedy to słyszę od ciebie. Przestańmy żyć przeszłością. - Pocałował ją w czubek nosa.

- Myślmy o przyszłości.

Przyszłość. Leigh przypomniała sobie o Janet czekającej na nią w domu.

- Co do przyszłości... - zaczęła.

Spencer uciszył ją pocałunkiem.

- Daj mi drugą szansę, Leigh - wyszeptał. - Niczego więcej nie pragnę.

Przywarł wargami do jej szyi. Gdy Leigh odepchnęła go delikatnie, uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

- Janet wróciła - mruknęła. Z miejsca otrzeźwiał.

- Kiedy?

- Dziś rano, kiedy jeszcze spałam.

- No i?

- Co „no i”? - Udawiała, że nie rozumie.

- Spytałaś ją o to fałszywe nazwisko?

- Tak. Powiedziała, że zmieniła je przed wielu laty, żeby uciec przed mężem brutalem.

- Bzdura.

- Dlaczego? Prześladowane przez mężów kobiety często tak robią.

- No właśnie. Miała gotową historyjkę. Nie musiała się nawet wysilać z wymyślaniem nowej.

Leigh wstała.

- Nie rozumiem, czemu jesteś do niej taki uprzedzony. Jakiego dowodu ci trzeba, żebyś uwierzył, że jest moją matką?

Przymrużył oczy.

- A powiedz mi, jaki konkretny dowód ci przedstawiła. No? Wymień choć jeden.

Leigh dygotała ze wzburzenia.

- Wymieniłam ci kilka, Spencer. Nie słuchałeś? Kocyk.

Pochodzenie mojego imienia. Dzisiaj pokazała mi nawet swoją fotografię z dnia, kiedy mnie oddawała. Trzyma mnie na niej na ręku.

- A skąd wiesz, że to ty? Na zdjęciach wszystkie dzieci wyglądają tak samo.

- No nie! Znowu się zaczyna!

- Bo sprawa wciąż nie jest wyjaśniona, Leigh.

- Ona musi być moją matką. Bo skąd znalazły te wszystkie historie?

Spencer wzruszył ramionami.

- Znają je chyba wszyscy na Ocracoke.

Leigh poczuła, że zaczyna jej drżeć broda. Łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła głowę.

- Pozwól, że sama będę się martwiła o Janet Bradley. Sama to wyjaśnię. Obiektywnie.

Nie patrzyła na niego, ale słyszała, jak mruczy:

- To wcale nie jest zabawne, Leigh. Ta twoja Janet Bradley to jakaś psychopatka. Mam nadzieję, że przejrzysz na oczy, zanim stanie się coś złego.

Leigh spojrzała na niego. Patrzył na majaczący w oddali port. Wstała i bez słowa pożegnania ruszyła w stronę wydm.

- Zaczekaj - powiedział przytłumionym głosem. -Odwiozę cię.

- Wolę się przejść. Przewietrzyć głowę.

- Proszę cię, uważaj na siebie. Nie wiadomo, co z tej Janet za jedna. Może być...

- Obłąkana? Niebezpieczna? - fuknęła Leigh. -Spencer, to
Ocracoke, nie Nowy Jork! - zawołała i zniknęła za węglem domu.

RS

Evan nie był zachwycony, ale zgodził się przeciągnąć o dwa dni negocjacje z ludźmi, którzy chcieli kupić jej dom.

- Mam nadzieję, że kiedy wszystko już będzie dogadane, nie zmieni pani frontu i nie oznajmi, że go nie sprzedaje - powiedział, pociągając nosem.

Leigh wcale nie była pewna, czy tak się nie stanie i miała poczucie winy wobec Evana przez co najmniej pół godziny. Do chwili, kiedy znalazła chustę Spencera.

Przy śniadaniu poprosiła Janet o zwrot pisma z Ośrodka Adopcyjnego.

- Ojej, całkiem wyleciało mi z głowy. Jest na górze w mojej sypialni. Chyba w torebce. Przynieść?

Ale Leigh szła właśnie do łazienki, powiedziała więc, że sama je po drodze weźmie. Torebka Janet leżała na nie posłanym łóżku. Leigh rozejrzała się po pokoju. Janet nie rozpakowała się, choć miała tu zostać kilka dni. Zamknięta walizka stała w kącie.

Gdy podniosła torebkę, zaskoczył ją jej ciężar. Torba była średniej wielkości i miała dwie główne przegródki, każda zamykana na osobny złoty zatrzask. W pierwszej pisma nie było. Leigh znalazła w niej zniszczony portfel, szczotkę do włosów, szminkę, fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi i złożony starannie wycinek z gazety, który Janet pokazała jej, gdy się tu przed tygodniem zjawiała.

Otworzyła drugą przegródkę i ujrzała tam mapę drogową Outer Banks, rozkład rejsów promu, paczkę chusteczek higienicznych, powieść kieszonkową, torebkę miętówek oraz białą kopertę z pismem z ośrodka. Chciała ją wyjąć, ale koperta zaczepiła się o coś spoczywającego na dnie przegródki. Leigh wsunęła tam rękę i namacała miękki materiał. Wyciągnęła bandanę Spencera.

Przez chwilę miała pustkę w głowie. Odnosiła wrażenie, że nie zdając sobie z tego sprawy, uczestniczy w jakiejś grze. Przysiadła na krawędzi łóżka i spróbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała tę chustę. Ach, tak. W dniu, w którym jechała ze Spencerem do Hatteras. Położyła ją wtedy na stoliku w holu, ale w końcu zapomniała mu oddać. Jakiś czas później zauważyła jej brak i uznała, że sam ją zabrał. Okazało się, że zrobił to ktoś inny. Ale dlaczego?

- Znalazłaś, kochanie? - spytała Janet, kiedy Leigh z listem i chustą w ręku weszła do kuchni. Stała plecami do drzwi i kończyła zmywać naczynia po śniadaniu.

- Tak. I znalazłam coś jeszcze.

Janet odwróciła się i spojrzała na Leigh, a potem na chustę w jej wyciągniętej ręce.

- Och - powiedziała tylko.

- Skąd ją masz, Janet?

- Słuchaj, kochanie, to nie tak, jak myślisz. - Wytarła ręce w ścierkę i usiadła przy stole. - W dniu, w którym tu przyjechałam, dom był otwarty dla zainteresowanych jego kupnem. Oczywiście, nie wiedziałam o tym. Adres podał mi sprzedawca z jednego sklepu w

wiosce. Kiedy tu podjechałam, pod domem stało kilka samochodów, ludzie wchodzili i wychodzili. Uznałam, że nie wypada zwać ci się na głowę w takim zamieszaniu.

- Zaczekałaś więc, aż wszyscy sobie pójda?

- Tak, ale nie wiedziałam, że nie ma cię w domu. Pukałam chyba z kwadrans. Potem pomyślałam, że jesteś może na podwórku. Drzwi nie były zamknięte, otworzyłam je więc i zawołałam. Ale nikt mi nie odpowiedział.

- I co dalej?

Janet pokręciła głową.

- Byłam strasznie zawiedziona. Tak się nastawiłam na to spotkanie, a ciebie nie ma. Weszłam do holu, żeby zostawić ci karteczkę z wiadomością, ale szybko odrzuciłam ten pomysł. Nie pisze się karteczki do odnalezionej po latach córki.

Chciałam już wyjść i nagle zobaczyłam tę chustę na stoliku w sieni. Byłam tak spragniona kontaktu z tobą, że ją wzięłam. Żeby mieć coś twojego! - podniosła głos. - Tej nocy spałam z nią. Włożyłam ją sobie pod poduszkę. Chciałam ci ją oddać, ale kiedy się wreszcie spotkałyśmy, byłaś tak miła, że nie mogłam znieść myśli, że możesz stracić do mnie szacunek. Nie chciałam, żebyś się dowiedziała, że ją zabrałam.

Coś powstrzymało Leigh przed poinformowaniem jej, że chusta należy do Spencera. Wyjaśnienie Janet było wiarygodne, lecz nie do końca.

- Czy chodziłaś po domu? Piłaś kawę w kuchni? Janet wyprostowała się na krześle.

- Boże, za kogo ty mnie uważasz?

- Janet, mam nadzieję, że w przyszłości nie będziesz przede mną niczego ukrywała. Przyjaźni nie buduje się na tajemnicach.

- W zupełności się z tobą zgadzam, Leigh. Obiecuję, że odtąd nie będę miała przed tobą żadnych tajemnic.

Leigh wepchnęła chustę do kieszeni džinsów i ruszyła do drzwi.

- Aha, byłabym zapomniała. Jesteśmy dzisiaj zaproszone na lunch z Trish i jej siostrą Faye. Drugi raz już się nie wykręcę. Pójdiesz ze mną, prawda?

- Oczywiście, kochanie - odparła Janet, nie podnosząc głowy.

Chowając bandanę do szuflady w swej sypialni, Leigh wróciła myślami do wczorajszej sprzeczki ze Spencerem na temat Janet. Po dzisiejszym incydencie z chustą zaczynała dochodzić do wniosku, że jego podejrzliwość wobec tej kobiety ma jednak podstawy. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Gdzie leży prawda? Fakt, w opowieści Janet było wiele znaków zapytania. Ale dlaczego miałyby wkraczać w jej życie i podawać się za jej matkę, gdyby nią nie była? Co mogła na tym zyskać, zważywszy, że ani razu nie poprosiła jej o pieniądze? Pożyczony samochód zwróciła.

Owszem, nie da się ukryć, że zachowanie Janet odbiega czasami od normy. Że zdarza jej się działać pod wpływem impulsu, w skrytości. Ale wszystko, co robi, wypływa z serca.

Leigh gotowa była ją zaakceptować. Musi tylko przekonać do niej Spencera, bo tylko wtedy będzie można mówić o drugiej szansie, o której wczoraj wspominał.

Odwróciła się od lustra, sięgnęła po telefon i zaciskając kciuki, wykręciła domowy numer Spencera. Odebrał Jamie.

- Nie ma go, Leigh.

- Wyplłynął w morze? - spytała rozczarowana.

- Nie. Poszedł do chaty dziadka popakować rzeczy i posprzątać.

Właśnie wybieram się tam, żeby mu pomóc. Przekazać coś?

- Nie, nie trzeba, Jamie. Jestem umówiona na lunch, ale może wpadnę tam później. A co u ciebie?

- Wszystko w porządku. Wiesz co? Mój ojczym nie będzie się ubiegał o przysposobienie. A Shane przyznał się do wszystkiego na policji, więc jestem czysty.

- To wspaniale, Jamie.

- Dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłaś, Leigh.

- Jamie, ja nic nie zrobiłam.

- Wysłuchałaś mnie.

- Lubię cię słuchać, Jamie, a więc nie był to z mojej strony żaden wysiłek i... i mam nadzieję, że pod koniec tego lata będziemy już dobrymi przyjaciółmi.

- To znaczy, że jeszcze nie wyjeżdżasz?

- Jeszcze nie.

- Super! Powiem tacie. Ucieszy się, jak nie wiem co. - Jamie zawiesił na chwilę głos. - Zaraz, chyba nie powinienem ci tego mówić.

- Dobrze, że powiedziałaś. Obudziłaś we mnie nadzieję. No to miłego popołudnia i do zobaczenia.

- Do zobaczenia. Aha, Leigh!

- Tak?

- My już jesteśmy przyjaciółmi.

Leigh, odkładając telefon, uśmiechała się do siebie.

- Janet? - Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami sypialni. - Janet, musimy już iść.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uchylła drzwi i zajrzała. Zasłony w oknach były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok. Wzgórek na łóżku poruszył się.

- Janet? Dobrze się czujesz?

- Och, już idziemy? - wyszeptała Janet. - Tak strasznie boli mnie głowa.

Leigh zmarszczyła czoło. Skąd ja to znam?

- Dać ci coś?

- Nie, kochanie. Wzięłam już tabletki i teraz muszę tylko poleżeć w ciemnym pokoju. Przepraszam, że znowu sprawiam ci kłopot. Mam nadzieję, że nie będziesz musiała odwoływać przeze mnie tego spotkania.

- Nie. - Leigh westchnęła. - Niedługo wrócę. - Zamykała już drzwi, kiedy dobiegł ją zbolący głos Janet:

- Kochanie, wyświadczysz mi przysługę?

- Jaka?

- Nie mów o mnie. Nie chcę, żeby ludzie się za mną oglądali, kiedy będę w wiosce. Cenię sobie prywatność. Opowiesz o mnie przyjaciółkom, kiedy wyjadę.

Leigh nie miała nic przeciwko temu, by Janet wreszcie się zdecydowała. Zaledwie kilka dni temu miała do niej pretensje, że nie przedstawiła jej Trish jako swojej biologicznej matki.

- Jak chcesz, Janet. Aha, gdyby wpadł Spencer, powiedz mu, że przyjdę później do chaty Sama, dobrze? Chcę mu tam pomóc w sprzątaniu.

- Powiem - stęknęła Janet po chwili milczenia. -Baw się dobrze, kochanie.

Na wszelki wypadek Leigh postanowiła zostawić Spencerowi wiadomość. Kartkę przykleiła od wewnętrznej strony drzwi wejściowych, które zostawiła uchylone, i pojechała do Trish.

Spencer zrobił jeszcze jeden obchód po uprzątniętej w pocie czoła chacie, po czym zamknął drzwi, wsiadł do samochodu i pojechał do Wichrowego Dworku. Jamiemu zostawił karteczkę z wiadomością, że nie jest już potrzebny i może iść do kolegów.

- Nie ma jej? - pytał zaskoczony wkrótce potem. Janet Bradley pokręciła współczująco głową.

- Przykro mi, ale umówiła się na lunch z przyjaciółkami z wioski.

- Orientuje się pani, kiedy wróci?

- Nie, ale wspominała, że po lunchu wybierze się może do Hatteras do tej agencji obrotu nieruchomościami. Dzwonili stamtąd, że wpłynęła interesująca oferta kupna domu.

Spencer odwrócił głowę. Nie chciał, żeby Janet wyczytała z jego twarzy, co teraz czuje. Zaklął w duchu. Zatelefonowałby do tego agenta, ale nie znał nawet jego nazwiska, a wątpił, żeby Janet była lepiej od niego poinformowana. Jak skontaktować się z Leigh, zanim ta podpisze umowę sprzedaży domu? Spojrzał znowu na stojącą za siatkowymi drzwiami kobietę.

- I nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości?

- A byliście umówieni?

Spencer wzruszył ramionami. Czuł się jak idiota. Co kazało mu przypuszczać, że Leigh będzie siedziała murem w domu i czekała, aż łaskawie się zjawi? Pacnął otwartą dłonią we framugę.

Spłoszona Janet odskoczyła od drzwi.

- Matko Boska! - krzyknęła.

Spencer wziął głęboki oddech. Spokojnie, stary. Weź się w garść i nie strasz kobiety.

- Przepraszam - mruknął. - Zna pani może nazwisko tego agenta z Hatteras? Tego Evana?

- Przykro mi, ale nie.

- No trudno. Zrobimy więc tak. Jeśli Leigh wróci do domu albo zatelefonuje, proszę jej przekazać, że chcę się z nią widzieć i czekam dziś wieczorem w chacie Sama. Powiedzmy, o dziewiątej. - Urwał. -

Bo widzi pani, zaplanowałem taką romantyczną kolację we dwoje.
Chcę omówić z Leigh parę spraw.

Janet uśmiechnęła się.

- Rozumiem.

- A gdyby zadzwoniła, to proszę jej powiedzieć, że pojechałem za nią do Hatteras do tego Evana. I niech jej pani powie, żeby przed rozmową ze mną nie podpisywała żadnych dokumentów. Że to... sprawa życia i śmierci.

Janet zmarszczyła czoło.

- Aż tak?

- Dla mnie tak. Pamięta pani? Może pani zapisać?

- Nie trzeba. Pamięć, dzięki Bogu, mam dobrą. Wsiadając do pikapu, Spencer nie mógł pozbyć się wrażenia, że zadanie, którym obarczył Janet, okaże się ponad jej siły. Wrzucił wsteczny bieg i wycofał samochód z podjazdu.

Telefon zadzwonił właśnie w tym momencie, kiedy wyjeżdżał z podjazdu na drogę. Janet zamknęła drzwi, schowała do kieszeni sukienki karteczkę, którą Leigh zostawiła dla Spencera, i pomaszerowała do kuchni.

- Przykro mi, ale poszła na lunch - poinformowała chłopca, który zapytał o Leigh.

- Ojej - zmartwił się chłopiec.

- Coś przekazać?

- Tak. Aha, tu Jamie McKay, syn Spencera McKaya. Mam dla taty wiadomość i nie mogę się z nim skontaktować, bo jest w domu dziadka, a tam nie ma telefonu.

- Twój ojciec tu był. Szukał Leigh. Właśnie wyszedł.

- Powiedział może, dokąd się wybiera?

- Mówił, że ma coś do załatwienia w Hatteras.

- W Hatteras? O wpół do drugiej byliśmy umówieni u dziadka. Janet spojrzała na zegarek.

- To się spóźniłeś. Już jest wpół do drugiej.

- Wiem, w tym właśnie problem. Bo widzi pani, dzwonił nasz prawnik. Chce się z nami dzisiaj spotkać. Nie wiem, co teraz robić...

- Może sam do niego idź.

- Chyba tak zrobię. Czy może pani powiedzieć tacie, gdzie jestem, gdyby tam jeszcze zajrzał? Albo Leigh, jak wróci? Dobrze?

- Dobrze, przekażę. Mam powiedzieć, że nie przyjdiesz do dziadka, tak?

- Tak. Czekam na tatę w domu.

- Rozumiem. Przekażę.

Janet z uśmiechem odłożyła telefon na stół. Jeśli będzie trzymała się ściśle planu, może się udać. Pozbyła się Spencera, pozbyła się Jamiego. Sam Logan - świeć, panie, nad jego duszą - przeniósł się do lepszego świata. Wkrótce będzie miała córkę tylko dla siebie. Tak jak chciała.

Leigh pamiętała doskonale chwilę, w której postanowiła złamać daną Janet obietnicę.

Skubiąc placek z truskawkami i sącząc mrożoną kawę, słuchała ze znużeniem wspominek Trish i Faye o każdym, kto kiedykolwiek mieszkał i wyjechał z Ocracoke. Szkoła na wyspie była mała, klasy mieściły się w jednym budynku i wszyscy się tam znali, tak więc, omówiwszy losy kolegów i koleżanek ze swoich klas, siostry wspominały klasę Leigh. Leigh niewiele się odzywała, nie obruszała się też na mało subtelne napomknienia o „tej strasznej tragedii” i o poczciwym Samie Loganie, który zmarł bez centa przy duszy.

Zacisnęła zęby i zdobyła się na uśmiech, kiedy Trish pochwaliła ją za to, że wybaczyła Jen Logan.

- Od lat mówiło się o tym na wyspie - oznajmiła Trish. - Wszyscy wiedzieli, że wzięła Spencera na celownik. I wcale się nie zdziwiłam, kiedy doszło do mnie, że Mary Ann też miała w tym swój udział.

Wygląda na to, że ja dowiedziałam się ostatnia, pomyślała Leigh. Pokrzepiający był fakt, że ani ją to teraz ziębi, ani grzeje. Faye mówiła o wiele mniej od Trish. Dłużej niż Leigh mieszkała poza Ocracoke i pytana, jak jej się teraz żyje, odpowiadała dziwnie wymijająco.

Później, kiedy Leigh pomagała Trish zmywać w kuchni naczynia, ta, ścisząc głos, by nie dotarło to do uszu siostry, powiedziała:

- Szkoda mi tej Faye. Nie wiem, czy słyszałaś, ale biedaczka jest od dwudziestu lat częstym gościem szpitali psychiatrycznych.

Leigh była wstrząśnięta.

- Chroniczna depresja. Zawsze była jakaś zamknięta w sobie. Myśleliśmy, że to nieśmiałość - ciągnęła Trish, krzątając się po kuchni. - Nie mówimy o tym publicznie, po co ludzie mają ją wziąć na języki. Od roku jest na jakichś nowych lekach i mamy nadzieję, że już tam nie wróci.

- Zamieszka z tobą?

Trish poderwała głowę znad zlewu.

- Boże uchowaj! Ma przyjemne mieszkanko w Elizabeth City, zaraz przy szpitalu. No wiesz, na wypadek nawrotu.

Zabrały szklanki napełnione na nowo mrożoną kawą i wyszły z nimi do siedzącej na werandzie Faye. Coś w bladej twarzy kobiety przyciągnęło wzrok Leigh.

- Coś wam teraz powiem - oznajmiła Leigh, siadając między siostrami. I machając ręką na prośbę Janet, opowiedziała im wszystko.

Zaskoczone, zasypały ją jedna przez drugą pytaniami. Leigh uciszyła je podniesieniem ręki.

- Nie obie naraz —poprosiła.

- To ta kobieta, którą mi niedawno przedstawiłaś jako starą przyjaciółkę rodziny? - spytała Trish. -

I mówisz, że ona nie potrafi tego udowodnić?

- Nie ma dowodu na piśmie, ale zna każdy szczegół związany z moją adopcją. Wie nawet o kocyku, w który byłam zawinięta.

- Kocyk w kaczuszki - mruknęła Faye.

- Ty też o nim wiesz?

- Pokazałaś mi go, gdy miałaś sześć czy siedem lat.

- Czy był w skórzanej walizce?

Faye zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam, gdzie był. Chyba leżał na półce w szafie. Wiem, że co wieczór, kładąc się spać, zabierałaś go z sobą do łóżka. Rodzice próbowali cię od tego odzwyczaić. - Roześmiała się. - Pamiętam, jak raz twoja mama powiedziała mi, że go wyprała i schowała, i poprosiła, żebym mówiła, że nie wiem, gdzie jest, kiedy będziesz o niego pytała.

- No więc to był kocyk, w którym oddała mnie do adopcji moja biologiczna matka. A Janet opisała mi go dokładnie, zanim wyjęłam go z walizki.

- To wprost niewiarygodne! - wykrzyknęła Trish. Leigh uśmiechnęła się.

- Też tak myślę.

- A wiedziała, że przywieziono cię ze szpitala do domu z tą karteczką z imieniem przypiętą do śpioszków? - spytała Faye.

- Wielkie nieba! Pierwsze słyszę! - Zawołała Trish.

- Skąd o tym wiesz, Faye?

- Jak to skąd? Od Leigh, ma się rozumieć. Bawiłyśmy się czasami w „adopcję”. Pamiętasz, Leigh?

Leigh uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Tego akurat nie pamiętam, ale na pewno wiele ci opowiadałam. No i same powiedzcie - ciągnęła - gdyby Janet nie była moją matką, to skąd by wiedziała takie rzeczy? Nigdy wcześniej nie była na Ocracoke. A nawet gdyby przyjechała tu kiedyś w przeszłości jako

turystka, to i tak mało prawdopodobne, żeby ktoś jej o tym opowiedział, bo te szczegóły znały tylko Faye i Jen.

- I co teraz zamierzasz, Leigh? Nadal tak ci zależy na sprzedaży domu? - W oczach Trish pojawił się błysk.

Masz teraz okazję poinformować o swoich planach całą wioskę, pomyślała Leigh. Oszczędzisz sobie fatygi wprowadzania w nie każdego z osobna.

- Jeszcze nie wiem, Trish. Przede wszystkim muszę lepiej poznać Janet. Mieszkam i pracuję w Nowym Jorku, ale chciałabym spędzać tu przynajmniej letnie urlopy. Podtrzymywać stare przyjaźnie, że tak powiem.

Trish poklepała ją po ramieniu.

- Bardzo dobrze. Tak trzymać.

Faye uśmiechała się i bawiła łyżeczką.

- Jak ta Janet wygląda? - spytała w pewnej chwili. Leigh zastanowiła się.

- Mojego wzrostu, karnację ma taką jak ja, ale podobne do siebie nie jesteśmy.

- Może wrodziłaś się w ojca - odpowiedziała Trish. - Mówiła ci coś o nim?

- Nie, w ogóle o nim nie wspomina. Z tego, co wiem, zaszła w ciążę w bardzo młodym wieku i rodzice wyrzucili ją z domu. Nie chcę teraz naciskać, bo za krótko się znamy. Ale z czasem muszę ją dokładniej o to wypytać.

- Kiedy mogłabym ją zobaczyć? - spytała Faye.

- Może wpadniecie jutro rano na kawę? Zrobimy jej niespodziankę. - Nie wykręci się już bólem głowy, pomyślała Leigh. - Ale mam przy sobie jej fotografię, Faye. Stoi na niej ze mną na rękę przed domem, w którym się urodziłam.

Leigh schyliła się po torebkę.

- O, proszę. Mnie mało co widać, ale Janet wyszła dobrze. Niewiele się zmieniła. Jest tylko starsza.

Podawała zdjęcie Faye, a potem sięgnęła po szklanę. Najchętniej już by wyszła. Tęskniła za Spencerem.

- Ja ją znam.

Leigh spojrzała ze zdumieniem na Faye.

- Co?

- Tyle że ona nie nazywa się Janet Bradley.

- Wiem... wiem, że nie - wyjąkała Leigh. - Zmieniła przed laty nazwisko. Ale...

- To Mary Boone. Tak, to ona. Wszędzie bym ją poznała.

- Co ty, Faye! - Trish zachichotała nerwowo. - Skąd mogłabyś znać matkę Leigh?

- Ona nie jest matką Leigh. To Mary Boone. Blisko trzy lata mieszkaliśmy w jednym pokoju w szpitalu. Stąd wiem, że nie nazywa się Janet Bradley! - Głos Faye nabrzmiewał stopniowo urazą.

Pod Leigh zakółsała się weranda, pociemniało jej w oczach. Niezdolna dobyć z siebie głosu, słuchała sióstr. - Leigh? Dobrze się czujesz, złotko?

Zamajaczyła przed nią twarz Trish. Leigh zamrugła powiekami i dźwignęła się z trudem z wyściełanego krzesła.

- Nic z tego nie rozumiem - wykrztusiła.

- Mów, co wiesz, Faye - zarządziła Trish.

- Poznałam Mary w szpitalu. Już mówiłam, że mieszkaliśmy w jednym pokoju.

- To jeszcze nie znaczy, że nie jest matką Leigh - zauważyła Trish.

-Faye pokręciła głową.

- Nie jest. Opowiadała mi historię tej fotografii. Może mi ją nawet pokazywała. Wygląda jakoś znajomo. Urodziła dziecko w wieku siedemnastu lat, dziewczynkę, i musiała oddać ją do adopcji.

- No widzisz!

- Nie, Trish. Dziecko, które oddała, zmarło jako niemowlę. Biedna Mary nie mogła się pogodzić z tą tragedią. Chyba dlatego trafiła do szpitala. I przez rodziców.

- No to skąd...? Dlaczego...? - Leigh nagle załamał się głos.

Faye nie patrzyła na nią.

- Przepraszam - rzekła półgłosem. - Skąd mogłam wiedzieć. Opowiadałam Mary o życiu na Ocracoke. Słuchała z wypiekami na twarzy. A kiedy raz wspomniałam, że mieszkała tu mała dziewczynka, którą matka oddała do adopcji zawiniętą w błękitny kocyk w żółte kaczuszki, Mary się rozplakała. Naprawdę się rozplakała, Leigh!

- Co jej jeszcze powiedziałaś? - zapytała groźnie Trish.

- O piśmie z Ośrodka Adopcyjnego. I trochę o Randallach.

Leigh zwilżyła językiem wargi.

- A więc powiedziałaś jej wszystko, co wiedziałaś?

Zgnębiona Faye kiwnęła głową.

- Przepraszam, Leigh. Do głowy mi nie przyszło, do czego to doprowadzi. Gawędziłyśmy sobie, jak to w szpitalu. Skąd mogłam wiedzieć, że ona to wszystko zapamięta i wykorzysta.

- To bez sensu - wyszeptała Leigh.

- Nie, Leigh - odezwała się Trish - to ma sens. Oddała dziecko i ono umarło. Może obwiniała siebie za jego śmierć? I nagle ktoś jej opowiada o innej adoptowanej dziewczynce. Faye, czy opisywałaś jej, jak wygląda Leigh?

- Powiedziałam tylko, że ma czarne włosy i oczy.

- Dostatecznie ogólnikowo, żeby pobudzić do działania chorą wyobraźnię. Na pewno dobrze się czujesz, moja droga? - Trish wstała.

- Lepiej zadzwonię do Spencera, żeby po ciebie przyjechał.

- Nie, Trish! Nic mi nie jest. Pojadę teraz do domu i spytam Janet, dlaczego to zrobiła.

- To jakaś wariatka!

- Trish! - ofuknęła siostrę Faye.

- A co? Może wyleczyli ją w tym szpitalu? - spytała ze złością Trish.

Faye pokręciła głową i spuściła wzrok.

- Nie - wyszeptała. - Ja wyszłam, a ona została.

- Kiedy to było? - spytała Leigh, chociaż wolałaby tego nie wiedzieć.

- Trzy miesiące temu - wymamrotała Faye. Trish zabłysły oczy.

- A widzisz! Założę się, że uciekła. I założę się, że jej teraz szukają. Skoro nie chcesz, żebym dzwoniła po Spencera, złotko - zwróciła się do Leigh - to pozwól chociaż, że zatelefonuję do szpitala. Trzeba coś zrobić.

Leigh przyznała jej rację i wstała. Faye płakała cicho. Leigh pogłaskała ją po ramieniu.

- To nie twoja wina, Faye - powiedziała. Faye nie zareagowała.

- Wpadnę tu jeszcze porozmawiać z twoją siostrą - oświadczyła Leigh, spoglądając na Trish. - Teraz muszę już lecieć. Przepraszam.

Trish wyszła z nią do samochodu.

- Na pewno jesteś w stanie prowadzić? Tylko nie wdaj się w jakąś awanturę z tą kobietą. Nie wiadomo, na co ją stać. Lepiej niech myśli, że niczego nie podejrzewasz.

- Ale ona wie, że miałam się spotkać z Faye. Dlatego nie chciała ze mną iść.

Trish odprowadziła wzrokiem oddalający się samochód, a potem weszła do domu, żeby zatelefonować...

Dojeżdżając do Wichrowego Dworku, Leigh zwolniła. Omiotła wzrokiem werandę. Ani śladu Janet.

A czego się spodziewałaś? Że będzie czekała na ciebie z lunchem w bujanym fotelu?

Odjeżdżając spod domu Trish, uświadomiła sobie, że nie chce wracać do siebie. Musi zobaczyć się ze Spencerem. W nim znajdzie oparcie. Minęła Wichrowy Dworek i pojechała dalej,

Pikapu Spencera nie było przed chatą Sama. Po chwili wahania Leigh doszła do wniosku, że nawet jeśli gdzieś pojechał, to niedługo tu wróci, i postanowiła zaczekać. Mdlilo ją na samą myśl o tym, że miałyby się teraz spotkać z Janet.

Drzwi były otwarte.

- Spencer? - zawołała z walącym sercem, wchodząc do środka. -
Jamie?

Odpowiedziała jej cisza.

No nic, siadaj i czuj się jak u siebie w domu. Sam nie miałby nic przeciwko temu.

Usiadła więc na kanapie i postawiła torebkę na podłodze. Oparła się wygodnie i wyciągnęła przed siebie nogi. Głowa jej pękała. Przymknęła oczy.

- Domyśliłam się, że cię tu zastanę...

Zamarła. Poznała ten głos. Bardzo powoli oderwała głowę od oparcia kanapy i obejrzała się za siebie. W drzwiach sypialni Sama stała Janet.

- Cześć - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. - Chodź, siadaj.

Janet podeszła do fotela stojącego obok kanapy i usiadła

- Udał się lunch? - spytała.

Leigh żołądek podszedł do gardła. Ona naprawdę jest obłąkana.

- Owszem. Trish i Faye były niepokieszone, że nie mogłaś przyjść. - Zwłaszcza Faye, dodałaby najchętniej.

- Może przy innej okazji. - Janet wzruszyła ramionami, a potem nachyliła się do Leigh i spytała konspiracyjnym szeptem: - Bo będzie jeszcze okazja, prawda?

Leigh kiwnęła głową.

Janet uśmiechnęła się i opadła na oparcie fotela.

- Rozmawiałaś z Faye?

- Tak. Opowiadała mi o szpitalu.

- I o reszcie?

- O reszcie też.

- Gniewasz się na mnie?

- Nie. Ale jestem zawiedziona.

- Bo nie jestem taką matką, jakiej się spodziewałaś?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Ty chciałaś mieć matkę, ja córkę. To proste.

- Może i masz rację. Ale mnie chodziło też o prawdę. Przez wargi Janet przemknął cień uśmiechu.

- Prawda... Czym jest prawda? Prawda jest taka, że wiele lat temu urodziłam córkę i oddałam ją do adopcji. Prawda jest taka, że nie chciałam tego robić, ale rodzice mnie zmusili.

- Prawda jest taka... - Leigh zawiesiła głos - że twoja córeczka umarła.

Oczy Janet zapłonęły gniewem.

- Moja córka nie umarła! - krzyknęła przeraźliwym głosem. - Tak mi tylko powiedzieli, żebym wycofała pozew.

- Jaki pozew?

- Chciałam ją odzyskać. Podałam ich wszystkich do sądu. Swoich rodziców, właścicieli domu, w którym się urodziłaś, przybranych rodziców, którzy cię adoptowali,

- Randallów?

Oczy Janet zwęziły się w szparki. Przekrzywiła lekko głowę, jakby węszyła pułapkę.

- Wiem, kim są Randallowie. Pete i Ellen. To oni cię adoptowali. Adoptowali moje dziecko.

- Opowiedz mi coś więcej o tym pozwie - poprosiła Leigh. Musi ciągnąć jak najdłużej tę dziwną rozmowę.

- Bardzo się bali, że wygram proces. Miałam prawo się rozmyślić.

- I spróbowałaś odzyskać swoje dziecko?

- Ciebie! Próbowałam odzyskać ciebie, ale powiedzieli mi, że umarłaś, kiedy miałaś cztery miesiące. Nie uwierzyłam. Byłaś zdrowym dzieckiem! Okłamywali mnie, żebym wycofała pozew.

- I wycofałaś?

Janet zniżyła głos do szeptu.

- Nie miałam wyboru. Nie miałam pieniędzy. Kiedy prosiłam o nie rodziców, umieścili mnie w szpitalu.

- I tam poznałaś Faye?

- Była dla mnie bardzo dobra. I cudownie opowiadała o życiu tutaj. Kiedy usłyszałam od niej o tobie i kocyku, od razu wiedziałam, że to ty. Ale musiałam uzbroić się w cierpliwość. Bo Randallowie cię zabrali.

- A dlaczego dopiero teraz się ze mną skontaktowałaś?

- Bo okłamywali mnie, kiedy o tobie wspomniałam. Mówili, że umarłaś, albo aplikowali mi terapię wstrząsową. Potem pastylki. Tyle dni, tyle lat straciłam. – Urwała i otarła grzbietem dłoni oczy.

- Wiesz może, gdzie jest Spencer? - zmieniła temat Leigh.

Janet pokręciła głową.

- Był tutaj, kiedy przyszedłaś?

- Nikogo nie było. Znalazłam tylko karteczkę do Jamiego, że może iść sobie do kina czy gdzie tam. I dziesięciodolarowy banknot. Schowałam go do kieszeni, żeby się nie zawieruszył. Spencer mi jeszcze podziękuje.

- Tak, na pewno. Słuchaj, nie jesteś głodna? Może poszłybyśmy gdzieś na kolację?

- Na kolację? - Janet uśmiechnęła się szeroko. -Przecież dopiero trzecia, Leigh. Nie najadłaś się u Trish?

- No to wracajmy do domu - Leigh wstała.

- Zostań, Leigh.

Leigh schyliła się po torebkę i przewiesiła ją sobie przez ramię.

- Pora wracać do domu, Janet.

- Do jakiego domu?

- Jak to jakiego? Do mojego.

- To już go nie sprzedajesz?

- Chyba nie.

- Ale Spencera nie wpuścisz, prawda? Będziemy tam tylko ty i ja, razem.

- Oczywiście, Janet. Chodź. Posiedzimy na werandzie przy mrożonej herbacie.

Janet wstała z fotela, ale nie ruszała się z miejsca.

- Sama nie wiem - bąknęła, wykręcając sobie dłonie. - A co będzie, jak Spencer wróci? Albo Jamie? Przynajmniej Sama już nie ma. On mi ciebie nie odbierze.

Nagle roześmiała się głośno i Leigh poczuła, że dreszcz przebiega jej po plecach.

- Jesteś pewna, że nie widziałaś Spencera ani Jamie-go? Lodowaty strach ścisnął ją za gardło. Tylko spokojnie. Janet uśmiechnęła się chytrze.

- Może i widziałam.

- I gdzie są? Janet zachichotała.

- Spencer pojechał do Hatteras, a Jamie... ma z kimś ważne spotkanie.

Gdyby tak można jej było wierzyć, pomyślała Leigh i wyciągnęła rękę.

- Chodźmy. Duszno tutaj. Napijemy się mrożonej herbaty i zjemy po kawałku cytrynowego placka. No jak?

Janet kiwnęła głową.

- Dobrze. - Podeszła za Leigh do drzwi, ale kiedy ta sięgała do klamki, cofnęła się.

- O co chodzi?

- Chciałabym tu jeszcze trochę posiedzieć. Zostawiłam Spencerowi małą niespodziankę. Ma tu wrócić i przygotować dla ciebie kolację. Chcę zobaczyć, co powie.

Zachichotała, zakrywając dłonią usta. Leigh włoski zjeżyły się na karku.

- Co to za niespodzianka? Janet spoważniała.

- Nie wiem, czy mogę ci zaufać. Wiem, co to znaczy być zakochaną. Wierzyłam we wszystko, co powiedział, ale zawiodłam się na nim. Tak jak ty przed laty na Spencerze. Nie znam całej historii, ale wiem, że mu wierzyłaś. A on cię zdradził! - Jej głos przeszedł w krzyk.

Leigh położyła jej dłoń na ramieniu.

- To było dawno. Nie przejmuj się tym. Janet pokręciła głową.

- Skrzywdził cię. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie można im ufać. Myślę, że moja mała niespodzianka będzie dla niego w sam raz.

- Może mi ją jednak pokażesz? - powiedziała Leigh, siląc się na spokój. Nie odrywała oczu od Janet. - Też chciałabym się pośmiać z jego miny.

Janet zastanawiała się dłuższą chwilę, w końcu kiwnęła głową.

- No dobrze.

Podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je. Ze środka buchnął zapach oparów benzyny. Leigh, krztusząc się, zasłoniła dłonią usta i nos. Zanim Janet zatrzasnęła z powrotem drzwi, zdążyła jeszcze zobaczyć kanister z benzyną leżący na łóżku Sama.

- Na czym polega ta niespodzianka? - spytała. Janet uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wypijemy mrożoną herbatę, pogawędzimy, a potem wrócę tutaj i zaczekam na Spencera. Spodziewa się ciebie o dziewiątej. A to się zdziwi, kiedy zamiast ciebie zobaczy mnie. Uderzę go czymś w głowę, może tamtą muszlą, a kiedy straci przytomność, podłożę ogień w sypialni. Wszyscy pomyślą, że to był wypadek.

Leigh pokręciła głową.

- Znajdą ślady benzyny.

- To nic. Właśnie o to chodzi. - Janet wzięła Leigh pod rękę i pociągnęła za sobą do drzwi wyjściowych. - Znalazłam ten kanister w szopie Sama. Policja pomyśli, że ogień podłożył Jamie. Przecież już to robił, prawda?

Leigh kiwnęła głową. Gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wykrztusić słowa. Wyszły na werandę i w tym momencie wydało jej się, że słyszy pisk opon. Janet też go usłyszała.

- To samochód? - spytała.

- Pewnie królik przebiegł komuś drogę. Nie zwracaj uwagi.

Chodź, jedziemy do domu.

Teraz już wyraźnie było słychać, jak ktoś przedziera się przez cyprysy za chatą Sama. Janet osłoniła oczy przed słońcem.

- Leigh!

- To Spencer! - krzyknęła Janet, chwytając Leigh pełną garścią za koszulę na plecach.

Leigh próbowała się wyrwać, ale Janet trzymała ją kurczowo jak tonący. Na szczycie wydmy ciągnącej się przed cyprysami pojawił się Spencer. Biegł co sił w nogach. Zatrzymał się zdyszany przy schodkach i oparł o poręcz.

- Za wcześnie wróciłeś! - zawołała oskarżycielsko Janet.

Spencer spojrział zdziwiony na Janet, potem na Leigh. Ta odzyskała wreszcie głos.

- Janet powiedziała, że miałeś wrócić później i przygotować dla mnie kolację.

- Słucham?

Janet zbliżyła się do szczytu schodów i wymierzyła w Spencera palec.

- Powiedziałeś mi, że zapraszasz Leigh na dziewiątą na romantyczną kolację. Tak to nazwałeś. Romantyczna kolacja! Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Tylko o jedno wam chodzi.

Spencer wstąpił na pierwszy stopień i wyciągnął rękę.

- Chodźcie tu, to spokojnie porozmawiamy.

- Nie chcemy z tobą rozmawiać. Moja córka i ja miałyśmy właśnie pojechać do domu i pogawędzić tam sobie tylko we dwie. Ale skoro już jesteś, to wejdź do środka. Zrobię ci herbatę.

- Nie! - krzyknęła Leigh. - On nie chce herbaty, prawda, Spencer? Musi jechać do domu, bo Jamie na niego czeka.

Spencer potrząsnął głową.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznał. - Leigh, byłem u ciebie przed południem i Janet powiedziała mi, że pojechałaś do Hatteras podpisać umowę sprzedaży domu. Chciałem cię przed tym powstrzymać i ruszyłem za tobą. Ale na przystani promowej była długa kolejka. Czekaając w niej, zadzwoniłem do Jamiego, że nie musi przychodzić do chaty Sama, bo już tam posprzątałem. Powiedział mi, że on też musi jechać do Hatteras podpisać jakieś papiery, i więc wróciłem po niego. Przejeżdżając tędy, zobaczyłem twój samochód. No i jestem.

- Wzruszająca historia - zakpiła Janet. - Myślałby kto, że naprawdę ją kochasz.

- Ja ją kocham, Janet - oświadczył Spencer i przenosząc wzrok na Leigh, dodał: - Chcę ją poślubić.

- Nie wierzę - mruknęła Janet. - Ale chodź do domu, Spencer.
Muszę porozmawiać z mężczyzną, który mówi, że chce poślubić moją córkę.

Leigh uniosła rękę.

- Nie wchodź tu, Spencer. Ona nie jest moją matką.

Janet krzyknęła i szarpnęła Leigh do tyłu. Leigh straciła równowagę i runęła na wznak. Spencer wbiegł po schodach na werandę i ukląkł przy niej. Janet zniknęła już w chacie.

- Co tu się, u diabła, wyprawia? Nic ci się nie stało? - Pomógł jej usiąść.

- Ona zastawiła tam na ciebie pułapkę. Chce podpalić dom.

W tym momencie rozległ się huk i przez siatkowe drzwi buchnęła na zewnątrz fala rozgrzanego powietrza. Z sypialni Sama strzeliły płomienie. Spencer zerwał się na równe nogi i doskoczył do drzwi.

- Nie wchodź tam! - Leigh chwyciła go za nogawkę spodni.

Z głębi chaty doleciał przeraźliwy wrzask. Spencer wyrwał się Leigh i wpadł do środka. Widziała przez otwarte drzwi, jak ściąga z kanapy narzutę i zarzucają na Janet, miotającą się po pokoju w płonącej sukience. Po chwili, ścigany przez ścianę ognia, wywlekał ją na werandę.

- Moja córka! - zawodziła Janet. - Ratuj moją córkę! Leigh zamknęła oczy. Z oddali dobiegało stłumione wycie syren.

Drzwi ambulansu zatrzęsnęły się z hukiem. Leigh wsparła głowę na ramieniu Spencera.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał.

- Na pewno.

- Sanitariusz powiedział, że Janet z tego wyjdzie. Oparzenia nie są poważne. - Spencer ukrył twarz w jej włosach. - Tak cię kocham. Boże, wolę nie myśleć, co ci groziło.

Leigh uniosła głowę i spojrzała na niego. W oczach Spencera czaił się strach.

- Ona by mnie nie skrzywdziła - szepnęła. - O ciebie jej chodziło.

Spencer przyciągnął ją do siebie.

- Już po wszystkim. Chodźmy, Jamie na mnie czeka. Kiwnęła głową i ruszyli w kierunku pikapu.

- To prawda, co mówiłaś Janet? - spytała Leigh, kiedy Spencer wrzucił bieg i puszczał sprzęgło.

Spojrzał na nią pytająco.

- Że cię kocham? Boże, przecież wiesz, że tak!

- Nie, to drugie... Że chcesz mnie poślubić. Stracił na moment panowanie nad kierownicą.

- Pewnie, że chcę - wyszeptał. - Jeśli mnie zechcesz. Leigh ścisnęła go za rękę Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak, tak, tak! - powtarzała ze śmiechem.

Oparła sobie na biodrze koszyk i wolną ręką zaniknęła drzwi na klucz. Trzy miesiące temu nie robiłabym tego, pomyślała. Ale czasy się zmieniają.

Była połowa września i na Ocracoke kończył się sezon turystyczny. Droga świeciła pustkami. Leigh skręciła na parking przed sklepem wielobranżowym, żeby kupić napoje i świeże owoce na lunch. Przy lodówkach w głębi sklepu natknęła się na Trish Butterfield.

- Moje gratulacje! - zawołała Trish, biorąc Leigh w objęcia. - Ustaliliście już datę?

Gapił się na nie cały sklep. Leigh spłonęła rumieńcem.

- Nie. Ja proponuję wiosnę, ale Spencer jest trochę...

- Niecierpliwy? Leigh uśmiechnęła się.

- To mało powiedziane.

- Nie miej mu tego za złe. Czekał na to piętnaście lat.

- On też tak mówi.

- Według mnie najlepszy na ślub byłby początek października.

- Zobaczymy. - Leigh wzruszyła ramionami. Trish przysunęła się bliżej.

- Faye słyszała od znajomej, że Janet czuje się już dużo lepiej. Bierze teraz ten nowy lek i już tak często nie odpływa w świat wyobraźni.

- Dobrze to słyszeć. A co tam u Faye?

- O, wspaniale. Może przyjedzie na Boże Narodzenie. A Jamie? Spędzi tu święta?

- Mamy nadzieję, ale to jeszcze nic pewnego. Jen w przyszłym miesiącu rodzi i nie wiadomo, jak to będzie. Zgodnie z umową, Jamie ma tu spędzać co drugie święta. A te będą pierwsze. Spencer nie będzie się upierał, jeśli Jen powie, że w tym roku chce mieć Jamiego u siebie.

Trish zacisnęła usta i pokręciła głową.

- Wciąż ta sama Jen. A ty dokąd się teraz wybierasz?

- Umówiłam się ze Spencerem w jego biurze. Płyniemy na piknik.

- Jak romantycznie! Pewnie w jakieś ustronne miejsce? - Trish roześmiała się. - A wiesz, rozmawiałam z Mary Ann Burnett. Chce cię prosić o opisanie całej tej historii z Janet dla „Island Breeze”. Dasz wiarę?

- Niektórzy nie są w stanie się zmienić - mruknęła Leigh i pożegnała się z Trish.

Po drodze do biura Spencera wpadła na pocztę odebrać swoją korespondencję. Zwalniając się z pracy, obiecała Regowi, że od czasu do czasu będzie brała od niego jakieś prace zleczone. Z pomocą Evana sprzedała swoje mieszkanie w Nowym Jorku. Bez żalu zegnała się z dotychczasowym życiem.

Wróciła myślami do dnia, w którym zabrano Janet. Spencer zawiózł ją do domu, kazał wziąć gorącą kąpiel, dał jej swoją piżamę i

położył do swojego łóżka. Potem ułożył się przy niej i tulił, a ona płakała. Od tamtego czasu spali z sobą co noc.

Chatę Sama wyremontowali i wynajęli, a pieniądze odkładali dla Jamiego na chesne w college'u. Bill Cowan odsprzedał Spencerowi swoje udziały w firmie czarterowej. Mieli mały dylemat z Wichrowym Dworkiem. Evan znalazł kupca na dom, ale Spencer odradzał Leigh jego sprzedaż. W końcu stanęło na tym, że sprzedadzą dom Spencera i zamieszkają w Wichrowym Dworku.

Leigh wróciła do samochodu i zaczęła przeglądać korespondencję. Jej uwagę zwróciła mała brązowa koperta ze stemplem Virginia City, i bez adresu zwrotnego. Rozdarła ją. W środku znalazła paczuszkę zawiniętą w bibułę oraz list. Zaczęła czytać.

Szanowna pani Randall!

Przeczytałam o pani w lokalnej gazecie i serce żywiej mi zabiło. Marzyłam o tym dniu od szesnastu lat, kiedy to po raz pierwszy napisałam do Ośrodka Adopcyjnego. Nie wiem, czy nadal jest pani zainteresowana odnalezieniem swojej biologicznej matki. Jeśli nie, proszę wyrzucić ten list. Mam jednak nadzieję, że zawartość załączonej paczuszki skłoni panią do nawiązania ze mną kontaktu.

Upoważniłam Ośrodek Benningtona do udostępnienia pani wszelkich informacji niezbędnych, by uwierzyła pani, że rzeczywiście jestem jej biologiczną matką. Czeka ją z utęsknieniem na spotkanie w niedalekiej przyszłości,

Lois Morley

Leigh odwinęła paczuszkę. Na kolana wypadł jej kawałek bladobłękitnego materiału - brakujący róg kocyka.

- Cóż, to jest bardziej przekonujące od opowieści Janet Bradley - orzekł Spencer, rzucając na biurko materiał. - A co ci podpowiada instynkt?

- Od kiedy wierzysz w mój instynkt? - spytała ze śmiechem Leigh.

- Zawsze w niego wierzyłem.

- Szczerze mówiąc, trochę się boję, ale myślę, że jestem gotowa się z nią spotkać. - Podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. - Ale nie ma pośpiechu.

Schowała róg kocyka do torebki. Spencer wstał, wyszedł zza biurka, objął ją i pocałował.

- Chodźmy - powiedziała Leigh, biorąc koszyk. Zamknęli biuro i ruszyli w stronę przystani.

- Dokąd płyniemy? - spytała, kiedy znaleźli się na pokładzie.

- To chyba idealny dzień, żeby odwiedzić Portsmouth - odparł i zanim zdążyła zareagować, dorzucił szybko:

- Może być?

Namyślała się przez chwilę.

- Może.

Jego uśmiech był wymowniejszy od tysiąca słów.

- Załatwione - rzekł. - Ty zapal silnik, ja odcumuję. Kiedy wrzasnął: „Ruszaj!”, Leigh wrzuciła wsteczny i odbiła tyłem od nabrzeża. Potem ster przejął Spencer i skierował łódź ku cieśninie.

- Rozmawiałem wczoraj z moim doradcą inwestycyjnym -
odezwał się w pewnej chwili.

- Tak? I co ci powiedział?

- Że jeśli ożenię się w tym roku fiskalnym, to będzie mi
przysługiwała ulga podatkowa. Przydałaby mi się, bo wykupiłem Billa
Cowana. Co ty na to?

- Myślę, że to dobry pomysł.

- To chodź tutaj, mój ty doradco. Przyciągnął ją do siebie wolną
ręką.

Objęci, prowadzili łódź granatowymi wodami cieśniny Ocracoke
ku wyspie Portsmouth.

RS